

SANDRA BROWN

**JAK NAKAZUJE
HONOR**



Harlequin

Toronto • Nowy Jork • Londyn • Amsterdam
Ateny • Budapeszt • Hamburg • Istambuł
Madryt • Mediolan • Paryż • Praga • Sofia
Sydney • Sztokholm • Tajpej • Tokio • Warszawa

Tytuł oryginału:
Honor Bound
Pierwsze wydanie:
Silhouette Books 1986
Przekład:
Jerzy Chochowski

Redakcja:
Ewa Godycka
Korekta:
Małgorzata Golewska
Elżbieta Derelkowska

© 1986 by Sandra Brown
© for the Polish edition by Arlekin - Wydawnictwo Harlequin Enterprises
sp. z o.o., Warszawa 1995

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części
lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wydanie niniejsze zostało opublikowane w porozumieniu
z Harlequin Enterprises B.V.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne.

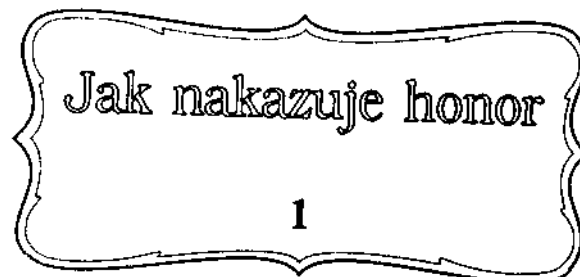
Jakiegolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych - żywych
i umarłych - jest całkowicie przypadkowe.

Znak firmowy wydawnictwa Harlequin
i znak serii Harlequin Special są zastrzeżone.

Skład i łamanie Studio Q, Warszawa

Printed in Poland by Zakłady Graficzne im. K.E.N., Bydgoszcz

ISBN 83-7070-466-2
Indeks 324531



Drzwiczki lodówki były nie domknięte i błąd promień z jej wnętrza rozjaśniał białoniebieską smugą mrok kuchni. Na blacie obok stał karton z mlekiem, opodal leżał bochenek chleba z dwiema świeżo odkrojonymi kromkami.

Jednak już w chwili, gdy weszła do mieszkania, odniosła wrażenie, że coś jest nie w porządku. Instynktownie wyczuwała czyjaś obecność, groźną, przyczyną w bezruchu.

Automatycznie poszukała dłonią kontaktu.

Ale nim zdążyła go dosięgnąć, ktoś uwięził jej rękę w żelaznym uścisku, wykręcił do tyłu i przygwoździł boleśnie do pleców. Chciała krzyknąć, lecz druga dłoń - szorstka i słonawa od potu - zacisnęła jej usta. Zdołała jedynie wydać z siebie gniewny gardłowy pomruk niczym osaczone zwierzę.

Zastanawiała się nieraz, jak się zachowa w takiej

sytuacji. Czy zemdleje? Czy może zacznie błagać o darowanie życia? Z lekkim zdziwieniem spostrzegła, że prócz strachu odczuwa przede wszystkim złość. Zaczęła się szarpać, próbując uwolnić usta od przykrywającej je dłoni. Chciała odwrócić głowę, żeby dojrzeć twarz napastnika. Zapamiętać, jak wygląda. Czy nie to właśnie zalecano kobietom w razie ataku gwałtociela?

Łatwo powiedzieć. Szamotanina nic nie dała, napastnik okazał się zbyt silny. Był wysoki, to jedno mogła stwierdzić z pewnością. Czuła jego nierówny, gorący oddech tuż ponad głową, którą raz po raz uderzała go w podbródek. Musi mieć prawie sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu, pomyślała, skrzętnie notując tę informację w pamięci.

Ciało miał mocne, ale nie określiłaby go jako „muskularne” czy „atletyczne”. Wydawał się jej raczej szczupły, aczkolwiek silny.

Próby wyswobodzenia się odniosły tylko ten skutek, że bardzo osłabła. Oddychanie przez nos sprawiło jej coraz większą trudność. Doszła do wniosku, że powinna oszczędzać siły i zaprzestała bezowocnego oporu. W efekcie uścisk unieruchamiających ją ramion nieznacznie zelżał.

- Nazywam się Lucas Greywolf.

Głos, który przemówił szeptem wprost do jej ucha, miał w sobie zarazem miękkość i chropawość

pustynnego wiatru niosącego drobiny piasku. Jego łagodne brzmienie nie zwiadło jednak Aislinn. Spodziewała się, że ten głos - tak samo jak wiatr, który przypominał - może z najbliższego powodu zawibrować furia.

Mogła się tego obawiać tym bardziej teraz, kiedy już wiedziała, kim jest napastnik.

Nazwisko indiańskiego działacza Lucasa Greywolfa powtarzane było przez cały dzień w komunikatach radiowych i telewizyjnych. Wczoraj w nocy uciekł z federalnego obozu więziennego we Florence i stróże prawa przeczesywali cały stan w pościgu za zbiegiem.

A on zawędrował do jej kuchni!

- Muszę coś zjeść. I odpocząć. Nie zrobię ci krzywdy, jeżeli będziesz grzeczna - zamruczał tuż przy jej uchu. - Ale spróbuj tylko wrzasnąć, a zaknebluję cię. Zrozumiałaś?

Skinęła głową, a on ostrożnie zdjął dłoń z jej ust.

- Jak się pan tu dostał? - spytała, zacerpnąwszy głęboko powietrza.

- Przeważnie na piechotę - odpowiedział lakonicznie. - Wiesz, kim jestem?

- Tak. Wszędzie pana szukają.

- Wiem.

Jej gniew gdzieś się ulotnił. Nie była tchórzliwa, ale też nie zaliczała się do głupców. Odgrywanie bohaterki nie miałyby sensu w tej sytuacji. Lucas Greywolf

nie był zwykłym złodziejaszkiem. Komunikaty ostrzegały, że może być niebezpieczny.

Jak powinna postąpić? Obezwładnienie go nie wchodziło w rachubę. Dałby sobie radę bez trudu i jeszcze mógłby jej coś zrobić. Nie, należało czekać na sposobność ucieczki, a przedtem jakoś go przechytrzyć.

- Siadaj - rzucił, trąciwszy ją szorstko w ramię.

Podeszła bez sprzeciwu do stojącego pośrodku kuchni stołu, położyła na blacie torebkę, wysunęła krzesło i usiadła powoli.

Greywolf poruszał się zwinnie i bezszelestnie jak zjawia. Dopiero gdy jego cień padł na stół, zorientowała się, że do niej podszedł. Z niepokojem śledziła jego ciemną sylwetkę w widmowym świetle, jakie padało z otwartej lodówki. Kiedy przykucnął, by wziąć z półki na mięso pęto suchej kiełbasy, sprawiał wrażenie gibkiej, złowrogiej pantery.

Uznawszy najwidoczniej, że złożyła już broń, zatrzasnął niedbale drzwiczki lodówki. Kuchnia pogrążyła się w ciemnościach. Aislinn zerwała się z miejsca, chcąc dopaść tylnych drzwi. Ale zanim zrobiła dwa kroki, Greywolf pochwyił ją ramieniem w pół i przyciągnął mocno do siebie.

- Dokąd się wybieramy? - zapytał.
- Za... zapalić światło.
- Siadaj.

- Sąsiedzi zwrócą uwagę...

- Kazałem ci usiąść. Siedź i nie ruszaj się, aż ci powiem, co masz robić. - Powłókł ją do tyłu i pchnął z powrotem na krzesło. Opadając na nie po omacku,omal nie przewróciła się na podłogę. W ostatniej chwili odzyskała równowagę.

- Chciałam tylko panu pomóc - powiedziała. - Sąsiedzi pewnie zauważyli, jak wracałam, i mogą pomyśleć, że coś się stało, jeżeli nie zobaczą światła w oknach.

Była to naiwna pogroźka i Aislinn zdała sobie sprawę, że Greywolf na to się nie nabierze. Osiedle, w którym mieszkała, leżało na przedmieściach Scottsdale, było niedawno zbudowane i przeszło połowa lokali nie miała jeszcze właścicieli. Niewątpliwie zjawił się u niej właśnie ze względu na to odludzie.

Nagle dobiegł jej uszu cichy, metaliczny brzęk i ogarnęła ją trwoga. Czuła się jak leśne zwierzątko, które słysząc szelest liści wie, że zbliża się niewidzialny drapieznik. Domyśliła się, że Lucas Greywolf natrafił koło zlewu na rząd kuchennych noży i zdjął jeden z drewnianego wieszaka. Bała się, że lada chwila zimne ostrze przetnie jej gardło, gdy nagle rozbłysło światło u sufitu, oszałamiając ją, lecz i napełniając ulgą, że wciąż żyje. Osłepiona na moment, zmrużyła oczy. Zobaczyła, że Greywolf stoi przy kontakcie, naciskając go długim lśniącym nożem.

Jej wystraszony wzrok rejestrował kolejno umiejscowione brązowe przedramię Greywolfa, zaokrąglony bark, mocno zarysowany kwadratowy podbródek, wąski prosty nos, by wreszcie natrafić na parę najbardziej lodowatych oczu, jakie kiedykolwiek widziała.

Od dziecka osłuchana była z określeniem „serce mi zamarło”. Sama mnóstwo razy powtarzała te słowa przy lada okazji. Nigdy jednak nie doświadczyła na prawdę tego uczucia. Aż do tej pory.

Nigdy dotąd nie widziała oczu, które wyrażałyby tyle bezgranicznej pogardy, tyle zapiekłej nienawiści, i rozgoryczenia.

Rysy Greywolfa były wyraźnie indiańskie, ale jego oczy należały do białej rasy. Ich szarość była tak jasna, że niemal przezroczysta, co przydawało źrenicom głębi i podkreślało ich czerń. Utkwione teraz w Aislinn, wpatrywały się w nią nieruchomo. Te szare bezlitosne oczy tworzyły taki kontrast za śniadą, chmurną twarzą Greywolfa, że przykuły jej uwagę na dłużej, niż chciała.

Spuściła wzrok, lecz zaraz znów go podniosła, przestraszona gwałtownym ruchem noża. Ale Greywolf ddkroił sobie tylko plasterek kiełbasy. Kiedy go podnosił do warg, kąciki ust zadrgały mu złośliwym uśmiechem. Najwyraźniej bawił go lęk Aislinn, co ją rozwścieczyło. Wysiłkiem woli przybrała obojętny wyraz twarzy, mierząc go chłodnym spojrzeniem.

Być może popełniła błąd.

Gdyby ją ktoś wcześniej zapytał, jak wyobraża sobie zbiegłego skazańca, nie przyszłoby jej do głowy, że mógłby być podobny do Lucasa Greywolfa. Nie wiele już pamiętała z tego, co czytała o jego głośnym przed paru laty procesie. Zdaje się, że prokurator przedstawił go jako notorycznego wichrzyciela i demagoga, który wzniewał buntownicze nastroje wśród Indian. Czy pisano także, że jest bardzo przystojny? Jeżeli tak, to nie zwróciła na to uwagi.

Miał na sobie niebieską płócienną koszulę w pasy, niewątpliwie część ubioru więziennego. Oderwał od niej rękawy, toteż przy otworach na ramiona wisały nierówne strzępy. Jeden z rękawów posłużył mu jako opaska, którą niczym Apacz przewiązał sobie wokół głowy, żeby przytrzymać włosy tak czarne, że prawie nie odbijał się w nich blask światła. Ale może były matowe od kurzu, który pokrywał także jego dżinsy i buty.

Biodra miał ściśnięte pasem ozdobionym misternym wzorem ze srebra i turkusów. Z szyi zwisał mu łańcuszek ze srebrnym krzyżykiem, ginącym w kępkach czarnych włosów na piersi, co było kolejnym potwierdzeniem jego mieszanej krwi. Rdzenni Indianie mają torsy gładkie.

Aislinn ponownie odwróciła wzrok. Kępował ją widok jego rozchylonej prawie do pasa koszuli, poznaczonej plamami potu. Dziwne było także to, że nie

raził jej srebrny kolczyk, jaki nosił w prawym uchu. Miał kształt malarzkiej maseczki i był symbolem innej religii, kłócącym się ze srebrnym krzyżykiem. Jednakże ów kolczyk pasował do postaci Greywolfa tak dobrze, jakby się z nim urodził.

- Może się poczęstujesz? - spytał ironicznie, podając jej na czubku noża krążek kiełbasy.

Uniosła głowę, wysuwając zaczepnie podbródek.

- Nie, dziękuję. Zjem kolację z mężem.

- Z mężem?

- Tak.

- A gdzie on jest?

- W pracy. Ale niedługo wróci.

Greywolf oderwał kawałek chleba od trzymanej w rękę kromki, włożył go sobie do ust i jał żuć z tak niezmaconym spokojem, że miała ochotę uderzyć go w twarz.

- Jesteś okropną kłamczucha - oświadczył.

- Mówię prawdę.

- Przeszukałem całe mieszkanie przed twoim powrotem, panno Aislinn Andrews. Nie mieszka tu żaden mężczyzna.

Ścisnęło ją w gardle. Żeby chociaż to serce trochę ucichło, nie tłukło się coraz niespokojniej. Spotniały jej dłonie. Schowała je pod stół i przycisnęła do siebie.

- Skąd pan zna moje nazwisko?

- Jest na korespondencji.

- Zaglądał pan do mojej korespondencji?

- Wyglądasz na wzburzoną. Czyżby panna Andrews miała coś do ukrycia?

Aislinn nie dała się sprowokować i choć miała wielką ochotę na obelżywą replikę, ugryzła się w język.

- Dostałaś dziś rachunek telefoniczny.

Jego chytry uśmieszek wytrącił ją z równowagi.

- Złapią pana i wsadzą z powrotem - powiedziała.

- Tak, wiem.

Jego spokojna odpowiedź zamknęła jej usta i sprawiła, że pogrożki i argumenty, jakich zamierzała użyć, stały się bezprzedmiotowe. Patrzyła w milczeniu, jak podnosi do warg karton z mlekiem, odchyła głowę i pije łąpczywie. Miał spaloną słońcem szyję. Ruchy jego jabłka Adama działały na nią jak wahadełko hipnotyzera. Opróżnił do końca karton, odstawił go na bok, po czym otarł usta wierzchem dłoni, w której nadal trzymał nóż.

- Jeśli pan wie, że pana złapią, to po co pogarszać sytuację? - spytała z czystej ciekawości. - Dlaczego nie odda się pan w ręce policji?

- Ponieważ najpierw muszę coś załatwić - wyjaśnił pośpiesznie. - Zanim będzie za późno.

Nie ciągnęła dalej tego tematu, uważając, że lepiej nie wiedzieć, jakie jeszcze przestępstwa zamierza popełnić Greywolf. Gdyby jednak udało się wciągnąć go

w rozmowę, może jego czujność by osłabła, a wtedy ona zdążyłaby uciec przez wewnętrzne wyjście do garażu. Potem naciśnie guzik otwierający automatyczne drzwi i...

- Jak pan się tu dostał? - spytała nagle, uzmysławiając sobie, że nie dostrzegła nigdzie śladów włamania.

- Przez okno sypialni.

- A jak pan uciekł z obozu?

- Oszukałem kogoś, kto mi zaufał - wydał szyderczo usta. - Oczywiście był głupcem, wierząc Indianinowi. Każdy wie, że nie można ufać Indianom. Prawda, panno Andrews?

- Nie znam żadnych Indian - odpowiedziała miękko, nie chcąc go drażnić. Nie podobało się jej napięcie, jakie zdawało się go ogarniać.

Najwyraźniej jej ugodowość rozdrażniła go. Spojrzenie, którym ją z wolna taksował, paliło jak ogień. Stała się nieprzyjemnie świadoma swoich blond włosów, niebieskich oczu, jasnej cery.

- Nie, nie sędzę, żebyś znała - rzucił gniewnie. I ruchem tak szybkim, że nie nadążyła za nim wzrokiem, zatknął sobie nóż za pas i ruszył ku niej. - Wstawaj! - rozkazał.

- Ale dlaczego? - wykrztusiła przerażona w chwili, gdy poderwał ją na nogi. Z rękami na jej ramionach, napierając piersią na jej plecy, wypychał ją z ku-

chni. Przy drzwiach wyłączył światło. W korytarzu było ciemno i zaczęła się potykać. Szedł w kierunku sypialni i owładnął nią strach.

- Przecież dostał pan to, czego pan chciał - odezwała się.

- Nie wszystko.

- Chciał pan coś zjeść, tak pan mówił - protestowała gorączkowo, zapierając się obcasami na wykładzinie. - Jeśli pan sobie pójdzie, przyrzekam, że nie zawiadomię policji.

- I ja mam w to uwierzyć, panno Andrews? - spytał tonem słodkim jak miód.

- Przysięgam! - zawołała, gardząc sobą za swą pokorę i panikę, jaka zabrzmiała w jej głosie.

- Słyszałem co niemiara obietnic od białych mężczyzn i... kobiet. Znam wartość ich słowa.

- Ale ja nie mam z tym nic wspólnego. Boże, co pan chce zrobić?

Wepchnął ją do sypialni i zamknął drzwi.

- Niech pani zgadnie, panno Andrews - odparł, obracając ją i przyciskając sobą do drzwi. Objął dłonią jej szyję tuż pod brodą i schylił głowę do poziomu jej twarzy. - Jak myślisz, co mam zamiar zrobić?

- Nie... Nie wiem.

- Chyba nie jesteś jedną z tych seksualnych maniaczek, które marzą o gwałcie, co?

- Nie - wyjąkała.

- Nigdy nie wyobrażałaś sobie, że bierze cię jakiś dzikus?

- Proszę, niech mnie pan puści.

Odwróciła głowę w bok, a Grey wolf zdjął dłoń z jej gardła. Nie odstępował jej na krok. Przyniósł się nawet bliżej i przytulił pożądliwie, przypierając ją silnie do drzwi.

Przymknęła powieki i zagryzła wargi, owładnięta uczuciem lęku i poniżenia. Greywolf zaś długimi szczupłymi palcami jął wodzić zmysłowo po jej szyi.

- Bardzo długo siedziałem w pudle - powiedział, zsuwając palce ku jej piersi. Zahaczył wskazującym palcem o guzik jej bluzki i jął nim manipulować. Kiedy go odpiął, Aislinn wydała z siebie zduszony okrzyk. Twarz Greywolfa była tak blisko jej twarzy, że czuła jego ciepły oddech. Owiewał jej policzki, nos, usta. Musiała go wdychać, bezbronna wobec jego agresywnej bliskości.

- Zachowuj się więc roztropnie, bo mogą mi przyjść do głowy różne pomysły - ostrzegł zjadliwie.

Uświadomiwszy sobie znaczenie tych słów, podniosła na niego oczy. Mierzyli się wzrokiem. Wpatrywali się w siebie przez długą chwilę, jak gdyby wzajemnie oceniali swoje siły, rozważając mocne i słabe punkty.

Wreszcie Greywolf zaczął się cofać. Gdy jego ciało straciło z nią bezpośredni kontakt, Aislinn doznała ta-

kiej ulgi, żeomal nie osunęła się bezwładnie na podłogę-

- Powiedziałem ci, że potrzebuję jedzenia i wypoczynku - odezwał się głosem, w którym zadźwięczał nowy, szorstki ton.

- Już pan odpoczął.

- Chodzi mi o sen. Muszę się przespać, panno Andrews.

- To znaczy... Chce pan zostać? Tutaj? - spytała z przerażeniem. - Jak długo?

- Zdecyduję o tym w odpowiednim czasie - odparł wymijająco i podchodząc do łóżka włączył lampę na nocnym stoliku.

- Nie wolno panu!

Podszedł do niej, wziął ją za rękę i pociągnął ku sobie.

- Masz tu raczej niewiele do powiedzenia. Nic ci dotąd nie zrobiłem, ale to nie znaczy, że nie zrobię, jeżeli będę musiał.

- Nie boję się pana.

- Owszem, boisz się - odparł, wlokąc ją do sąsiadującej z sypialnią łazienki. - W każdym razie powinnaś - dodał zatrzasnąwszy drzwi. - Słuchaj - rzekł przez zaciśnięte zęby - i niech to będzie jasne raz na zawsze. Mam coś do załatwienia i nikt, zwłaszcza taka jankeska księżniczka jak ty, nie powstrzyma mnie. Uciekając z więzienia ogłuszyłem strażnika i dotar-

lem aż tutaj na własnych nogach. Nie mam nic do stracenia prócz własnego życia, które tam, gdzie byłem, nie warte jest funta kłaków. Więc niech szanowna pani nie kusi losu. Zostanę twoim gościem tak długo, jak zechcę - oświadczył wyciągając zza pasa nóż.

Głośno wciągnęła powietrze prawie pewna, że za chwilę poczuje ukłucie w brzuch.

" To tyle na początek - dorzucił widząc, że ją dostatecznie przestraszył. - A teraz siadaj. Tam - rozkazał, wskazując ruchem brody sedes. Aislinn, nie spuszczać oczu z noża, zaczęła się cofać, a kiedy uderzyła łydkami o wypukłość sedesu, opadła na zamkniętą pokrywę.

Grey wolf ułożył nóż na brzegu wanny, jak najdalej od Aislinn, i zaczął się rozbierać. Nieruchoma niczym posąg patrzyła w milczeniu, jak zdejmuje buty i skarpetki, po czym ściaga przez głowę podartą koszulę.

Klatkę piersiową pokrytą miał czarnymi włosami. Brązowa skóra opinała mięśnie, które zdawały się nieprawdopodobnie twarde. Sutici miał nieduże, ciemne, brzuch płaski, a płytkie wgłębienie wokół pępka przyprószone było czarniawym puchem, przechodzącym w wachlarzyk, który niżej zwężał się w pionowe pasmo znikające w dżinsach.

- Co pan chce zrobić? - spytała bojaźliwie widząc, że odpina sprzączkę paska.

- Wziąć prysznic - odparł i pochylił się nad kran-

mi przy wannie, odkręcając je do końca, aby woda połała się pełnym strumieniem. Pomimo szumu Aislinn dosłyszała metaliczny zgrzyt suwaka w spodniach.

- Czy ja muszę to oglądać? - zaniepokoiła się.

- To ja muszę ciebie mieć na widoku - odparł i spokojnie zsunął spodnie.

Aislinn przymknęła powieki. Zakręciło się jej w głowie i uchwyciła się pokrywy sedesu. Nigdy w życiu nie doznała podobnego upokorzenia, takiego afrontu, nie czuła się tak okrutnie znieważona.

Jego nagość odebrała jak agresję samca. Był doskonale zbudowany, miał szerokie ramiona, wklęsły brzuch, smukłe nogi i ręce, mięśnie świadczące zarówno o sile, jak i zręczności.

Jego skóra - w miejscach gdzie była całkiem gładka - robiła wrażenie polerowanego brązu.

Przesunął do góry dźwignikę prysznic i stanął pod nim, nie zaciągając plastikowej zasłony. Aislinn odwróciła głowę, oddychając głęboko dla odzyskania równowagi.

- O co chodzi, proszę panienki? - odezwał się Greywolf. - Nie widziałas nigdy nagiego mężczyzny? A może to widok gołego Indianina tak cię mierzi?

Odwróciła się znów twarzą ku niemu, dotknęła do żywego. Wolałaby, żeby nie brał jej za rasistkę lub wstydliwą cnotkę. Ale cięta odpowiedź, jaką mu za-

mierzała odpłacić, zamarła jej na ustach. Niezdolna wykrztusić ani słowa, patrzyła w odrętwieniu na namydlone ręce Greywolfa ślizgające się po jego obnażonym ciele. Musiał chyba puścić sporo gorącej wody, bo lustra pokryła para, a powietrze stało się ciężkie niczym w powieściach Caldwell. Lepka mgiełka opadała także na Aislinn. Było tak duszno, że oddychanie zaczęło jej sprawiać trudność.

- Jak widzisz - zakpił, przesuwając białe od mydła dłonie w dolne części ciała - Indianie zbudowani są tak samo jak wszyscy mężczyźni.

Niezupełnie, pomyślała mimowolnie, rzucając ukradkowe spojrzenie na porosłnice bujnie okolice, pośród których znalazły schronienie atrybuty jego męskości.

- Jest pan nie tylko kryminalistą, ale i prostakiem - powiedziała zjadliwie.

Uśmiechnąwszy się cynicznie, zsunął z czoła prowizoryczną opaskę i cisnął ją na stos leżącego obok wanny ubrania. Następnie przechylił głowę pod prysznic, żeby zmoczyć włosy, i sięgnął po butelkę z szamponem. Otworzył ją, powąchał, nalał na dłoń trochę płynu i zaczął energicznie myć czarne włosy.

- Pachnie ładniej niż więzienny szampon - zauważył, przepuszczając przez palce obfitą pianę.

Aislinn milczała, bo nagle wpadła na pewien pomysł. Postanowiła wykorzystać dłuższą chwilę, kiedy

Greywolf będzie musiał opłukać włosy. Nie miała wiele czasu. Zaczął już zbierać z nich pianę i strzepywać do wanny.

W sypialni na nocnym stoliku stoi telefon. Może zdąży tam dobiec, zanim...

Czas naglił. Greywolf już miał głowę pod prysznicem.

Skoczyła ku drzwiom, otworzyła je z takim impetem, że omal nie wywichnęła sobie ramienia, i wpadła do sypialni. Rzuciła się do aparatu i jęła gorączkowo wystukiwać numer policji.

Przyłożyła słuchawkę do ucha, czekając na sygnał. Cisza.

- Cholera jasna!

Czyżby w pośpiechu wybrała nie ten numer?

Rozłączyła się i ponowiła próbę. Ze zdenerwowania ręce tak się jej trzęsły, że ledwie mogła utrzymać słuchawkę. Obejrząwszy się panicznie przez ramię, dostrzegła ze zgrozą Greywolfa, który z chłodną obojętnością opierał się o framugę drzwi od łazienki.

Szyję miał owiniętą ręcznikiem, ale poza tym był zupełnie nagi. Ściekająca z mokrych włosów woda spływała po miedzianym ciele. Błyszczące krople zatrzymywały się po drodze w miejscach, którym wolałyby się nie przyglądać. W prawej ręce trzymał nóż i niedbale poklepywał się jego tępą stroną po gołym udzie.

Aislinn zrozumiała, że nie dodzwoni się na policję ani za drugim, ani za dziesiątym razem.

- Zrobił pan coś z telefonem - rzuciła wiedząc, że stwierdza jedynie fakt.

- Od razu, jak się tu znalazłem.

Chwyciła za kabel i wyciągnęła go szybko zza szafki, nie czując oporu. Wtyczka, która powinna tkwić w gniazdku, była zgruchotana, prawdopodobnie rozdeptana obcasem.

Ogarnęła ją furia. Była wściekła na Greywolfa, że stoi spokojnie, podczas gdy ona miota się bezradnie w idiotyczny sposób. Zaklęła, cisnęła w niego aparatem i rzuciła się do wyjścia, gnana rozpaczliwą chęcią ucieczki. Było to beznadziejne, ale czuła, że musi coś zrobić.

Udało się jej dobiec do drzwi, a nawet trochę je uchylić, zanim złapał ją dłonią za twarz i zatrasnął drzwi. Odwróciwszy się zakrzywiła palce, gotowa go podrapać.

- Dość tego! - rozkazał chwytając ją za rękę. Jęknęła żałośnie, gdy ostrze noża zawadziło o jej przedramię. - Ty mała wariatko!

Zaskoczyła go nagłym atakiem kolana w podbrzusze. Chybiła, bo wykonał unik, ale zachwiał się przy tym i zmagając się, oboje padli na podłogę. Nie mogła wiele wskórać, zwłaszcza że ciało miał wciąż mokre i śliskie. W ciągu kilku sekund przygniótł ją całym

ciałem, przyciskając jej przeguby do podłogi szeroko rozpostartymi palcami.

- Po diabła ci to było? Po co się narażasz? - warknęła z twarzą nachyloną tuż nad nią. Pierś falowała mu z wysiłku. Gniew, jaki dostrzegła w jego źrenicach, zatrwożył ją, lecz nie okazała tego i hardo popatrzyła mu w oczy.

- Jeśli chcesz mnie zabić, to nie krępuj się - wykrztusiła.

Jednym ruchem poderwał ją na nogi. Zęby jej zadzwoniły. Usiłując utrzymać chwiejną w dalszym ciągu równowagę, ujrzała ostrze noża zataczające łuk koło jej policzka. Usłyszała cichy świst i otworzyła usta do krzyku, ale wydała z siebie tylko słabe westchnienie, dostrzegłszy w rękę Greywolfa pasmo swoich włosów. Ten jasny, kręty pukiel uwięziony w jego twardych palcach uprzytomnił jej własną kruchość wobec przemocy, jakiej została poddana.

- Ja nie żartowałem, szanowna pani - powiedział zdyszany. - Nie mam nic do stracenia. Jeszcze jedna taka sztuczka, a stracisz coś więcej niż loczek. Zrozumiano?

Przytaknęła nie odrywając wzroku od kosmyka, który Greywolf wciąż trzymał w dłoni. Chwilę później rozluźnił palce i świetliste pasemko pozęgłowało z wolna ku podłodze.

Przyjąwszy jej kapitulację, podniósł ręcznik, wytarł

się starannie, przecierając na końcu długie, sięgające aż do podbródka włosy.

- Masz krew na ręce - rzeki, ciskając jej ręcznik.

Nie zauważyła tego. Spojrzała zdziwiona na strużkę sączącą się z draśnięcia tuż nad przegubem.

- Masz jakieś inne skaleczenia? - spytał.

Potrząsnęła przecząco głową.

- No, to podejdź do łóżka.

Była wściekła, że we własnym domu musi wykonywać polecenia przestępcy, ale strach wziął górę. Posłuchała go bez słowa. Krwawienie ustało. Odrzuciła ręcznik i zwróciła się twarzą do Greywolfa.

- Rozbieraj się.

Sądziła, że najgorsze ma już za sobą, ale widocznie była w błędzie, i to poważnym.

- Co takiego? - syknęła.

- Słyszałaś, co powiedziałem.

- Nie ma mowy.

- Albo będziesz robić, co ci każę, albo jeszcze lepiej zapoznasz się z tym nożykiem - pomachał jej przed twarzą stalowym ostrzem, które załśniło w świetle nocnej lampki.

- Nie wierzę, że wyrządziłby mi pan krzywdę.

- Nie bądź tego taka pewna.

Butne spojrzenie Aislinn spotkało się z jego zimnym, beznamiętnym wzrokiem. Doszła do wniosku, że nadchodząca noc nie wróży niczego dobrego.

- Dlaczego... Dlaczego mam zdjąć...

- Naprawdę chcesz wiedzieć?

Nie, w gruncie rzeczy nie zależało jej na tym, bo domyślała się, co może usłyszeć i gdyby głośno oznajmił swoje zamiary, ich wizja przeraziłaby ją jeszcze bardziej.

- Jeśli chce mnie pan zgwałcić - odezwała się, by wyjaśnić nurtującą ją kwestię - to czemu... ?

- Rozbieraj się!

Każdą sylabę wymawiał niezwykle dobitnie.

Raz jeszcze rozważyła swe szanse i uznała, że są równe zero. Tyle że ustępując mu mogłaby nieco zyskać na czasie. Być może ktoś zadzwoni i odkryje, że telefon nie działa? I centrala przyśle kogoś, żeby naprawił uszkodzenie? Poza tym ktoś może zadzwonić do drzwi. Na przykład ktoś z sąsiadów. Wiele może się zdarzyć, jeśli uda się jej go zwodzić. Kto wie zresztą, czy policja już nie wytropiła Greywolfa i właśnie teraz nie otacza jej domu.

Niespiesznie sięgnęła do drugiego guzika bluzki. Pierwszy odpiął już Greywolf. Stała mu błagalne spojrzenie, ale jego twarz miała wyraz kamiennej rzeźby, a oczy twardość diamentu. Duma powstrzymała ją przed proszeniem o litość; zresztą nie spodziewała się, że zdota w nim poruszyć jakiekolwiek czulsze struny.

Przepchnęła guzik przez dziurkę i z ociąganiem opuściła dłoń ku następnemu.

- Pośpiesz się!

Raz jeszcze podniosła na niego wzrok; stał tuż obok, nagi i groźny, ignorując zupełnie kipiącą w niej złość. Wystawiając na próbę jego cierpliwość, odpinała wolno guziki.

- Zdejmij to! - rzucił szorstko, podkreślając swój rozkaz ruchem noża.

Opuściwszy głowę, Aislinn zsunęła bluzkę z ramion i zasłoniła się nią.

- Rzuć ją.

Nadal nie patrząc na niego, pozwoliła bluzce opaść na podłogę.

- A teraz reszta!

Było gorące arizońskie lato. Nie mając umówionych klientów na popołudnie, Aislinn zamknęła wcześniej atelier fotograficzne. Po treningu w ośrodku sportowym ubrała się tylko w spódnicę i bluzkę.

- Spódniczka, Aislinn - ponaglił dobitnie.

To, że zwrócił się do niej po imieniu, było w tych okolicznościach wyjątkowym chamstwem i potęgowało jej wściekłość.

Nie czekając, aż Aislinn wykona jego polecenie, jednym szarpnięciem zerwał jej spódnicę z bioder.

Niespodziewanie wydał z siebie zdławione westchnienie. Skórę na wysokich kościach policzków miał tak napiętą, że zdawało się, iż lada moment

pęknie. Wędrujące po Aislinn oczy migotały jak płomyki pochodni.

Żałowała, że nie ma na sobie skromniejszej bielizny, nie tak kokieteryjnej. Jedwabny stanik i majtki w kolorze cytryny, wykończone perłową koronką, choć nie przezroczyste, były raczej skąpe, dając pierwszeństwo estetyce przed funkcjonalnością. Właściwie nie pozostawiały wiele wyobraźni, zwłaszcza wyobraźni mężczyzny, który miał za sobą dłuższy pobyt w więzieniu.

- Stanik!

Powstrzymując dumnie łzy, zsunęła najpierw ramiączka, po czym, nie dając mu opaść, odpięła haftkę. Greywolf wyciągnął rękę i Aislinn odruchowo odskoczyła w tył.

- Daj mi go - powiedział chrapliwie.

Drżąc wręczyła mu ten nikły kawałek jedwabiu, który w jego dużej pięści postradał swą konkretność. Świadoma, że cienka tkanina przechowuje jeszcze ciepło jej ciała, doznawała osobliwego uczucia patrząc, jak Greywolf przesuwając palcami miękki materiał.

- Jedwab - powiedział cichym, chropowatym głosem. Uniósł stanik i zanurzył w nim nos, przymykając powieki i wykrzywiając na moment twarz w niesamowitym grymasie. - Ten zapach. Ten wspaniały zapach kobiety.

Aislinn zdała sobie sprawę, że Greywolf nie mówi do niej. Mówił do siebie. I to nie ją miał na myśli. Chodziło mu o kobietę w ogóle. Mogła się tylko zastanawiać, czy to dla niej dobrze czy źle.

Ta pełna napięcia chwila trwała zaledwie kilka sekund, po czym Greywolf odrzucił stanik gniewnym gestem.

- No, jazda. Do końca! - przynaglał Aislinn.

Nie. Raczej dam się zabić.

Skierował na nią przeraźliwie długie spojrzenie. Nie mogąc znieść tych obmacujących ją oczu, zacisnęła powieki.

- Jesteś bardzo piękna - usłyszała i skurczyła się w oczekiwaniu jego dodknięcia. Ale nic takiego nie nastąpiło. Niespodziewanie odwrócił się od niej, najwyraźniej poirytowany, nie wiadomo czy jej zawziętym uporem czy własną, okazaną mimo woli, słabością.

Widać było, że wpadł w złość. Zaczął gwałtownie wyciągać szuflady z toaletki, póki nie znalazł tego, czego szukał. Podeszedł do niej, trzymając w ręku dwie pary rajstop. Stała jak sparaliżowana.

- Kładź się - powiedział odgarniając narzutę z łóżka. Położyła się sztywno na wznak, wlepiając rozszerzone źrenice w Greywolfa, który ukląkł tuż nad nią. On zaś wcale na nią nie patrzył. Z napiętą, ale obojętną twarzą wziął Aislinn za ramię i podciągnął ją w górę ku mosiężnej poprzeczce w szczycie łóżka.

- Związuje mnie pan? - spytała drżącym głosem.

- Owszem - odparł krótko, ściskając mocno jej przegub skrzyżowanym w linę nylonem i mocując go drugim końcem na poręczy.

- O Boże! - jęknęła. Koszmar za koszmarem przebiegał jej przez głowę. Przypomniały się jej wszystkie zasłyszane dotąd perwersje seksualne.

Greywolf uśmiechał się ironicznie, jak gdyby czytał w myślach Aislinn i wyobrażał sobie jej obawy.

- Spokojnie, panno Andrews - powiedział. - Mówiłem, że chcę się nie tylko najeść, ale i wypocząć. I do tego właśnie zmierzam.

Nadal zmrożona strachem i zszokowana leżała bez ruchu, podczas gdy Greywolf za pomocą pozostałej pary rajstop przywiązywał jej drugi przegub do swojego. Patrzyła z niedowierzaniem na ich ściśle złączone grzbietami dłonie, on zaś po prostu zgasił lampę i odwrócił się do Aislinn plecami.

- Ty draniu - szarpnęła rękami. - Rozwiąż mnie.

- Śpij.

- Powiedziałam, żebyś mnie rozwiązał! - krzyknęła próbując usiąść.

Greywolf przekręcił się na bok i przygwoździł ją z powrotem do łóżka. Nie mogła go widzieć w ciemnościach, ale bliskość jego ciała sprawiła, że poczuła się zagrożona czymś więcej aniżeli tylko zwyczajną przemocą.

- Musiałem cię związać. Nie miałem wyboru.
- Dlaczego kazałeś mi się rozebrać?
- Żeby ci utrudnić ucieczkę. Mocno wątpię, czy wylecisz po nocy na ulicę w takim stanie. A poza tym...

- Poza tym, co? - zapytała ze złością.

Odpowiedź nadeszła po krótkiej pauzie, niczym skradający się czarny kot, niewidzialny do ostatniej chwili.

- Także dlatego, że chciałem na ciebie popatrzeć.



- Wstawaj!

Poruszyła z trudem powiekami, starając się przypomnieć sobie, dlaczego gnębił ją we śnie lęk przed przebudzeniem. Mocne szarpnięcie przywróciło jej poczucie rzeczywistości. Otworzyła oczy. Siadła na łóżku, osłaniając się kocem, odgarnęła włosy znad czoła i spojrzała na Greywolfa.

W przeciwieństwie do niego, nie mogła zasnąć przez wiele godzin i leżała wsłuchana w jego równy oddech. Próbowwała uwolnić przywiązaną do łóżka rękę, ale ten bolesny wysiłek okazał się daremny. Klnąc, dała wreszcie za wygraną i zamknęła oczy, usiłując się odprężyć. Po jakimś czasie zmęczenie wzięło górę i zapadła w sen.

- Wstawaj - powtórzył krótko. - I ubierz się. Wychodzimy.

Obie ręce miała już wolne. Rajstopy, którymi ją

skrępował, leżały w nogach łóżka. Jak to się stało, że nie obudziła się, gdy ją odwiązywał? Musiał to zrobić bardzo zręcznie i delikatnie. Przypomniała też sobie, że nad ranem dokuczało jej nieprzyjemne zimno. A teraz była nakryta kocem. Czyżby to on? Zadrżała na tę myśl.

Zauważyła z ulgą, że jest już ubrany. Wyglądał dokładnie tak samo jak wczoraj, z jednym wyjątkiem: za przepaskę na głowie nie służył mu już oderwany od koszuli rękaw, lecz jej własna bawełniana chustka. Czuła wciąż lekki zapach szamponu, którym umył włosy.

Nie, nie padła ofiarą halucynacji. Lucas Greywolf stał przed nią najzupełniej realny, niczym uosobienie wszelkich okropności, a może marzeń, jakie snują się w kobiecej wyobraźni.

- Wychodzimy? - spytała przytomniejąc. - Nigdzie nie pójde.

Jej protest nie wywarł na nim wrażenia. Otworzył szafę i zaczął grzebać pomiędzy wieszakami. Po chwili wyszukał parę starych dzinsów oraz sportową koszulę i cisnął to Aislmn na łóżko. Następnie schylił się, aby przejrzeć obuwie na dnie szafy, wybrał pantofle na płaskim obcasie i rzucił je na podłogę przy łóżku.

- Albo się ubierzesz, albo... - urwał, obrzucając wzrokiem jej kształty rysujące się miękko pod kocem

- ...sam cię ubiorę. Tak czy owak, za pięć minut ruszamy.

Cała jego postawa: szeroko rozstawione nogi, wysunięta do przodu pierś, uniesiony podbródek - wszystko tchnęło arogancją. Biła od niego pewność siebie, niby piżmowy aromat, jakim przesiąknięta była jego skóra.

Potulna uległość wobec takiej zuchwałości nie leżała w naturze Aislinn Andrews.

- A właściwie dlaczego nie mogę tu zostać?
- Głupie pytanie, Aislinn. Masz mnie za idiotę?

Przyznała mu w duchu rację. Natychmiast po wyjściu Greywolfa wybiegłaby z domu i narobiła rwetu-su. Policja wpadłaby na jego trop, zanim zdążyłby opuścić miasto.

- Jesteś moją polisą ubezpieczeniową. Każdy zbieg z prawdziwego zdarzenia bierze zakładników. A moja zakładniczka sprawia, że tracę już cierpliwość - dodał postępując krok bliżej. - Rusz tyłek z tego cholernego łóżka! - warknął.

Zapiekała ją jego impertynencja, ale niechętnie usłuchoła, pociągając za sobą koc.

- Miej chociaż na tyle przyzwoitości, żeby się odwrócić" - poprosiła.

Uniósł lekko brwi.

- Spodziewasz się takiego gestu po Indianinie?
- Nie mam uprzedzeń rasowych.

Popatrzy! na jej jasne wtosy i uśmiechną! się wzgardliwie.

- Tak, chyba nie masz, bo wątpię, żebyś w ogóle słyszała o naszym istnieniu w tej okolicy - powiedział i okręciwszy się na pięcie, wyszedł z pokoju.

Urażona, wciągnęła na siebie wybrane przez niego rzeczy. Ze stosu garderoby, wyrzuconej wczoraj przez niego z plądrowanych szuflad, wzięła jeszcze stanik i majtki.

Włożywszy spodnie, popędziła do okna i odsłoniła je. Otworzyć go jednak już nie zdążyła. W momencie, gdy przekreśliła klamkę okienną, za jej plecami wysunęło się miedziane ramię Greywolfa i jego silne palce uwięziły jej przegub niczym w imadle.

- Te twoje sztuczki zaczynają mnie męczyć, Aislinn.

- A mnie męczy twoja obecność! - krzyknęła, próbując się wyrwać. Puścił ją, ale dopiero wtedy, gdy zamknął i zasłonił okno. Aislinn masowała zdrtwiałą rękę, oczy płonęły jej gniewnie odrazą, jaką zawsze żywiła wobec przemocy.

- Posłuchaj, damulko. Gdyby nie to, że potrzebuję cię jako osłony, nie poświęciłbym ci ani minuty mojego czasu. Więc nie pochlebiaj sobie zbyttno. No, rusz się - odwrócił ją tyłem do siebie, położył jej dłoń na biodrach i mocno popchnął w stronę kuchni.

- Widzę, że czujesz się jak u siebie w domu - powiedziała kąśliwie patrząc, jak zabiera termos z kawą

i torbę z żywnością. Była na siebie zła, że spała tak mocno. Kto wie, może udałoby się jej uciec przez okno w czasie, gdy Greywolf parzył kawę i buszował w spiżarni.

- Jeszcze będziesz się cieszyć z tego jedzenia. Tam, dokąd idziemy, bardzo się nam przyda.

- A gdzie idziemy?

- Tam, gdzie żyją inni ludzie.

Nie odzywając się więcej, wziął Aislinn za ramię i poprowadził do garażu. Wepchnął ją do samochodu na miejsce obok kierowcy, a sam usiadł za kierownicą. Umieścił torbę z zapasami i termos na wolnej przestrzeni pomiędzy nimi, przystosował fotel do swoich długich nóg i przy pomocy pilota otworzył drzwi garażu, po czym wyjechał i zamknął je w ten sam sposób. Niebawem dotarł do końca uliczki i płynnie włączył się w ruch na głównej alei.

- Jak długo to potrwa? - spytała z pozorną obojętnością, rozglądając się bacznie.

Jednakże Greywolf manewrował tak samochodem, że udaremniał jej próbę zwrócenia na siebie uwagi kierowców i pasażerów mijanych aut. Nigdzie nie było widać wozów policyjnych. Prowadził ostrożnie, zachowując przepisową prędkość. I nie odzywał się.

- Mam firmę - podjęła - i jak nie przyjdę do pracy, zaczną mnie szukać.

- Nalej mi kawy.

Żachnęła się. Wydawał jej rozkazy takim tonem, jak gdyby był wielkim czerwonoskórym wodzem, a ona jego squaw.

- Idź do diabła - odparła.

- Nalej mi kawy - powtórzył.

Gdyby wrzasnął na nią, wybuchnął gniewem, być może stawiałaby mu czoło. Ale słowa, które wypowiedział, spełzły mu z warg spokojnie niczym żmije wślizgujące się z nory. Przeszły ją ciarki. Jak dotąd nie zrobił jej krzywdy, ale był niebezpieczny. I trzymał wciąż za pasem ten kuchenny nóż. Spojrzenie w jego zimne oczy, które na chwilę zwrócił w jej stronę, utwierdziło ją w przekonaniu, że ma do czynienia z groźnym przeciwnikiem.

Wyjęła z torby dwa plastikowe kubeczki, ostrożnie napełniła jeden z nich parującą, aromatyczną kawą i podała mu. Nie podziękował. Sączył w milczeniu gorący płyn, mrużąc powieki, aby uchronić oczy przed parą unoszącą się z kubka.

Bez pytania nalała kawy także sobie i zakręciła termos. Obracając kubek w dłoniach zastanawiała się, co Grey wolf ma zamiar z nią zrobić.

Zamyśliła się tak głęboko, że aż drgnęła, słysząc nagle jego głos.

- Co to za interes?

- Słucham?

- Mówiłaś, że masz jakąś firmę.

- Och, tak. Studio fotograficzne.

- Robisz zdjęcia?

- Tak, głównie portrety. Dzieci, nowożeńców, uczniów kończących szkołę i temu podobne.

Nie wyraził ani aprobaty, ani dezaprobaty. Jego kamienny profil pozostał bez wyrazu. No cóż, westchnęła w duchu, w jej pracy nie było istotnie nic nadzwyczajnego.

Po ukończeniu studiów dziennikarskich myślała, że podbije świat fotoreportażami, że będzie podróżować, uwieczniając na fotografiach głód, powódzie i inne kataklizmy. Chciała, żeby każde zrobione przez nią zdjęcie poruszało w ludziach najwyższe emocje - gniew, miłość, współczucie.

Jednakże jej rodzice pragnęli dla swego jedyne go dziecka czegoś zupełnie innego. Willard Andrews należał do grona największych biznesmenów w Scottsdale, jego żona Eleanor była natomiast królową miejscowej elity towarzyskiej. Oczekiwali, że ich córka dopasuje się do tego stanu rzeczy. Miała brać udział w życiu miasteczka, dopóki nie znajdzie odpowiedniego męża. Udzielać się w rozmaitych klubach i komitetach, a nawet działać na niwie dobroczynności, wszystko pod warunkiem, że nie pociągnie to za sobą nazbyt osobistego zaangażowania.

Coś tak pospolitego, jak włóczęga po dalekich krajach w celu fotografowania okropności, o których nie

wypadało nawet wspomnieć podczas przyjęć, było całkowicie sprzeczne z ich ideałami. Po wielu miesiącach ustawicznych sporów była tak zmęczona, że poddała się ich woli.

Na znak kompromisu ojciec wyłożył pieniądze na atelier, w którym mogła robić cukierkowe portrety przyjaciół rodziców oraz ich potomstwa. Nie było to złe zajęcie, ale nieporównanie mniej ważne od pracy, której pragnęła się Doświęcić.

Wyobraziła sobie, co by powiedzieli rodzice, widząc ją w towarzystwie Lucasa Greywolfa i nie mogła się powstrzymać od głośnego śmiechu.

- Uważasz, że to jest zabawne? - spytał.

- Ani trochę - odparła poważniejąc. - Dlaczego nie chcesz mnie zwolnić?

- Nie myślałem wcale o braniu zakładnika. Chciałem się najęść i odpocząć przez kilka godzin, to wszystko. Ale nakryłaś mnie w kuchni i nie miałem innego wyboru, jak zabrać cię z sobą. Właściwie - dodał zerkając na nią przelotnie - miałem wybór, ale nie jestem mordercą. Przynajmniej na razie.

Straciła raptem ochotę na kawę. Ze strachu poczuła gorycz w ustach.

- Masz zamiar mnie zabić?

- Nie, chyba że mnie do tego zmusisz.

- Oświadczam, że przy każdej okazji będę ci stwarzać trudności.

- W takim razie możemy mieć kłopoty.

- Wolałabym, żebyś zaraz ze mną skończył. Po co mnie dręczyć czekaniem? To okrutne.

- Tak samo jak więzienie.

- A czego oczekiwałeś?

- Nauczyłem się wiele nie oczekiwać.

- To przecież nie moja wina, że cię zamknęli. Prześstępstwo trzeba odpokutować.

- A jakież to „prześstępstwo” popełniłem?

- Nie... Nie przypominam sobie. To miało jakiś związek z...

- Zorganizowałem demonstrację przed budynkiem sądu w Phoenix. W jej wyniku doszło do zamieszek, pobicia policjantów, i ucierpiało także mienie państwowe. - Zabrzmiało to tak, jakby przytaczał słyszane wielokrotnie słowa, a nie definiował swoją winę. - Ale myślę, że naprawdę moje przestępstwo polega na tym, że urodziłem się Indianinem.

- To niedorzeczne. Nie może pan winić za swoje nieszczęście nikogo poza sobą, panie Greywolf.

Uśmiechnął się gorzko.

- Coś w tym rodzaju powiedział też sędzia, kiedy mnie skazywał.

- Jak długo byłeś w więzieniu? - zaryzykowała Aislinn po długiej chwili milczenia.

- Trzydzieści cztery miesiące.

- A ile powinienesz jeszcze odsiedzieć?

- Trzy.
- Trzy miesiące! - powtórzyła z niedowierzaniem.
- 1 uciekłeś, kiedy zostały ci tylko trzy miesiące?
- Mówłem ci już, że muszę coś załatwić i nic nie może mnie od tego powstrzymać.
- Ale jeśli cię złapią...
- Złapią mnie na pewno.
- To dlaczego to zrobiłeś?
- Musiałem.
- Nic nie może być aż tak ważne.
- A jednak.
- Dołożą ci do wyroku wiele miesięcy, może nawet kilka lat.
- Tak.
- Czy to nie ma dla ciebie znaczenia?
- Nie.
- Ale zmarnujesz sobie życie. Pomyśl o tym wszystkim, z czego rezygnujesz.
- Na przykład z kobiet.

Ta związała riposta odebrała jej ochotę do dalszego kazania. Zacisnęła usta, przyrzekając sobie zostawić ten śliski temat w spokoju.

Zamilkli znowu, chociaż myśli obojga biegły podobnymi torami. I ona, i on wspominali - każde z własnej perspektywy - zdarzenia minionej nocy. Aislinn z niejakimi oporami wracała pamięcią do kilku niepokojących momentów. Oto Greywolf stoi

w drzwiach łazienki, nagi i mokry, ale groźny. Oto przyciska do twarzy jej stanik, wdychając jego zapach ze zmysłową łąpczywością. Oto nakrywa ją w nocy i rozwiązuje rano, podczas gdy ona śpi. Robiło jej się duszno od tych obrazów, czuła, że się dławi. Krępową ją bliskość Greywolfa.

Wreszcie postanowiła oddalić się od niego w jedy-ny dostępny jej sposób. Zamknęła oczy i oparła głowę o zagłówek fotela.

- A niech to szlag...!

Chyba trochę przysnęła. Z drzemki wyrwało ją głośne przekleństwo Greywolfa, który ze złością walił pięścią w kierownicę.

- Co się stało? - spytała wyprostowując się i mruczając oczy przed słońcem.

- Blokada - wycodził, ledwo poruszając wargami.

Patrząc poprzez migotliwe fale drgającego od upału powietrza, Aislinn dostrzegła stojące przy szosie stanowe wozy patrolowe. Policjanci zatrzymywali każdy samochód. Zanim zdążyła ucieszyć się tym widokiem, Greywolf zjechał na pobocze i zatrzymał samochód. Następnie jednym zwinnym ruchem przesliznął się do Aislinn i rozpiął jej bluzkę, ściągając stanik pod piersi.

- Co ty wyprawiasz? - jęknęła, odpychając bezradnie jego ręce. Była jeszcze trochę zamroczona snem i zbyt zaskoczona, by stawić mu skuteczniejszy opór. Nim się zorientowała, bluzka już była do połowy

rozpięta, a nagie piersi sterczały pod głębokim dekoltem.

- Liczę na typowo męską reakcję - wyjaśnił, oceniając wzrokiem rezultat swych zabiegów. Uznając) najwyraźniej za zadowolające, przeniósł się na tylny siedzenie. - Będziesz prowadzić. Musisz się przeдрzeć przez tę blokadę.

- Ale... Nie! - zaprotestowała gwałtownie. • Z największą przyjemnością pomogę im cię złapać panie Greywolf.

- Prowadź dalej ten cholerny samochód, zanim na zauważą i nabiorą podejrzeń. Przesuń zadek za kierownicę i ładuj się z powrotem na szosę. No, już!

Rzuciła mu nienawistne spojrzenie, ale kiedy poparł słowa wymownym machnięciem noża, po słuchała.

- I niech ci nie przyjdzie do główki nacisnąć kiason - rzucił ostrzegawczo, jakby czytając w jej myślach.

Mimo tego noża, miała szczerą ochotę wrzasnąć ni cały glos, zaraz jak tylko zatrzyma się przy blokadzie i wydać policji tego dzikusa.

- Wybij to sobie z głowy, że mogłabyś mnie tera! zdradzić - odezwał się.

- Nie masz cienia szansy.

- Ani ty. Powiem im, że byłaś ze mną w zмовіе ukrywałaś mnie u siebie i pomagasz w ucieczce.

- Przecież ci nie uwierzą - prychnęła.

- Uwierzą, kiedy sobie obejrzą prześcieradła na twoim łóżku.

Zszokowana tym oświadczeniem, obejrzała się raptownie. Greywolf wyciągnął się na tylnym siedzeniu, udając śpiącego. Twarz zasłaniał sobie magazynem fotograficznym uformowanym na kształt namiotu.

- Co to ma znaczyć? - spytała. - Co moje prześcieradła mają z tym wszystkim wspólnego?

- To, że są na nich ślady miłości.

Aislinn zbłądła i zacisnęła tak mocno dłonie na kierownicy, że aż zbieła jej kłykcie. Z zażenowania zaschło jej w gardle.

- Jeżeli zależy ci na bliższych wyjaśnieniach, chętnie służę - dorzucił miękko. - Ale jesteś już dorosła i możesz się sama tego domyślić. Bardzo długo nie miałem sposobności widzieć rozebranej kobiety, a coś dopiero mówić o leżeniu obok niej w łóżku, wdychaniu jej zapachu, słuchaniu jej oddechu. Pomyśl o tym, Aislinn - rzekł zniżając głos.

Nie chciała o tym myśleć. Ani przez chwilę. Ręce miała śliskie od potu, ścisnęła ją w żołądku. Kiedy to się stało? Jak? Pewnie kłamał, zmyślił to wszystko. Ale mógł także mówić prawdę.

Czy policja da wiarę jej zeznaniom? Jakimi dowodami będzie mogła je podeprzeć? W dodatku nie znajda w jej mieszkaniu śladów włamania.

Oczywiście, wkrótce wszystko się musi wyjaśnić. W końcu jego kłamstwo wyjdzie na jaw. Lecz nim się to stanie, może narobić jej mnóstwo kłopotów. I wstydu. Nigdy już nie uda jej się wymazać z pamięci tego incydentu, Zwłaszcza rodzice będą zdruzgotani.

- I nie poddam się bez walki - szepnął w momencie, gdy naciskała hamulec, zajmując miejsce w kolejce oczekujących aut.

- Nie dostaną mnie żywego - dodał stłumionym głosem spod czasopisma, którym osłonił sobie twarz.

Przed nimi był już tylko jeden samochód. Nachylny przy nim policjant rozmawiał z kierowcą.

- Jeśli nie chcesz mieć mnie na sumieniu, a także tych, którzy mogą zginąć razem ze mną, spręż się i przeturlaj nas przez tę blokadę.

Czas na decyzję mijał. Policjant zwolnił kontrolowany samochód i dał Aislinn znak, żeby podjechała, O Boże, myślała, jak ja się w to wpakowałam? Co mam robić?

Dziwne, ale w krytycznym momencie przestała się w ogóle zastanawiać. Zapomniała o dylemacie wyboru pomiędzy sumieniem a zdrowym rozsądkiem. Po prostu reagowała spontanicznie.

Opuściła boczną szybę i zanim policjant otworzył usta, zalała go potokiem słów.

- Och, tak się cieszę, że mnie pan zatrzymał. Chyba coś jest nie tak z tym samochodem. Cały czas mru-

ga to czerwone światełko. Jak pan myśli, co to może być? Nic strasznego, mam nadzieję - spojrzała otwartymi naiwnie oczami na policjanta, oddychając płytko, aby wyglądać na zaaferowaną.

Poskutkowało. W dodatku, nie uczesane rano i zwichrzone podczas drzemki w aucie włosy opadały jej na ramiona w tak malowniczym nieładzie, że musiało to zrobić wrażenie na biednym policjancie, obarczonym niewdzięcznym zadaniem sprawdzania samochodów na rozprażonym sierpniowym skwarcie od cinku drogi, po to tylko, aby szukać jakiegoś indiańskiego wyrodką, który zapewne dawno już zwiął do Meksyku.

- Cóż, młoda damo - powiedział życzliwie, spychając kapelusz ze spoconego czoła. - Zobaczymy, co to za problem.

Schylił się, żeby spojrzeć przez okienko na deskę rozdzielczą, lecz Aislinn widziała, że zapuścił żurawia za jej dekolt. Ale kiedy zerknął na tylne siedzenie, przybrał zaraz oficjalną minę.

- Kto to jest?

- Och, to mój mąż - powiedziała z niesmakiem, wzruszając obojętnie ramionami i nakręcając zalotnie na palec pukiel włosów. - Robi się nieznośny jak stary niedźwiedź, kiedy go budzę, jak jesteśmy w podróży. Każe mi zawsze prowadzić. Ale dzisiaj jestem z tego zadowolona - zatrzepotała rękami, ponownie nada-

jąc swym dużym błękitnym oczom lalkowaty wyraz i policjant znowu się uśmiechnął.

Greywolf znalazł się nieźle na ludziach, ale nie bardzo mógł pojąć, czemu Aislinn wykonuje zleczone jej zadanie aż z taką gorliwością. Nie był to zresztą stosowny moment do psychologicznych dociekań, tym bardziej, że policjant znowu się odezwał.

- Nie widzę, żeby tu mrugała jakaś lampka - stwierdził. Zabawne, że mówił szeptem, najwidoczniej nie chcąc obudzić śpiącego męża, który mógłby się okazać bardziej niż nieznosny wobec kogoś, kto się zaleca do jego żony.

- No, to dziękuję panu - brawura Aislinn była na wyczerpaniu. Teraz, kiedy rzeczywiście pomogła przestępcy, stając się jego współniczką, chciała się jak najszybciej ulotnić. - Chyba to jakieś głupstwo.

- Mógł to być może sygnał, że silnik się przegrzewa - rzekł policjant, łypiąc na nią pożądliwie okiem. - Tak jak mój - dodał jeszcze, Aislinn zdobyła się na uśmiech, choć skóra jej cierpła ze strachu i obrzydzenia.

Greywolf poruszył się, mamrocząc coś pod nosem i obleśny uśmiezek spełzł szybko z warg policjanta.

- Do zobaczenia - rzuciła mu, przenosząc wolno stopę z hamulca na pedal gazu. Starła się nie sprawiać wrażenia, że się spieszy, chociaż kierowca stojącego za nią auta trąbił już niecierpliwie.

Policjant uciszył go surowym spojrzeniem.

- Lepiej niech pani sprawdzi, czy to światło znów się zapala - poradził Aislinn. - Mógłbym uprzedzić przez radio...

- Nie, nie, proszenie zadawać sobie trudu. Obudzę męża, gdyby się zaświeciło. Do zobaczenia!

Podkręciła szybę i dodała gazu. We wstecznym lusterku dostrzegła, jak policjant udziela wyjaśnień owemu zdenerwowanemu kierowcy, który uważał, że przez jej gadulstwo traci czas.

Dopiero kiedy blokada była daleko za nimi, udało się jej ochłonać. Trzymała kierownicę tak kurczowo, że z niemałym wysiłkiem rozluźniła palce. Paznokcie wbiły się jej w dłonie niemal do krwi. Rozdygotana, zaczerpnęła z całych sił powietrza i usadowiła się swobodniej w fotelu.

Greywolf przesiadł się na przednie siedzenie z zaskakującą zręcznością jak na kogoś o jego wzroście.

- Świetnie ci poszło - powiedział. - Nikt by nie zgadł, że jesteś nowicjuską w przestępczym światku.

- Zamknij się! - krzyknęła, zjeżdżając z impetem na pobocze i hamując tak ostro, że żwir trysnął fontanną spod opon. Gdy tylko samochód stanął w miejscu, oparła głowę o kierownicę i zaczęła szlochać.

- Nienawidzę cię. Proszę, puść mnie. Boję się, jestem zmęczona i głodna, chce mi się pić. Dlaczego to

zrobiłam? Dlaczego? Jesteś przestępcą, a ja pierwszy raz w życiu oszukałam przedstawiciela prawa. Teraz i ja mogę trafić do więzienia. Czemu ci pomagam, skoro i tak pewnie mnie zabijesz?

Greywolf siedział obok niej bez ruchu. Wypłakawszy się, otarła wierzchem dłoni mokre policzki i podniosła na niego podpuchnięte oczy.

- Chciałbym bardzo cię pocieszyć, Aislinn, powiedzcie, że najgorsze już mamy za sobą, ale wydaje mi się, że nasze kłopoty dopiero się zaczęły.

Spojrzał na jej piersi, co jej natychmiast przypomniało, że są nieprzyzwoicie odsłonięte.

- Co masz na myśli? - spytała, zapinając drżącym i rękami bluzkę.

- Mam na myśli te pieprzone blokady. Nie wziąłem tego pod uwagę. Musimy gdzieś popatrzeć w telewizor.

- Telewizor?-powtórzyła jak echo.

- Tak. Z pewnością będą podawać informacje o obławie. Mam nadzieję, że dzięki temu dowiem się, gdzie zastawiono pułapki. W drogę- ponaglił ją nakazującym ruchem podbródka.

Usłuchała, wprowadzając osowiale auto z powrotem na autostradę.

- A może włączyć radio? - spytała. - Będą w nim przecież te same wiadomości.

- Ale nie tak dokładne. A poza tym czyżbyś nie

wiedziała, że lepiej raz zobaczyć, niż sto razy posłuchać?

- Domyślam się, że powiesz mi, gdzie mam się zatrzymać.

- Tak jest. Teraz po prostu jedź.

Przez następną godzinę nie zamienili ze sobą ani słowa, choć Greywolf częstował ją wyjmowanymi z torby krakersami i serem. Obrał także i podzielił na cząstki pomarańczę. Podawał je Aislinn wprost do ust. Zżywała się nieco, ale za każdym razem rozchyłała posłusznie wargi.

Kiedy dojechali do jakiegoś ponurego miasteczka, Greywolf kazał jej zwolnić. Znaleźli się w szpalerze piwiarni, które obsiadły szosę jak smutne stare kurwizony, rozpaczliwie polując na klienta.

- Tutaj - wskazał palcem bar. - Podjedź pod „Szkarłatny Kwiat”.

Aislinn skrzywiła się. „Szkarłatny Kwiat” miał wygląd wyjątkowo podłej speluny.

- Miejmy nadzieję, że trafiliśmy na szczęśliwą godzinę i bar serwuje tańsze trunki - zauważyła ironicznie.

- Mają telewizor - rzekł Greywolf, wskazując antenę sterczącą na blaszanym dachu. - Wysiadaj.

- Tak jest, proszę pana - burknęła, otwierając z trudem drzwiczki. Wyprostowała się wreszcie z ulgą. Masując rękami krzyż, przeciągnęła się i stanęła kilkakrotnie na palcach, aby rozruszać nogi.

Na wyżwirowanym parkingu stało tylko kilka zakurzonych samochodów. Greywolf ujął ją za ramię i poprowadził ku drzwiom. Przerdzewiała siatka w drewnianej ramie świeciła wielką dziurą. Poszarpane druty sprawiały odstręczające wrażenie, tak samo zresztą, jak i całe to miejsce. Aislinn udawała spokój, ale zamierzała wszcząć alarm natychmiast po przekroczeniu progu piwiarni.

- Wybij sobie z głowy te myśli.
- Jakie myśli?
- Że rzucisz się zaraz w ramiona jakiegoś zbawcy.

Wierz mi, w takiej mordowni jak ta nie znajdziesz bezpieczniejszego towarzystwa niż moje - powiedział i chyba nie przesadzał zbytnio, bo Aislinn widziała, jak przed opuszczeniem auta wsuwał nóż za cholewkę buta. - A teraz - rzekł, obejmując ją ramieniem - postaraj się zachowywać jak napalona cizia.

- Co takiego?
 - Właśnie to. Wskoczyliśmy na grzeszną randkę.
 - Brak ci piątej kleпки, jeśli sądzisz, że... Przystań!
- krzyknęła, bo ręka Greywolfa weszła w niepokojąco bliski kontakt z jej piersią. Jego palce wciskały się tak mocno w jej ciało, że nie mogło być mowy o wyrwananiu się.

- Hola, pszczołeczko, to tak się mówi do swojego kochasia? - zapytał teatralnym tonem.

Przybierając zawadiacką, acz nieco chwiejną posta-

wę, popchnął wykoślawione drzwi i wtoczył się do mrocznego zadymionego wnętrza. Żeby nie stracić równowagi, Aislinn musiała się chwycić za przód jego koszuli, przyciskając mu dłoń do brzucha. Puścił do niej oko, jak gdyby wyrażając jej uznanie. Chciała krzyknąć, że zrobiła to nieumyślnie, że inaczej mogłaby się przewrócić, ale zrezygnowała.

Obskurność otoczenia odebrała jej mowę. Lokale w rodzaju „Szkarałatnego Kwiatu” oglądała dotąd jedynie na filmach. Minęła chwila, zanim jej wzrok przystosował się do półmroku, ale kiedy przed jej oczami zaczęły wyłaniać się jakieś kształty, poczuła się jeszcze bardziej nieswojo.

Niski sufit zasnuty był szczelnie kłębamii tytoniowego dymu. Wzdłuż kontuaru barowego ciągnął się rząd wysokich stołków z wyświechtanymi siedzeniami. Pokrywał je plastik, który niegdyś był czerwony, ałe dawno przemienił się w brudny brąz. Zajęte były tylko trzy stołki. Na odgłos zatraskujących się drzwi trzy postacie odwróciły jednocześnie głowy. Trzy pary oczu spoczęły podejrzliwie na nowo przybyłych.

Spod grubej warstwy makijażu spoglądała na nich rozczochrana blondyna, która, opierając stopy o sąsiedni stołek, malowała sobie paznokcie u nóg.

- Hej, Ray, mamy klientów - zawołała donośnie.

Adresatem tego wezwania był opasły mężczyzna za barem. Opierając się grubymi łapskami o lodówkę,

wlepiat wzrok w ustawiony wysoko w kącie telewizor, pochłonięty bez reszty oglądaniem jakiegoś ckiego filmu.

- No, to ich obsłuż! - odrzyknął, nie odrywając oczu od ekranu.

- Lakier mi jeszcze nie wyszechł.

Ray bluznął wiązką wyrazów z gatunku tych, jakie w pojęciu Aislinn bywają gryzmoione jedynie na ścianach publicznych szaletów. Odkleiwszy cielsko od lodówki, spojrział kwaśno na gości. Twarzy Greywotfa nie mógł widzieć, bo ten zanurzył ją we włosach Aislinn i błędził językiem w jej uchu.

Mimo to panował całkowicie nad sytuacją.

- Dwa zimne piwa - zadysponował na tyle głośno, że Ray musiał go usłyszeć. Następnie popchnął lekko Aislinn ku jednej z odrapanych nisz pod ścianą, skąd mieli dobry widok zarówno na drzwi, jak i na telewizor. - Siadaj, i to już! - szepnął.

Nie miała nawet czasu zbadać czystości kanapy. Greywolf wśliznął się za nią i przyparł ją do przepierzenia.

- Pchasz się na mnie - poskarżyła się cicho.

- I o to właśnie chodzi.

Nadciagnął Ray z piwem, kołyszając się kaczkowato. Dłonie miał wielkie jak szynki i żałobę za paznokciami. Greywolf odwrócił głowę, obcałowując kark Aislinn. Barman grzmotnął butelkami o plastikowy blat stołu.

- Trzy dolce - powiedział. - Płatne od ręki.

- Uregulujesz, skarbie, dobrze? - rzekł Lucas przymilnie, gładząc bark Aislinn pieszczotliwym ruchem. - Jestem taki zajęty.

Zacisnęła zęby, powstrzymując się od wybuchu. Miała ochotę wrzasnąć, żeby przestał jej dotykać albo zabrał ją z tej dziury, albo poszedł sobie do diabła. Ale z drugiej strony była zadowolona, że jest tu przy niej. Nawet gdyby zjednała sobie Raya i jego kompanów, było bardzo wątpliwe, czy ta opieka wysłaby jej na dobre. Greywolf był przynajmniej znajomym zbiorem.

Wyszperała w torebce trzy dolarowe banknoty i położyła je na stole. Ray, który wciąż zerkał przez ramię na telewizor, zgarnął pieniądze i poczępał z powrotem za bar.

- Grzeczna dziewczynka - szepnął jej do ucha Lucas.

Wolałaby, żeby Greywolf - teraz, kiedy Ray się oddalił - traktował swoje amory mniej serio.

Mógłby przynajmniej wyjąć rękę spod jej bluzki, zaprzestając zabaw z ramiączkiem stanika.

- No i co dalej? - spytała.

- Będziemy się czulić.

- Ażeby cię...

- Cii - syknął ze złością. - Chyba nie chcesz zwrócić uwagi Raya, co? A może podobają ci się bardziej

tamci dwaj kowboje? Wybawić panienkę z opresji to dla nich rozkosz.

- Och, daj spokój - powiedziała, kiedy znów zaczął całować ją po szyi. - Miałeś tu tylko poczekać na wiadomości telewizyjne.

- Zgadza się. Ale nie chcę, żeby inni o tym wiedzieli.

- A ja tymczasem mam siedzieć i pozwalać ci się obściskiwać?

Zamruczał potakująco.

- Ile to potrwa? - spytała.

- Tyle, ile będzie trzeba. Co pół godziny będziemy zamawiać piwo, żeby Ray nie zarzucił nam nadużywania gościnności.

Zastanawiała się, jak mężczyzna może łączyć jednocześnie dwie tak różne czynności, jak prowadzenie ważnej rozmowy i dobieranie się z takim zapałem do kobiety.

- Nie dam rady wypić tyle piwa - oznajmiła, robiąc uniki przed jego pocałunkami.

- Wylewaj je dyskretnie na podłogę. Wątpię, czy kiedykolwiek to zauważą.

- To prawda - odrzekła, unosząc stopę z podłogi lżej od substancji, których natury lepiej było nie dociekać. - Jesteś pewien, że to gra warta świeczki?

- Co cię gryzie, skarbie? Żle się bawisz? - trafił na zapięcie jej bluzki i skubał palcami guziki.

- Żle.

- Marzy ci się następna blokada? Miałeś frajdę, podpuszczając tego biednego gliniarza?

- Jesteś obrzydliwy - odchyliła się, opierając plecy o twardą, powypychaną tapicerkę kanapki i usiłowała nie zważać na błędzące wciąż po jej ciele ręce i usta Greywolfa.

- Uważam, że się za mato przykładasz do swojej roli, kotku. To może zwrócić uwagę. Postaraj się być nieco chętniejsza - mruknął, dotykając niemal wargami jej ust.

- Nie. To wstrętne.

- A to czemu? - odsunął głowę i zmierzył ją zimnym spojrzeniem.

Obraził się. Ale dlaczego? Bo pomyślał, że ją mierzi jako Indianin, czy też uznał, że nisko ocenia jego karesy? Tak czy owak, cóż ją to mogło, do licha, obchodzić? Niech się obraża.

- Nie przywykłam do zachowywania się w ten sposób w miejscach publicznych, panie...

Nie zdążyła dokończyć. Zamknął jej usta pocałunkiem. Innym niż do tej pory. Pocałował ją teraz tylko dlatego, żeby nie wymówiła jego nazwiska. Nie rozchylił warg, a mimo to Aislinn czuła się unieruchomiona. Nie mogła nawet pisać.

Zresztą, o to mu właśnie chodziło.

- Uważaj na drugi raz - wyszeptał odsuwając od niej twarz.

Skinęła w milczeniu głową, choć serce jej łomota-

ło. Przrzekła sobie, że już więcej nie będzie go prowokować. Nie życzyła sobie, by ją znowu całował. Brak jej było wprawdzie całkowitej jasności, dlaczego tak bardzo sobie tego nie życzy, ale z pewnością nie chciała, by znów ją całował.

Na szczęście nikt nie zwrócał na nich uwagi. W „Szkarałtym Kwiecie” obowiązywało niepisane prawo niewtrącania się w cudze sprawy, chyba że ktoś sam się tego dopraszał.

Choć Greywolf gorliwie udawał, że absorbuje go wyłącznie namiętne umizgi do Aislinn, to nie umykało mu nic z tego, co się działo w barze. Pozornie podpity, miał powieki na pół opuszczone, ale ukradkiem obserwował wszystkich obecnych, sprawdzając, czy przypadkiem nie został rozpoznany. Nikt jednak nie okazywał im najmniejszego zainteresowania. Raz po raz Lucas domagał się z pijacką swadą piwa, a przynosił je bądź Ray, bądź kelnerka, której tymczasem wysechł już lakier na paznokciach.

Goście wchodzili i wychodzili. Przeważnie zamawiali jeden lub dwa drinki i opuszczali bar. Niektórzy byli sami, inni zjawiali się grupkami po kilka osób. Jeden z nich przyssał się do maszyny z minikregielnią, rozdzwaniając ją tak, że Aislinn była bliska furii. Kiedy kreglarz wreszcie wyszedł, główną atrakcją stał się telewizor. Wyświetlano powtórkę jakiejś komedii i Ray znów zmienił się w słup soli.

Aislinn czas dłużył się coraz bardziej. I nie dlatego, że się nudziła. Zaczynały ją zawodzić” nerwy. Wmawiała sobie, że to z powodu napięcia, z jakim czekała, aż w barze zjawi się ktoś, kto ją uratuje. Naprawdę jednak w popłoch wprawiła ją gra miłosna, jaką ćwiczył na niej Greywolf.

Inaczej nie można było tego nazwać. Wszystko o tym świadczyło. Na przykład sposób, w jaki wsuwał palce w jej włosy: przytrzymywał głowę, żeby swobodnie wodzić wargami wzdłuż szyi. To, jak ścisnął ją za udo, gdy kelnerka podawała im piwo. I to, jak wędrował czubkiem języka wokół jej uszu.

- Przestań-jęknęła wreszcie, kiedyna skutek jednej z tych pieszczot dostała gęsiej skórki na całych rękach.
- Ten jęk był dobry. Tylko tak dalej - szepnął w chwili, gdy ich niszę mijało dwóch kierowców ciężarówek w drodze do automatu kreglarskiego.

Ująwszy Aislinn za rękę, wsadził ją sobie pod koszulę i przycisnął dłońią. Próbowała łagodnieją cofnąć, ale był silniejszy. Ponieważ i tak zmuszona była go dotykać, uległa pokusie eksperymentu. Leciufenko wpiła mu się koniuszkami palców w ciało i podsunęła nieznacznie kciuk ku górze. Natrafiła na sutek, który zaraz stwardniał.

Greywolf otworzył usta, łapiąc z trudem oddech.

- Na miłość boską - warknął - nie rób tego. - Był śpiący przez całe popołudnie, ale teraz mięśnie całkiem mu zeszywniały.

Szybko cofnęła rękę.

- Przecież robię tylko to, co...
- Cicho!
- Niemów, że...
- Sza. Patrz. Telewizor!

Aislinn spojrzała na ekran. Prezenter ze stacji w Phoenix odczytywał właśnie informację o pogoni za nieuchwytnym dotąd zbiegiem z więzienia, obrońcą praw Indian nazwiskiem Grey wolf. Po chwili pokazano twarz Lucasa. Aislinn ledwie go rozpoznała. Włosy miał ostrzyżone niemal do gołej skóry.

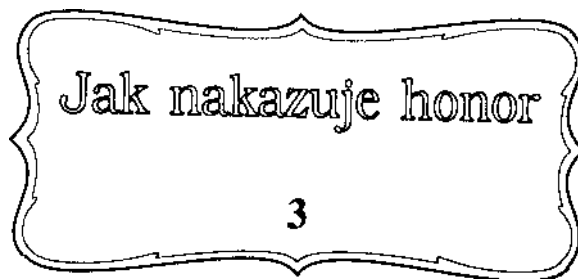
- Niezbyt korzystne zdjęcie - skomentowała oschle.

Greywolf uśmiechnął się kącikiem ust, ale milczał, patrząc w skupieniu na rzuconą właśnie na ekran mapę Arizony. Tak jak przypuszczał, dziennikarze wyświadczyli stróżom prawa niedźwiedzią przysługę pokazując wszystkie punkty, gdzie zablokowano drogi. Mimo że był to oczywisty sabotaż akcji policyjnej, konkurujące ze sobą stacje telewizyjne wcale się tym nie przejmowały.

Kiedy spiker zaczął przekazywać inne wiadomości, Lucas błyskawicznie przeniósł się na skraj niszy.

- Okay, chodźmy - ponaglił Aislinn. - Inie zapomnij powłóczyć nogami. Jesteś przecież po kilku piwach.

Wyciągnął ku niej rękę, ale nagle drzwi się otworzyły i pojawił się w nich nowy klient. Greywolf zaklął cicho, ale soczyście. Przybysz miał na sobie mundur policyjny.



Policjant zdjął niedbałym ruchem kapelusz i otarł rękawem spotniałe czoło. Jego mundur wskazywał, że jest szeryfem lub co najmniej jego zastępcą.

- Stella, podaj mi piwo! - zawołał od progu.

Blondyna odwróciła się, obdarzając go uśmiechem, który świadczył, że ich znajomość nie datuje się od wczoraj.

- Patrzajcie no, kto tu przyczłapał - powiedziała i oparła łokcie o kontuar, wypinając ogromny biust.
- Stęskniłaś się za mną, co?
- Diabła tam - wycodziła, okalając ramieniem opalony kark szeryfa w momencie, gdy wdrapywał się na stołek, przy którym stała. - Wiesz, jak to ze mną jest. Co z oczu, to z serca.
- Od dwóch dni uganiamy się na jakimś przeklętym Indianinem, który znikł jak kamień w studni. Dobrze by mi zrobiły dwa zimne piwka i trochę czułości.

- Czy w tej kolejności? - zamruczała jak kotka tuż przy jego ustach. Cmoknęła ja przelotnie i klepnęła zaraz w wydatne biodro.

- Dawaj to piwo.

Stella odpłynęła spełnić zamówienie, a Greywolf usiadł z powrotem przy Aislinn.

- Cholerny świat - zaklął z cicha, uderzając pięścią w udo. - Jeszcze kilka minut, a już by nas tu nie było. Szlag by to trafił!

Nie przestając kłać, zabrał się znów do obściskiwania Aislinn.

- Nie waż się przyciągnąć jego uwagi, skarbulku. Zanim cię wybawi, będzie musiał uporać się ze mną.

- Co chcesz zrobić?

- Na razie nic. Żeglujemy dalej tym samym kursem - powiedział całując ją w kark. - Może sobie zaraz pójdzie.

Jednak policjant najwyraźniej nie kwapił się do opuszczenia baru. Stella rozstawała się z nim tylko wtedy, gdy musiała kogoś obsłużyć. Flirtowali bezwstydnie, przerzucając się erotycznymi aluzjami, aż w końcu przeszli od przekomarzań w fazę intymnych szeptów, przerywanych raz po raz wybuchami zmysłowego śmiechu kelnerki. Szeryf ustawnie ją obmacywał, a ona nie miała nic przeciw temu.

Z początku Aislinn wiązała pewne nadzieje z jego

obecnością, ale wkrótce zaczęła wątpić, czy szeryfowi w ogóle zależy na pojmaniu Greywolfa. Ponadto wielu ludzi, i to nie tylko Indian, uważało, że wyrok w tym procesie był niesprawiedliwy, i współczuło mu. Jeśli szeryf do nich należał, mógł po prostu zignorować Greywolfa.

Mimo to pokładała wciąż w policjancie pewne nadzieje, choć była przekonana, że nie podziękuje jej za zepsucie wieczoru, który zamierzał spędzić w towarzystwie Stelli.

- W stosownej chwili wstajemy i wychodzimy, rozumiesz? - poinstruowała ją Lucas.

- Tak - odparła może nazbyt pośpiesznie.

Greywolf uniósł lekko głowę, popatrzył Aislinn w oczy i sięgnął ręką pod stół. Zanim jeszcze dostrzegła błysk noża, wiedziała, że wyciąga go z buta.

- Nie zmuszaj mnie, żebym się tym posłużył, zwłaszcza przeciw tobie - ostrzegł.

- Dlaczego zwłaszcza przeciw mnie?

- Ponieważ w trakcie tego przemiłego popołudnia przekonałem się, jakie masz przyjemne ciało i uszkodzenie go sprawiłoby mi wielką przykrość.

- Obyś się smażył w piekle - rzekła przez zęby.

- Jestem pewien, że twoje życzenie się spełni - odparł i zamilkł, koncentrując się na obserwacji szeryfa Stelli. Przypatrywał się im nieruchomym wzrokiem

niiby jastrząb wypatrujący zdobyczy. - Teraz - rzucił

dosirzegliście, że ręka policjanta ruszyła w odkrywczą podróż po biuście kelnerki.

Aislinn spodziewała się, że Greywolf będzie się chyłkiem przemykał do drzwi. Toteż była zdumiona, gdy poderwał ją gwałtownie z miejsca, aż się zatoczyła i oparła o niego, żeby nie upaść. Lucas natychmiast objął ją w pasie i przycisnął do swego boku. Odpychając się pięściami od jego klatki piersiowej, próbowała się wyrwać i otworzyła usta, by krzyknąć, lecz dotyk noża sprawił, że skończyło się na krótkim sapnięciu.

- Spokój - rzekł chrapliwym, tak niebezpiecznie zimnym głosem, że od razu przeszła jej chęć ucieczki.

Ruszyli chwiejnie ku drzwiom. Greywolf szedł z głową na ramieniu Aislinn, udając, że ma mocno w czubie.

- Hej, proszę pana!

Aislinn potknęła się, ale Lucas szedł równo dalej,

- Hej, proszę pana! Do pana mówię, wodzu!

Poczuła na policzku przyspieszony oddech Greywofla, który przystanął i uniośł głowę.

- Tak? - popatrzył pytająco na Raya, bo to on właśnie wołał.

- Mamy pokoiki na zapleczu - poinformował, wskazując kierunek odchylonym kciukiem. - Może chcecie spędzić tam wieczór?

- Nie, dziękuję - odparł Lucas. - Muszę ją odholować do chaty, zanim jej stary wróci.

Ray zachichota! obleśnie i wrócił! przed telewizor, tym razem, żeby się gapić na jakąś sensacyjną historijkę. Co do szeryfa, to wyciska! akurat namiętny pocałunek na chętnych ustach Stelli i nawet nie spojrzął! w ich stronę. Gdy tylko wyszli, Aislinn zaczerpnęła głęboko świeżego powietrza. Obawiała się już, że nigdy się nie uwolni od odoru piwa i zatechłego dymu, którym oddychała w barze. Greywolf natomiast nie zamierzał tracić czasu na rozkoszowanie się zmianą atmosfery i czym prędzej wepchnął! Aislinn do samochodu.

Odetchnął swobodniej dopiero wtedy, gdy oddalili się od „Szarłatnego Kwiatu” o dobrych kilka mil. Opuści! boczna szybę i z niekłamaną przyjemnością wystawiał twarz na podmuchy powietrza.

- Nabierasz wprawy w wystawianiu władzy do wiatru - skonstatował.

- Nóż przy żebrach bardzo mi w tym pomógł.

- Takie właśnie miał zadanie.

Zdawał się dobrze wiedzieć, dokąd zmierza, choć zjechali na jakąś mało uczęszczaną szosę, pozbawioną poboczy i świateł regulujących ruch. Była skąpo oznakowana i tak wąska, że przy mijaniu aut jadących z naprzeciwka Aislinn zamykała oczy ze strachu przed czołowym zderzeniem.

Greywolf prowadził szybko, ale pewnie. Białe pasy na jezdni zaczęły Aislinn migotać w oczach i po ja-

kimś czasie przysnęła. Ocknęła się na dźwięk siarczystego przekleństwa Lucasa.

- Psiakrew! A bodaj to wszyscy diabli!

- Czy ktoś nas goni? - spytała z ożywieniem, prostując się i oglądając za siebie.

- Świeci się lampka temperatury.

Spuściła głowę z uczuciem zawodu. Przez moment miała nadzieję, że ktoś w „Szkarłatnym Kwiecie” rozpoznał jednak Greywolfa, ale przez ostrożność nie wszczynał alarmu przed wezwaniem posiłków.

- Świeciła się już, kiedy dojeżdżaliśmy do blokady - powiedziała, osuwając się z powrotem na fotel.

Lucas spiorunował ją wzrokiem. Poblask od tablicy rozdzielczej oblewał mu twarz niesamowitą zielonkawą poświatą. W oczach skrzyła mu się zimna wściekłość.

- To znaczy, że silnik naprawdę był przegrzany już po południu?

- Nie słyszałeś, co mówiłam temu policjantowi?

- Myślałem, że tylko tak picujesz - zawołał.

- No wiesz!

- To dlaczego nic mi nie powiedziałaś, kiedy zjeżdżałem na boczną drogę?

- Bo nie pytałeś.

Cisnął tak strasznym przekleństwem, że Aislinn nie ośmieliłaby się go powtórzyć w obawie przed gniewem boskim. Po chwili skręcił z drogi tak raptownie, że przygryzła sobie wargę.

- Dokąd jedziesz? - spytała z niepokojem.

- Silnik musi ostygnąć, bo się całkiem zatrze. A naprawić się teraz nie da, bo jest ciemno.

Odjechał kilkaset metrów w bok od drogi. Teren był mocno nierówny i Aislinn musiała się opierać o deskę rozdzielczą, żeby nie spaść z siedzenia. Kiedy wreszcie stanęli, motor syczał jak czajnik z gotującą się wodą. Grey wolf wysiadł, oparł się plecami o samochód i zwiesił posepnie głowę.

- Jasna cholera! Zmarnowałem dziś mnóstwo czasu. Najpierw ta piekielna knajpa, a teraz to - zawołał. Przymusowa zwłoka wprawiła go najwyraźniej we wściekłość. Podszedł do dymiącej maski i kopnął ze złością oponę, syjąc przekleństwami.

Aislinn także wysiadła i przeciągała zdrtwiałe mięśnie.

- Czyżby gonił cię jakiś termin? - spytała.

- Owszem, goni nas pewien termin - odrzekł ponuro tonem odradzającym jej dalsze ciągnięcie tego tematu. Po chwili potrząsnął głową i westchnął z rezygnacją. - Skoro już tu ugrzęźliśmy - powiedział - dobrze będzie trochę się przespać. Właż na tylne siedzenie.

- Nie jestem śpiąca - rzekła z grobową miną.

- Wszystko jedno. Właż do samochodu! - zarząbiał.

Aislinn rzuciła mu spojrzenie bazyliuszka, ale usłu-

chała. Greywolf otworzył wszystkie drzwiczki auta z wyjątkiem jednych z tyłu, ulokował się na siedzeniu plecami do nich i zanim Aislinn zdążyła się zorientować, wcisnął ją sobie między szeroko rozrzucone nogi-

- Puść mnie! - krzyknęła ze złością, ale próby wyswobodzenia się doprowadziły jedynie do coraz ściślejzego kontaktu jej pośladków z podbrzuszem Lucasa i dała w końcu za wygraną.

- Będziemy teraz spać - oznajmił i przycisnąwszy do siebie plecy Aislinn, otoczył ją ramionami niby stalową obręczą tuż pod piersiami. Ta pozycja całkowicie ją obezwładniła, ale była dość wygodna. Pod warunkiem, że udałoby się jej odprężyć. Na to jednak się nie zanosilo.

- Przecież nie będę łązić sama po pustyni. Puść mnie.

- Nie ma mowy. Chyba że cię przywiążę do kierownicy.

- Dokąd mogę uciec?

- Przekonałaś już mnie, że jesteś niezwykle pomyślna.

- Ale to zupełne pustkowie. I jest ciemno.

- Świeci księżyc.

Zauważyła to. Świeciły także gwiazdy. I to takie, jakich nigdy dotąd nie widziała. Ogromne, jasne i bardzo bliskie. Całkiem inne niż w mieście. Kiedy indziej

podziwiałaaby je, zachwycałaby się tą nocą, uległaby jej czarowi.

Teraz jednak była od tego jak najdalsza. Ta noc miała pozostać w jej pamięci jako koszmar.

- Byłabym idiotką, gdybym ruszyła się stąd sama, nawet gdybym wiedziała, gdzie jestem i udałoby mi się uciec.

- Właśnie zadbałem o to, żebyś tego nie zrobiła. A teraz, dla twojego własnego dobra, leż spokojnie.

Pogróżka, jaką podszyte było to ostrzeżenie, uczuliła ją także na coś innego. Na przykład na drżenie jego ręk podpierającej jej piersi. A także na ucisk, jaki odczuwała w okolicach krzyża. Przełknęła nerwowo ślinę, udając sama przed sobą, że nie wie, co ją uwiera.

- Proszę, nie rób tego. - Była gotowa schować dumę do kieszeni i zniżyć się do błagania. Nie wyobrażała sobie, że będzie mogła przez całą noc znosić jego bliskość. Nie dlatego, że było to bardzo przykre, ale dlatego, że przykreść ta była mniejsza niż być powinna. - Puść mnie.

- Nie.

Wiedziała, że nie ustąpi. Przestała go prosić, ale nie potrafiła się odprężyć. Grzbiet miała sztywny jak deska. Niebawem rozbolał ją kark, bo unosiła ciało, żeby jak najmniej się z nim stykać. Opuściła głowę na jego bark dopiero wtedy, gdy zdawało się jej, że zasną.

- Jest pani bardzo uparta, panno Aislinn.

Zacisnęła zęby, zła, że rozszyfrował jej upór i uchwycił moment, w którym skapitulowała. Prawdopodobnie wyczekał go rozmyślnie.

- Gdybyś rozluźnił trochę ręce, byłoby mi łatwiej oddychać.

- A także sięgnąć po nóż. Niewiele było takich jak ty - dodał po dłuższej chwili.

- To znaczy jakich?

- Kobiet, z którymi spędziłem więcej niż jedną noc.

- Nie myśl, że mi to schlebia.

- Nie myślę. Jestem pewien, że dla takiej janke-skiej dziewicy nie może być nic gorszego niż Indianin pomiędzy jej śnieżnobiałymi udami.

- Jesteś wulgarny. A ja nie jestem dziewczyną.

- Bytaś zamężna?

- Nie.

- Jakieś romanse?

- Nie twój interes.

Za nic w świecie nie przyznałaby mu się, że przyda- rzył się jej zaledwie jeden. I prawie nie zasługiwał na wzmiankę. Było to głęboko rozczarowujące doświad- czenie, któremu poddała się głównie dla zaspokojenia ciekawości.

Niewiele ją łączyło z tym mężczyzną. Ich uczucie było ulotne, pozbawione ciepła, nie wynikało ani ze szczególnej więzi duchowej, ani nawet z czysto zmy- słowego pociągu. Czuła się potem mocno zawiedzio-

na, wyzuta ze złudzeń i przypuszczała, że jej partner doświadczył tego samego.

Później już nie podejmowała ryzyka takich krępu- jących przygód i ostatnio zaczęła się nawet podejrze- wać o oziebłość. Mężczyźni, z którymi się spotykała, zalecali się do niej, żaden jednak nie zainteresował jej na tyle, by owe znajomości mogły przekroczyć próg wspólnych kolacji w restauracjach i zdawkowych po- całunków na dobranoc.

Tak więc, zamiast zwierzać się ze swoich miłostek, a raczej ich braku, zapytała:

- A ty? Czy często wdawałeś się w romanse?

Jednakże Lucas albo już usnął, albo zignorował pytanie, bo pozostało ono bez odpowiedzi.

Skuliła się pod wpływem chłodu. Gdzieś z głębi odpływającego snu dobiegł ją miękki odgłos podobny mruczeniu wielkiego kocura. Poruszyła się, a kiedy umysł zaczął układać w całość strzępki nadsyłanych przez zmysły sygnałów, przyszło nagle rozbudzenie i otworzyła oczy.

- O mój Boże! - jęknęła.

- A co ja mam powiedzieć? - stęknął Lucas.

Leżała na nim rozpląszczona jak żaba.

Musiała obrócić się we śnie, bo teraz jej policzek spoczywał w rozpięciu jego koszuli. Piersiami uciska- ła mu brzuch, a jej biodra...

- O Boże - powtórzyła ze zgrozą, bo w rozchylnych udach wyczuwała jego męskość.

I to w stanie silnego pobudzenia.

Zarumieniona podniosła się i przeturlała w kąt samochodu, gdzie była wolna przestrzeń.

- Przepraszam - bąknęła, nie patrząc na niego.

- Ja też - mruknął i otworzywszy drzwi wyskoczył z auta. Przez długą chwilę po prostu stał przy samochodzie. Aislinn nie zadawała pytań. Wiedziała, co się z nim dzieje.

Po kilku minutach Greywolf podszedł do maski i podniósł klapę. Podłubał trochę przy silniku, po czym wrócił i przykucnął przed otwartymi drzwiami samochodu.

- Zdejmij stanik - odezwał się.

Gdyby powiedział „Rozwiń skrzydła i pofruwaj sobie”, nie byłaby bardziej zdumiona.

- Co takiego?

- Słyszałaś przecież. Dawaj stanik albo koszulę. I pośpiesz się. Straciliśmy już dość czasu.

Rzeczywiście, rozwidniło się już na dobre i Aislinn zaczerwieniła się jeszcze bardziej uświadamiając sobie, jak mocno spali. Oczywiście, mieli za sobą wyczerpujący dzień i....

- Rób, co powiedziałem albo sam się tym zajmę - rzucił szorstko.

- Odwróć się.

- Och, na... - urwał i odwrócił się. Aislinn pośpiesznie rozpięła bluzkę, zdjęła stanik i zapięła się szybko.

- Masz - rzuciła w niego stanikiem.

Złapał go i bez słowa pochylił się znów nad silnikiem. Grzebał w nim przez parę minut, klnąc ustawicznie, po czym spocony i ubrudzony zatrzasnął maskę i usiadł za kierownicą, wycierając dłonie w nogawki dżinsów.

- Przez jakiś czas może wytrzyma - wyjaśnił.

Ale po przejechaniu ledwie trzydziestu kilometrów spod maski zaczęły się wydobywać najpierw siwe wstążeczki, a potem całe kłęby dymu.

- Lepiej stań, bo wylecimy w powietrze - powiedziała ostrożnie. Żadne z nich nie wyrzekło dotąd ani słowa. Aislinn zastanawiała się, czy milczenie Lucasa ma związek z niezręczną sytuacją, w jakiej się rano znaleźli.

Sama też przypominała sobie szczegóły, które wolałaby wyrzucić z pamięci. Myślała o zaroście na jego piersi, kędzierzawym i ciepłym, w który wtulała twarz. I o dłoniach, które trzymał na jej pośladkach, zanim się w pełni rozbudziła. A także o tym, że było jej całkiem przyjemnie, dopóki nie wróciła na ziemię.

Z nieodgadnionym wyrazem twarzy skreślił znowu w bok od szosy i zahamował ostro.

- No, cóż, ten twój stanik na niewiele się zdał

- oświadczył. - Zresztą cycków też ci nie zasłaniał jak trzeba.

Spojrzała na niego w osłupieniu, ale Greywolf otwierał już drzwi i wysiadał.

- Chodź - kiwnął na nią.

- Dokąd?

- Do najbliższego miasteczka.

- Mamy iść? - spytała z niedowierzaniem. Jak okiem sięgnąć otaczała ich skalista pustynia, hen w oddali majaczyły purpurowo góry. Teren był nierówny, kamienisty, ukształtowany nieprzyjaźnie przez naturę. Jedyne ślad ręki człowieka stanowił w nim szary pokos szosy.

- Tak, dopóki nas ktoś nie podwiezie - odpowiedział na pytanie Aislinn i ruszył energicznie przed siebie. Nie pozostało jej nic innego, jak wyskoczyć z auta i dogonić go.

Pozostanie na miejscu wcale się jej nie uśmiechało. Nie wiadomo, czy Lucas by wrócił, a okolica zdawała się tak odludna, że na pojawienie się jakiegoś samochodu mogłaby czekać kilka dni. Chciało się jej pić i nie jadła od dawna nic poza kilkoma ciasteczkami.

Zdawało jej się, że będą tak maszerować bez końca. Musiała stałe podbiegać, żeby nie zostać w tyle. Słońce piekło ją bezlitośnie w nie osłoniętą niczym głowę. Raz po raz przebiegały im drogę jaszczurki i tytko one mogły się dobrze czuć w tym otoczeniu.

Wreszcie usłyszeli za sobą warkot silnika i obejrzawszy się dostrzegli nadjeżdżającą półciężarówkę. Wyrzucała się z rozedrganego upałem powietrza jak zrużnięte widmo. Jeszcze zanim Lucas uniósł rękę, kierowca zdezelowanego pick-upa zaczął hamować. W ciasnej kabinie siedzieli stłoczeni trzej Indianie Navaho. Greywolf zamienił z nimi kilka słów, po czym wskoczył do skrzyni i wciągnął Aislinn za sobą.

- Poznali cię? - spytała.

- Chyba tak.

- Nie boisz się, że doniosą?

Pokręcił głową i popatrzył przy tym na nią tak, że mimo upału przeszedł ją zimny dreszcz.

- Rozumiem. Honor nakazuje im milczenie.

Nie uznał za stosowne jej odpowiedzieć. Zwrócił spojrzenie na północno-wschodnią linię horyzontu, tam, dokąd właśnie zmierzali, jak zdążyła się już zorientować.

Zapanowało krępujące milczenie. Ale i tak wszelka rozmowa byłaby dość trudna. Świstał gorący wiatr, wyszarpujący powietrze z płuc.

Wjechali w opłotki zapyziałej miejsciny i Greywolf zastukał w szybkie szoferki. Kierowca natychmiast zwolnił i przystanął przed stacją benzynową. Lucas zeskoczył i pomógł zsiąść Aislinn.

- Wielkie dzięki - krzyknął do kierowcy, który uniósł wysoko słomiany kowbojski kapelusz, zazgrzytał skrzynią biegów i odjechał.

- I co teraz? - spytała Aistinn ze znużeniem w głosie. Zdawała sobie sprawę, że nie ma co liczyć na solidaryzujących się z Greywolfem Nawaho, ale przybycie do miasteczka oznaczało dla niej promyk nadziei. Kiedy jednak rozejrzała się wokół, nadzieja ta szybko zgasła. Na ulicach nie było żywej duszy. O tym, że ktoś tu mieszkał, świadczyły tylko grzebiące w piachu kury. Miasteczko wyglądało tak samo groźnie i nieprzyjaźnie jak otaczająca je zewsząd pustynia.

Greywolf skierował się ku blaszanej szopie stojącej za dystrybutorami paliwa. Aislinn ruszyła za nim, powłócząc ciężko nogami. Nigdy w życiu nie była tak znużona. Pot, który ją oblewał podczas marszu szosą, już wysechł, zostawiając na skórze ziarnisty, swędzący nieznośnie osad. Spieczona słońcem, zgrzana, cała się lepiała; wargi miała suche jak pergamin, włosy zmierzwione.

Na drzwiach szopy widniała wywieszka z jednym tylko słowem.

- Sjestą! -jęknęła Aislinn rozpaczliwie.

- Będzie zamknięte do czwartej - powiedział Greywolf i popatrzył na słońce, żeby się zorientować, która godzina.

Aislinn wyszukała skrawek cienia pod ścianą i odchyliwszy głowę do tyłu przymknęła powieki. Podniosła je natychmiast, gdy usłyszała brzęk szkła.

To Lucas rozbijał kamieniem szybę w drzwiach szopy. Następnie wsadził dłoń w wybity otwór, błyskawicznie uporał się z zasuwką i drzwi rozwarły się z jęklwym skrzypnięciem. Aislinn weszła za Greywolfem do wnętrza mimo zgorzenia, jaki wywołał w niej tak drastyczny brak szacunku dla cudzej własności.

W środku było odrobinę chłodniej. Kiedy oswoiła wzrok z półmrokiem, dostrzegła, że pomieszczenie służyło nie tylko jako kantorek stacji benzynowej, ale było też czymś w rodzaju sklepiku. Na drewnianych półkach piętrzyły się rozmaite puszki, torebki z chrupkami, proszki do prania, płyny do mycia naczyń i artykuły papiernicze.

Pod szklaną taflą zakurzonej lady poniewierały się nie mniej zakurzone suweniry z Arizony. Na kontuarze leżały papierosy, batoniki i paczuszki z gumą do żucia. Z tyłu na ścianie wisiał na kołkach skromny zestaw części samochodowych.

Deski sfatygowanej podłogi trzeszczały żałośnie przy każdym stąpieniu. Greywolf podszedł do staroświeckiej skrzyni chłodniczej na napoje, podważył pokrywę, wyjął dwie butelki coli i otworzył je. Podając jedną Aislinn, równocześnie podniósł do ust drugą i wypił chciwie.

- Ja za swoją zapłacę - oświadczyła poważnie.

- Zapłacisz też za moją - rzekł, odejmując butelkę od ust. - A także za szybę i przewód.

- Za jaki przewód? - spytała, dopijając colę, której smak wydal jej się wspanialszy niż wszystko, czym kiedykolwiek gasiła pragnienie.

- Od chłodnicy. Muszę wymienić ten, który nam wysiadł. O, tak wygląda - powiedział, zdejmując z gwoźdźnia na ścianie giętki gumowy wężyk i pokazując go Aislinn. Następnie wyciągnął jedną z szuflad kontuaru i zaczął w niej przewracać z chrobotem jakieś narzędzia. Szczęk metalu podkreślał jeszcze mocniej panującą wokół ciszę.

Aislinn ogarnęło poczucie bezmiernego zagubienia. Natomiast Lucas nie zdradzał najmniejszych oznak niepokoju. Wyjmował właśnie z szuflady potrzebne narzędzia, gdy Aislinn dostrzegła wiszący w kącie na ścianie aparat telefoniczny. Zasłaniał go częściowo stelaż ze starymi czasopismami. Była pewna, że Greywolf, zajęty poszukiwaniami, jeszcze go nie zauważył.

Gdyby mogła jakoś uspić czujność Lucasa, może udałoby się jej zadzwonić. Ale jak nazywa się to upiorne miasteczko? Jaką autostradą jechali? Czy to w ogóle była autostrada? Nie widziała żadnych znaków drogowych. W każdym razie miała wrażenie, że przekroczyli już granicę stanową i opuścili Arizoneę.

- Skończyłaś? - wyrwał ją z zamyślenia głos Greywolfa.

Wzdrygnęła się.

- Tak - odparła, zwracając mu butelkę.

Jeszcze kilka chwil temu czuła się zupełnie bezradna, a teraz umysł jej zaczął pracować. Zastanawiała się gorączkowo, jak wyprowadzić w pole Lucasa.

- Daj mi trochę pieniędzy - zażądał, wyciągając rękę.

Skwapliwie sięgnęła do torebki.

- To powinno wystarczyć - powiedziała, wyjmując dwadzieścia dolarów.

Zwinął banknot i wetknął go pod popielniczkę na ladzie.

- Z tyłu jest toaleta - poinformował ją. - Chcesz skorzystać?

Owszem, chciała, ale zastanawiała się, jak to zaregrać. Mogła skłamać, oświadczyć, że nie musi tam iść, powiedzieć mu, żeby się nie krępował, ona zaczeka. Ale nie zabrzmiałoby to prawdopodobnie i mogło wzbudzić jego podejrzenia. Lepiej będzie, jeśli pójdzie. Niech uważa, że porzuciła już myśl o ucieczce.

- Tak, chętnie - rzekła potulnie, a Lucas bez słowa wyprowadził ją z szopy do budynekzku za rogiem z dwojgiem odpowiednio oznakowanych drzwi i pchnął te właściwe. Owionął ją taki zaduch, że się zawahała, ale jednak weszła do środka i nacisnęła kontakt. Zapaliła się anemiczna żarówka.

Było czystiej niż się spodziewała, lecz mimo wszy-

stko obskurnie. Przestała jednak na to zważać, gdyż wstrzymywana od dawna potrzeba dała o sobie znać z agresywną natarczywością. Później opłukała sobie ręce i twarz nad pordzewiałym zlewem. Woda była ciepława, ale trochę ochłodziła rozpaloną słońcem i wiatrem skórę.

Odświeżona wróciła do drzwi, zwolniła zasuwkę i popchnęła je, ale nie ustąpiły. Pomyślała, że otwierając się do środka i pociągnęła ku sobie, lecz skutek był ten sam. Naparła na nie z całej siły. Ani drgnęły. W popłochu rzuciła się na nie całym ciałem. Bez rezultatu.

- Greywołf! - krzyknęła rozpaczliwie. - Greywolf!

- Co jest, Aislinn?
- Nie mogę otworzyć drzwi.
- Wiem o tym.

Przerażona, rozchyliła usta. Zamknął ją!

- Otwieraj! - wrzasnęła, waląc pięściami w deski.
- Otworzę ci zaraz, jak wrócę.
- Jak wrócisz? Jak to? Dokąd idziesz? Jak śmiesz

zostawić mnie tu zamkniętą?

- Muszę. Nie chciałbym, żebyś zrobiła użytek z tego telefonu, którego niby to nie dostrzegłaś. Wypuszczę cię zaraz po powrocie.
- Ale dokąd idziesz? - powtórzyła rozpaczliwie.
- Do samochodu. Naprawię go i wrócę po ciebie.

- Do samochodu? Jak się tam dostaniesz?

- Biegiem.

- Biegiem - powtórzyła niemal bezgłośnie. Nagle przypomniała sobie, że ma w zanadrzu argument, którym go pokona i zapragnęła natychmiast udowodnić, jak bardzo jej nie docenia.

- O czwartej przyjdzie właściciel tej budy i narobię takiego gwałtu, że zaraz mnie tu znajdą.

- Aleja wrócę sporo przed czwartą.

- Wypuść mnie, ty sukinsynu! - grzmotnęła znów całym ciałem w drzwi, i znów na próżno. - Duszno mi. Skonam tu.

- Trochę się spocisz, ale nie umrzesz. Radzę ci, siedź spokojnie.

- Niech cię diabli wezmą!

Nie odezwał się. Jej słowa odbiły się pustym echem o ściany szaletu. Przyłożyła ucho do drzwi, lecz nic nie usłyszała.

- Greywołf! - zawołała cicho. - Greywołf! - krzyknęła na cały głos.

Odpowiedziała jej cisza. Zostawił ją.

Osunęła się na podłogę pod drzwiami, zakryła twarz rękami i rozpłakała się. Życie nie przygotowało jej na tego rodzaju przeciwności losu. Były nie do pomyślenia w jej uładowanym świecie. Wychowywała się pod kryształowym kloszem strzeżonym przez rodziców, którzy dbali o to, by ich dziecku nie zabrakło niczego.

Nigdy nie uczęszczała do szkoły publicznej, żeby nie stykać się z „gorszymi” dziećmi z dołów społecznych. Umieszczono ją w ekskluzywnym żeńskim college'u, gdzie nie uczono, jak sobie radzić w niebezpieczeństwie. Sytuacje takie jak ta, w której się znalazła, wymyślano w scenariuszach filmowych. Nikt z jej środowiska nie wierzył, że mogą zdarzyć się naprawdę. A teraz jej przytrafiło się rzeczywiście coś takiego.

Pierwszy raz w swoim dwudziestosześcioletnim życiu Aislinn Andrews poznała prawdziwy strach. Był realny. Oddychała nim. Czuła jego smak.

A jeżeli Greywolf nie wróci? Jaką ma pewność, że otworzą o czwartej tę stację benzynową? Ta wywieszka mogła tam tkwić od miesięcy zapomniana przez właściciela, który zwinął nie przynoszący dochodu interes.

Umrze z pragnienia.

Nie. W kranie jest przecież woda. Nie najczystsza, ale zawsze.

Skona z głodu. Może upłynąć mnóstwo czasu, zanim ktoś się tu zjawi samochodem. Musi nasłuchiwać odgłosów silnika, żeby nie przegapić tej chwili, przyciągnąć czyjaś uwagę krzykiem i waleniem w drzwi.

Umrze z braku powietrza.

No, nie. Wysoko pod sufitem było uchylone nieco okienko. Powietrza ma dość, choć jest gorące i suche.

Zabije ją złość.

Wydawało się to jej całkiem możliwe. Jak Greywolf śmiał zostawić ją w takim ohydny miejscu? Obrzucając go najgorszymi wyzwiskami, jakie знаła, przemierzała nerwowo swoje więzienie.

Ostatecznie, to właśnie gniew uruchomił jej wyobraźnię i pobudził do działania. Przecież Lucas powiedział, że jest pomysłowa. Musi tylko wysilić swoje szare komórki, a na pewno się stąd wydostanie, Ale jak?

Próbowała od nowa wyważyć drzwi, ale to nic nie dało. Lucas zabarykadował je tak skutecznie, że tylko marnowała siły. Po całym ciele ciekły jej strumyczki potu. Czuła go także na czaszce pod włosami, które zrobiły się tłuste i ciężkie.

Zdesperowana fiaskiem swoich wysiłków, podniosła wzrok ku górze, jakby szukając natchnienia w niebiosach. I nagle przyszło olśnienie. Okno! Gdyby tylko jakoś się do niego dostać...

W kącie szaletu leżała metalowa beczka, służąca niegdyś zapewne jako pojemnik na śmieci. Przemogła wstręt, przetoczyła beczkę pod okienko i z niemałym wysiłkiem postawiła ją na sztorc.

Stojąc na beczce, dostawała dłońmi do krawędzi parapetu. Minęło kilka minut, zanim, przebierając stopami po gładkim betonie ściany, zdołała wreszcie podciągnąć się na parapet. Wychyliwszy głowę na

zewnątrz, łąpała w płuca hausty świeżego powietrza. Krótki odpoczynek przydał się także jej drżącym, utrudzonym wspinaczką rękom.

Następnie wsunęła bark pod ramę okienka, starając się podnieść je jak najwyżej. Otwór był dość wąski, a te oceniła, że jakoś uda się jej przecisnąć. Podciągnąwszy kolano na parapet usiłowała się przekręcić, żeby wysunąć się przez okno stopami do przodu.

Kiedy podnosiła drugie kolano na parapet, straciła równowagę, lecz nie zważając już na nic, przerzuciła ciężar ciała na zewnątrz. Pociągnięta siłą bezwładności wypadła z okna, zawadzając po drodze o sterczący w parapecie gwóźdź, który przejechał jej po ręce od przegubu po pachę.

Jakimś cudem spadła na równe nogi. Grunt był jednak nierówny, wskutek czego potoczyła się do tyłu, koziółkując i uderzając w końcu głową o kamień.

Przez kilka sekund jej wzrok zderzył się z oślepiającą kulą słońca, które zdawało się szydzić z jej upadku. Potem zapadła ciemność.

Jak nakazuje honor

4

Greywolf chciał jak najprędzej wrócić do miasteczka. Rozglądał się bacznie, rejestrując zapamiętane uprzednio punkty orientacyjne i naciskał do oporu pedał gazu.

Na szczęście samochód spisywał się dobrze. Wymiana węża do chłodnicy poszła gładko. Dużo większą trudność sprawił mu bieg do samochodu z ciężkimi narzędziami w kieszeniach i kanistrem z wodą, której trzeba było dolać do chłodnicy. Miał wprawę w bieganiu i nawet upał nie przeszkadzał mu tak, jak ten niewygodny balast.

Był rad, że może spokojnie porozmyslać podczas jazdy. Gorący wiatr omiatał mu twarz i rozwiewał włosy. Na pustyni lubił mieć opuszczone szyby i wdychać naturalne, a nie klimatyzowane powietrze. Przedtem okna były zamknięte tylko ze względu na Aislinn.

Aislinn.

Było mu trochę przykro, że ją zamknął w tej dusznej, paskudnej ubikacji. Cóż innego mógł jednak zrobić? Pozwolić, żeby zadzwoniła do biura najbliższego szeryfa? Zabrać ją z sobą? Nie dałaby rady dojść do auta, a jeśli nawet, to potrzebowałyby znacznie więcej czasu niż on. Nie mógł sobie pozwolić na taką mitręgę.

Ciekawe, kiedy uda się im go złapać? Kiedy? Czy zdąży na czas? Musi.

Wiedział, ile będzie go kosztowała ucieczka z więzienia, ale był gotów zapłacić każdą cenę. Żałował tylko, że wmieszał w to innych ludzi. Nie sprawiło mu przyjemności ogłuszenie strażnika, który uważał go za przyjaciela. Ani sterroryzowanie tej kobiety. Uosabiała to, czego nie cierpiał najbardziej: jankeski dostatek. Mimo to ubolewał, że musiał ją w to wplątać.

Czy musiał?

Gniewnym ruchem włączył radio, na pełny regulator. Niby to zamierzał złapać najnowszy komunikat nadzwyczajny, ale w gruncie rzeczy chciał, żeby hałas rozrywający bębenki w uszach nie pozwolił mu myśleć o Aislinn.

Dlaczego właściwie wziął ją sobie na kark? Dlaczego po prostu nie trzasnął jej w szczękę i nie zniknął z jej domu tak samo nagle i cicho, jak przyszedł? Zanim odzyskałaby przytomność i zawiadomiła policję, miałby dość czasu, żeby czmychnąć.

Głupio zrobił, że został i zaczął się przychrzaniać do tej jankeski. Owszem, zależało mu na prysznicu, ale ostatecznie mógł się obyć bez tej przyjemności. Potrzebował snu, lecz mógł znaleźć miejsce trochę mniej wygodne niż jej wypchnione łóżko z mięciutkimi poduszkami.

Ale jeśli już nawet pozwolił sobie na te luksusy, to dlaczego nie wymknął się o świcie? Zanim dałaby znać władzom, upłynęłyby godziny i mogliby mu nasypać soli na ogon.

Zamiast zrobić, co należało, leżał i gapił się na jej jasne włosy i twarz. Ani przez chwilę nie pomyślał, żeby oprzeć się pokusie. Karmił wyłodniały wzrok jej widokiem, wciągał w nozdrza zapach kobiecego ciała, o którym już niemal zapomniał.

Powinien się chyłkiem ulotnić, a wpadł na idiotyczny pomysł, żeby wziąć ją ze sobą. Ale nigdy nie zamierzał jej skrzywdzić.

Jeśli tak, to czemu groziłeś jej nożem?

Zwykły środek ostrożności.

Czy musiałeś urządzać ten striptiz?

To nie było konieczne. Przyznaję. Ale po prostu chciałem na nią popatrzeć.

Pic na wodę.

Nie, to prawda. Siłą bym jej nie brał. Poza tym to jankeska. Nie lubię jankeskich kobiet. Nie rajcują mnie ani trochę.

Ale ta jedna tak.

Na litość boską, urwałem się przecież z więzienia.

Każda byłaby dobra.

Nie miałaś ochoty się z nią kochać?

Nie.

Łziesz jak pies.

Nie doszło do tego i nie dojdzie.

Nie posunąłby się do przemocy. Po prostu chciał mieć kobietę przy sobie. To wszystko. Aby uciszyć głos sumienia, zaczął myśleć o tym, co w jego oczach dyskwalifikowało zupełnie Aislinn.

Niewątpliwie była nadziana i zadzierała niebotycznie nosa. Typowa „panna Niedotykałska”, którą tacy Indianie chłopcy jak on od razu wyczuwali. Nauczył się tego natychmiast, kiedy po opuszczeniu rezerwatu wstąpił do college'u. Dziewczyny w rodzaju Aislinn pozwalały sobie na flirtowanie, ale nie puszczały się z Indianami. A jeżeli już to robiły, to tylko dla zabawy, z ciekawości, albo żeby chełpić się przed kolegami, że miały Indianina. „Niemów!” - wykrzykiwały tamte. „Tak!” - potwierdzały. „Czy był bardzo dziki?” - dopytywały się koleżanki. Na drugi dzień te odważne zachowywały się tak, jakby cię w ogóle nie znały. Bariera rasowa wyrastała z powrotem.

Jednak ta jankeska ma charakterek, trzeba jej to oddać. Mogła mu dać nieźle w kość, skamleć i mazgać się bez przerwy, ale nic z tych rzeczy. Starła się

trzymać fason bez względu na to, do czego ją zmuszał.

Przypomniał sobie, jak wystawiła do wiatru tego gliniarza na autostradzie i słaby uśmiezek rozjaśnił mu twarz. Dlaczego to zrobiła?

Jest jej dłużnikiem, bez dwóch zdań.

Po ostatniej nocy nie był już taki pewien, czy dochowa danej sobie obietnicy, że jej nie tknie. Godziny spędzone w knajpie były zarazem rajem i piekłem. Raz po raz pragnął, aby te pocałunki nie były udawanymi, aby poszukać pod koszulą jej ciała.

Rany boskie, to była frajda tak ją tulić do siebie dzisiaj rano, czuć jej oddech na szyi, miękkość jej piersi, jej uda...

Cholera, pomyślał. Muszę ją uwolnić. Niech sobie idzie. Gdy tylko przyjedzie na stację benzynową i napełni bak, sprawdzi, czy z Aislinn wszystko w porządku i zostawi kartkę benzyniarzowi, żeby ją wypuścił. Policja dowie się wprawdzie od niej, którędy jechali, ale nie dokąd. Zresztą i tak wiedzą mniej więcej, jaki może być cel jego podróży i znajdą go tam. To tylko kwestia czasu.

Miał jedynie nadzieję, że ich ubiegnie i zdąży spełnić swój obowiązek.

Zobaczył, że zbliża się do miasteczka i przyspieszył. Teraz, gdy już postanowił, że uwolni Aislinn, chciał to mieć szybko za sobą i ruszyć w dalszą drogę. Oczywiście

ście, zabierze jej samochód, ale dla kobiety tak dobrze sytuowanej nie będzie to chyba dotkliwa strata.

Podjechał pod pompę i wysiadł, żeby się obsłużyć. Dolał też trochę wody do chłodnicy, wymył przednią szybę i sprawdził ciśnienie w oponach. Jeśli miał uniknąć następnej blokady, powinien być daleko stąd, kiedy wróci właściciel stacji.

Następnie skręcił za róg, podszedł do toalety i zastukał głośno w drzwi, które zastawił odchodząc porzuconym w pobliżu żelaznym legarem. Nie było odpowiedzi.

- Odezwij się. Wiem, że tam jesteś, Aislinn. Nie bądź dziecinna.

Przyłożył ucho do drzwi i nasłuchiwał. Po kilku sekundach ciszy zląkł się, że w środku nie ma nikogo. Poczł bolesne ukłucie w trzewiach. Nie zastanawiając się dłużej, odwalił legar, otworzył drzwi i zajrzał do środka. Wciąż kołatała się w nim nadzieja, że to może podstęp, że Aislinn zacząła się, żeby go zaatakować.

Ale przywitał go jedynie zaduch i obrzydliwy fetor. Dostrzegł beczkę pod otwartym okienkiem i pojał, co się stało. Lęk przemienił się w bezsilną wściekłość.

Ta mała diablica wymknęła się!

Odwrócił się gwałtownie na pięcie, wypadł z szale tu i popędził do szopy. Ale i tam nie było najmniejszego śladu Aislinn ani kogokolwiek innego.

Na podłodze leżały wciąż odłamki szkła z rozbitej szyby. Dwudziestodolarowy banknot tkwił nadal pod popielniczką. Kurz na telefonie był nienaruszony.

Greywolf wsadził dłonie w tylne kieszenie džinsów i przemierzał tam i z powrotem sklepik, bijąc się z myślami. Dokąd ona mogła pójść? A może ktoś wziął ją do samochodu? Albo udało jej się mimo wszystko zatelefonować? Może policja przesłuchiwała ją już tutaj i ruszyła w pościg? Nie, to nie miało sensu.

Powinien rozejrzeć się dokładnie wokół budynku, w którym uwieził Aislinn.

- Spokojnie, spokojnie... Pij powoli, bo się zakrztusisz.

W zaschnięte gardło Aislinn spływał rozkoszny strumyczek coli. Usiadła i natychmiast poczuła potworny ból głowy. Jęknęła.

- Połóż się - usłyszała czyjś łagodny głos. - Na razie wystarczy.

Podniosła z trudem powieki i dojrzała nachyloną nad sobą nieruchomą, śniadą twarz Greywolfa. Musiało już być po zachodzie słońca, bo wszystko dokoła pociemniało. Poruszanie oczami łączyło się z nieznośnym bólem, ale zdołała zorientować się, że leży na tylnym siedzeniu samochodu. Przez opuszczone szyby wdierał się do środka pustynny wietrzyk. Miała przy sobie Greywolfa, który wklinował się między

wał. Ale nie powinna oczekiwać czułości od człowieka, który miał kamień zamiast serca.

- Szkoda, że pana nie złapali, panie Greywolf - powiedziała z błyskiem w oczach. - Jeśli przedtem nie było powodu, to teraz zasłużył pan na to, bo pan mną poniewiera.

- Nigdy w życiu nie doznała pani poniewierki, panno Andrews - odrzekł wzgardliwie. - Nie masz zielonego pojęcia, co oznacza to słowo.

- Skąd ta pewność? Przecież nic o mnie nie wiesz.

- Wiem to, co trzeba. Wyrosłaś wśród przywilejów, jakie daje biała skóra i dostatek.

- Nie mogę odpowiadać za sposób, w jaki traktowani są Indianie - odparła. - Czy każdy biały Amerykanin ponosi za to winę?

- Tak - zasyczał odsłaniając zęby.

- A ty? - natarła. - Przecież nie jesteś stuprocentowym Indianinem. Co z tą częścią twojej osoby, która należy do innej rasy? Czy już całkiem zgniła?

Schwycił ją mocno za ramiona i przycisnął plecami do oparcia. Jego wzrok miał ostrość brzytwy i chłód stali.

- Jestem Indianinem - wyszeptał z naciskiem, potrząsając nią. - Nigdy o tym nie zapominaj.

Aislinn była pewna, że jej się to nie uda. Przynajmniej nie od razu. Zawzięty wyraz jego oczu świadczył niedwuznacznie, że ani trochę nie złagodniał. By!

nadał niebezpieczny. Kiedy nachylał się nad nią, tchnął tak brutalną siłą, że wstrząsnął nią zimny dreszcz.

Obnażone mięśnie jego przedramion sprawiały wrażenie twardych jak granit. Koszulę miał prawie całkiem rozpiętą i odsłonięta pierś falowała mu gniewnie. Muskularna szyja była niby postument pod głową, o której można by powiedzieć, że została wyciosana ze skały. Srebrny kolczyk w uchu połyskiwał w mroku niczym groźne oko, zaś kołyszący się na piersiach krzyżyk zakrawał na szyderstwo: symbolizował przecież dobroć. Greywolfa czuć było trochę potem, trochę słońcem, ale w sumie był to nieomylnie męski zapach.

Żadna kobieta przy zdrowych zmysłach nie drażniłaby takiej bestii. Aislinn miała dużo rozsądku, toteż leżała jak trusia.

Nastało pełne napięcia milczenie i wreszcie Greywolf, który jeszcze przed chwilą zdawał się sprężyć do skoku, rozluźnił się i puścił ją.

- Zabandażuję ci rękę, bo może wdać się zakażenie - odezwał się beznamytnie, jak gdyby ich zażarta sprzeczka w ogóle się nie zdarzyła.

- Rękę? - Dopiero teraz przypomniała sobie, że się skaleczyła przy wyskakiwaniu przez okno. Gdy poruszyła lewym ramieniem, odezwał się ból prawie tak dotkliwy, jak w uderzonej głowie.

- Pozwól - powiedział stanowczo, widząc jej grymas. - Pomogę ci.

Ułożył ją w pozycji półleżącej i sięgnął dłonią do bluzki. Jej zdrowa ręka poderwała się w obronnym geście. Greywolf znieruchomiał i patrząc jej prosto w oczy powiedział z naciskiem:

- Trzeba to zdjąć, Aislinn.

Spuściła wzrok i dostrzegła z przestrawieniem, że lewy rękaw ma ubrudzony krwią.

- Nie... Nie wiedziałam - wyjąkała, próbując opamiętać się i zawrócić głowę.

- Nie opatrzyłem cię od razu - wyjaśnił - bo się spieszyłem. Chciałem przede wszystkim być jak najdalej od miasteczka. Ale teraz to już nie może czekać.

Przeciągle patrzyli sobie w oczy. Wreszcie wzrok Greywolfa powędrował niżej, ku jej błyszczącym od kremu wargom. Ona także opuściła wzrok, na wysokość jego zaciśniętych ponuro ust, które mimo surowego wyrazu nie utraciły zmysłowości.

- Jak już ci mówiłem - mruknął, potrząsając niecierpliwie głową - jesteś czymś w rodzaju mojej polisy ubezpieczeniowej.

Po raz drugi dotknął jej bluzki i tym razem Aislinn nie zaprotestowała. Kiedy szybko i mechanicznie odpinał guzik po guziku, czuła, jak ciepłą falą wzbiera w niej zawstydzenie. Twarz Lucasa nie zdradzała żadnych emocji.

Jego palce zaczęły się poruszać wolniej i delikatniej dopiero wtedy, gdy zaczął ściągać bluzkę z pleców. Najpierw wyswobodził z rękawa jej zdrową rękę, potem zaczął ostrożnie opuszczać drugi rękaw. Aislinn syczała raz po raz, bo materiał zdążył już przyschnąć do skaleczeń.

- Przepraszam - powiedział i bez uprzedzenia jednym krótkim szarpnięciem zdarł z niej resztę rękawa.

- Przepraszam - powtórzył. - To najlepszy sposób.

- Nie szkodzi. Wiem, że to było konieczne - odparła. Do oczu cisnęły się jej łzy, ale przecież nie mogła się rozpłakać. Przez moment Greywolf wpatrywał się w jej źrenice, jak gdyby chciał sprawdzić odporność jankesów na ból, po czym nagle z tą samą obojętnością, z jaką odpinał jej bluzkę, pochylił Aislinn ku sobie, żeby zdjąć ją z niej do końca. Przez ułamek sekundy ich piersi musnęły się.

Oboje udali, że tego nie zauważyli, choć Greywolf, układając ją z powrotem w rogu siedzenia, zacisnął mocniej zęby.

Z otwartego skaleczenia sączyła się krew. Lucas odłożył bluzkę Aislinn na bok i wyjął z papierowej torby pudełko z watą i flakonik płynu dezynfekującego.

- Będzie piekło jak diabli - ostrzegł, otwierając buteleczkę i zwilżając jej zawartością wacik. - Gotowa? - spytał.

Skinęła głową, a Greywolf uniósł jej rękę i szybki-

mi ruchami zdezynfekował najpierw ranę na całej długości, od przegubu po pachę, a potem powtórzył zabieg przyciskając tampon w miejscach, gdzie gwóźdź rozdarł głębiej skórę. Aislinn podkurczyła nogi, z oczu trysnęły jej łzy.

- Och, już dość - jęknęła boleśnie i zacisnęła powieki.

Greywołf pośpiesznie zakręcił flakonik, odrzucił go na bok, podniósł rękę Aislinn i zaczął lekko dmuchać na opatrzone skaleczenie.

Otworzyła oczy i dostrzegła z przestachem jego głowę tuż ponad sobą. Jedną dłonią trzymał ją luźno za przegub, drugą podparł się za jej głowę, napinając nad nią ciało. Jego policzki wzdymały się jak baloniki, to znów zapadały się, w miarę jak nabierał i wydumchiwał powietrze. Wargi miał tuż nad jej ręką i przesuwał je coraz wyżej, aż znalazły się na poziomie jej piersi. Poczwała na nich jego ciepły, kojący oddech. Poczwała, jak tężeją jej sutki. Greywołf poderwał głowę do góry, jak gdyby chciał wstać, ale za chwilę znów się nachylił. Tym razem jednak jego oddech owionął nie zranioną rękę Aislinn, ale wierzchołki jej piersi.

Po chwili zastygł nieruchomo i wpatrywał się w nią z posepnym pożądaniem. Przełknął z wysiłkiem ślinę, przysunął się nieco ku niej, lecz znów znieruchomiał, jak gdyby niewidzialna pętla na szyi udaremniła mu dalszy ruch.

Aislinn chciała się poruszyć, ale zabrakło jej odwagi. Walczyła z przeraźliwie natrętną pokusą, żeby wpleść mu palce we włosy i przyciągnąć go do siebie. Owładnęło ją zdrożne, niewytłumaczalne uczucie czułości. Zapragnęła nagle oddać mu się. I chciała go wykorzystać dla własnej rozkoszy. Nienawidziła go, a mimo to...

Dlaczego nie zostawił jej w tym miasteczku? Dlaczego zadał sobie tyle trudu, aby zdobyć dla niej aspirynę i środki antyseptyczne, tracąc cenny czas? Co się kryje w tym człowieku? Czy jest w gruncie rzeczy przyzwoitym facetem? Czy jego oschłość nie wynika po prostu z doznanych krzywd?

Na jej twarzy odmalowała się rozterka, nieufność zmagająca się z wyrazem bezbronności i oddania. Gdy Greywołf na nią spojrział, ogień w jego oczach momentalnie zgasł.

- Nie patrz tak na mnie - rzekł opryskliwie.
- To znaczy jak? - spytała, nie bardzo rozumiejąc.
- Tak jakbyś zapomniała, że siedziałem długo w pudle. Chcesz wiedzieć, czy cię pragnę? - spytał ochryple, zaciskając mocno palce na jej ramieniu.
- Owszem, tak. Chcę cię. Chcę cię wszędzie dotykać. Chcę czuć twój dotyk. Chciałbym wejść tak głęboko w ciebie, żeby czuć bicie twojego serca. Więc nie rzucaj mi tych zalotnych spojrzeń, chyba że chcesz mieć Indianina między nogami.

Oburzona, że ile ją zrozumiał, wściekła na siebie, że zaledwie przed chwilą była skłonna przypisać mu dobre cechy, zakryła piersi wolnym ramieniem.

- Jeszcze czego - syknęła. - Prędzej bym umarła.

- Jestem tego pewien - zaśmiał się. - W każdym razie wołałabyś umrzeć niż skazać swoje czyste anglosaskie ciało czerwonoskórym. Na razie mogę cię tylko zapewnić, że nie wykrwawisz się na śmierć. W każdym razie nie z mojej winy - dodał cierpko.

Odwróciła głowę, nie zaszczycając go spojrzeniem, podczas gdy owijał jej rękę bandażem. Uporawszy się z tym, zgarnął wszystkie przybory medyczne i wpakował je do torby. Drgnęła, gdy wziął do ręki nóż, ale odciął nim tylko rękawy jej bluzki, strzepiąc ją przy tym niemiłosiernie.

- Wbij się w to - rozkazał, podając jej poszarpaną bluzkę. - Zmarnowaliśmy tu mnóstwo czasu.

Następnie usadowił się za kierownicą i ruszył. Aislinn popadła w zamyślenie, wpatrzona milcząco w jego kark. Gdy samochód zmagął się z wyboistą drogą, układała w myślach plany unieszkodliwienia Greywolfa, odrzucając je kolejno. Rozważała, czy nie udusić go, niczym garotą, obciętym rękawem bluzki. Ale co potem? Zostałaby sama na kompletnym pustkowiu, bez wody i mapy. Benzyny z pewnością nie starczy na długo. Nawet gdyby zdołała jakoś sobie z nim poradzić, nie miała dużych szans na przetrwanie w tych warunkach.

Siedziała zatem w głuchym milczeniu, aż wyczerpanie dało o sobie znać i znowu usnęła.

Obudziła się, gdy samochód stanął po długim, stopniowym hamowaniu. Zmordowana i obolała, dźwignęła posiniaczone ciało do pozycji siedzącej i przecierając zaspane oczy próbowała przeniknąć mrok.

Wysiadając z samochodu, Greywolf rzucił jej przeletne spojrzenie przez ramię i pomaszerował lekką stromizną, na końcu której majaczyła chatka z grubych bierwion. Była słabo widoczna i gdyby nie wątle światło prześwitujące przez prostokąt otworu wejściowego, Aislinn nie odgadłaby, że to sześcioboczny hogan Indian Nawaho.

Góra, pod którą przycupnęła chatka, okrywała ją głębokim cieniem. Lekko zaokrąglony stożkowaty dach pozostawał poza zasięgiem promieni księżyca, które spływały po zboczu góry niby strumień rtęci.

Ciekawość połączona z lękiem, że zostanie sama w tym niesamowitym otoczeniu, kazała Aislinn pośpieszyć za Greywolfem. Wdrapywała się za nim po kamienistej ścieżce, starając się zarazem patrzeć pod nogi i nie stracić go z oczu. Ale nim dotarł do hoganu, w jasnej smudze u wejścia pojawiła się drobna kobieca sylwetka.

- Lucas!

Okrzyk nieznajomej zabrzmiał tkliwie i radośnie. Kobieta pobiegła w dół ścieżki, by za chwilę zawisnąć na szyi Greywolfa. Ogarnął ją ramionami i mocno przytulił, pochylając się opiekuńczo ponad jej małą figurką.

- Słyszeliśmy wszystko przez radio, pokazywali twoje zdjęcie w telewizji. Lucas, Lucas, dlaczego to zrobiłeś?

- Wiesz przecież dobrze, dlaczego. Jak on się czuje? - spytał i odsunawszy kobietę od siebie, popatrzył z uwagą w jej uniesioną twarz. Kiedy potrząsnęła smutno głową, ujął jej ramię i bez słowa poprowadził z powrotem do chaty.

Zaintrygowana Aislinn postąpiła za nimi i przekroczyła ostrożnie próg. Nigdy jeszcze nie była w hoganie. Miał tytko jedno pomieszczenie, pośrodku którego płonęło ognisko. Prócz tego wewnątrz rozjaśniały lampy naftowe. Było okropnie gorąco. Snujący się wokół dym powoli unosił się w górę i uchodził przez otwór w dachu. Cztery toporne krzesła okalały nieheblowany stół, na którym stał emaliowany dzbanek do kawy oraz kilka mocno nadwreżonych kubków z cyny. W kącie widniała szafka z zagłębioną w niej miską i korbkowa pompa do wody.

Funkcję podłogi pełniło gliniane klepisko. Niedaleko miejsca, gdzie przystanęła Aislinn, ktoś ułożył na nim piękną kompozycję z piasku i kolorowych kamy-

czków o zawiłym wzorze. Nie miała pojęcia, co oznacza jej symbolika, ale wiedziała, że obrazki tego rodzaju towarzyszą tradycyjnym obrzędom leczniczym.

Pod ścianą naprzeciw wejścia stało niskie łóżko pokryte samodziałowymi narzutami. Leżał na nim sędziwy Indianin o siwych warkoczach okalających poźółkłe, wklęsłe policzki. Sękatymi, zrogowaciałymi dłońmi skubał machinalnie skraj narzuty. Oczy, które zwrócił na kłęczącego przy nim Greywolfa, lśniły chorobliwym blaskiem. Mówił coś indiańskim narze-
czem i Aislinn nie rozumiała ani słowa.

Oprócz kobiety, która tak czule powitała Greywolfa, w hoganie znajdował się jeszcze, ku niemałemu zdziwieniu Aislinn, biały mężczyzna. Był średniego wzrostu, miał rzadniejące kasztanowe włosy, poprzetykane na skroniach siwizną. Wyglądał na mniej więcej pięćdziesiąt lat. Stał w nogach łóżka i patrzył zamysłony na starca i na pochylającego się ku niemu Greywolfa.

Kobieta, którą Aislinn z trudnych do określenia przyczyn omijała dotąd wzrokiem, była Indianką, i to bardzo ładną. Miała wysoko sklepione kości policzkowe, obcięte na pazia krucze włosy sięgające niemal do ramion, i przejrzyste piwne oczy. Nosiła prostą bawełnianą sukienkę, pantofle na płaskich obcasach i tanią biżuterię. Była szczupła, lecz kształtna i bardzo kobie-

ca. Sposób, w jaki trzymała głowę, nadawał jej szczególnej dystynkcji.

Greywolf przycisnął czoło do rąk starca i obrócił głowę w stronę stojącego przy łóżku mężczyzny.

- Cześć, doktor - odezwał się.
- Lucas, jesteś głupi i szalony.
- Miłe powitanie - odrzekł Greywolf i cień uśmiechu przemknął mu po twarzy.

- Co za kretynska bufonada. Uciekać z więzienia!

Greywolf wzruszył ramionami i popatrzył na leżącego Indianina.

- Mówi, że nic mu nie dolega.
- Zrobiłem, co mogłem - odparł mężczyzna nazywany przez Lucasa doktorem. - Namawiałem go też na pójście do szpitala...

- Chce umrzeć tutaj - przerwał mu Greywolf, potrząsając głową. - To dla niego ważne. Jak długo to potrwa? - spytał ochryple.

- Może do rana.

Kobieta zadrżała, ale nie odezwała się. Greywolf zbliżył się do niej i otoczył ramieniem.

- Mamo - szepnęła.

To jego matka? - pomyślała Aislinn ze zdumieniem, bo kobieta wyglądała za młodo, by mieć syna w wieku Lucasa.

Powiedział jej coś do ucha. Aislinn domyślała się, że były to słowa otuchy. Zadziwiające, ile ludzkie

uczuciu potrafił z siebie wykrzesać ten zimny, wyniosły mężczyzna, z którym spędziła dwie ostatnie doby. Zaciśnął kurczowo powieki, a błędzące po jego twarzy cienie światła zdawały się pogłębiać rysujący się na niej wyraz udręki. Kiedy otworzył oczy, jego wzrok natknął się przypadkowo na stojącą niepewnie przy wejściu Aislinn.

- Przywiozłem ze sobą zakładniczkę - rzekł, odsuwając się od matki i ruchem podbródka wskazując Aislinn.

Matka Greywolta obróciła się pośpiesznie, stając oko w oko z Aislinn.

- Zakładniczkę? - powtórzyła, podnosząc do pierśi smukłą dłoń.

- Czyś ty postradał rozum? - wtrącił gniewnie doktor. - Do diabła, człowieku, przecież szukają cię po całym stanie.

- Zdażyłem to zauważyć - odpowiedział niedbałe Greywolf.

- Ani się obejrzysz, a wpakują cię znów za kratki. Ale tym razem mogą zgubić klucz od twojej celi.

- Musiałem zaryzykować - odparł Lucas z nie mniejszą złością. - Prosiłem o przepustkę na parę dni, żeby zobaczyć się z dziadkiem, zanim umrze. Odmówiono mi. Trzymałem się ich przepisów i nic mi to nie dało. Jak zwykle zresztą. Wyciągnąłem więc z tego wniosek: nie prosź, bierz sam, co ci się należy.

- Och, synu - westchnęła matka i osunęła się na krzesło. - Przecież dziadek rozumiał, dlaczego nie możesz być przy nim.

- Ale ja nie - wycedził z grymasem rozdrażnienia.
- Czy tych kilka dni miało dla nich aż tak wielkie znaczenie?

Zapadło milczenie, jak gdyby wszyscy uznali, że odpowiedź na to pytanie jest zbędna. Pierwszy odezwał się doktor, który podszedł do Aisiinn i uprzejmie się jej przedstawił:

- Nazywam się Gene Dexter.

Aisiinn od razu go polubiła. Wyglądał niepozornie, ale wytwarzał wokół siebie aurę spokoju i bezpieczeństwa, choć może tylko się jej tak zdawało po długim przebywaniu w mepokojącym towarzystwie Lucasa Greywolfa.

- A ja Aisiinn Andrews.
- Gdzie pani mieszka?
- W Scottsdale.
- Chyba jest pani zmęczona? Proszę usiąść.
- Dziękuję - odpowiedziała, przyjmując z ochotą oferowane jej przez Dextera krzesło.

- A to jest Alice Greywolf - dodał doktor, kładąc dłoń na ramieniu Indianki.

- Jestem matką Lucasa - wyjaśniła Alice, pochylając się ku Aisiinn. Jej ciemne oczy promieniały szczerością.
- Czy przebaczy nam pani to, co się stało?

- Czy to pani ojciec? - spytała Aisiinn cicho, wskazując na nieruchomą postać na łóżku.

- Tak. Ma na imię Joseph.

- Proszę przyjąć wyrazy współczucia.

- Dziękuję.

- Czy życzy sobie pani może czegoś? - odezwał się doktor.

- Życzyłabym sobie wrócić do domu - westchnęła ze znużeniem, uśmiechając się kwaśno.

Greywolf zachichotał drwiąco.

- Sprawilem przykrą niespodziankę panie Andrews. Kiedy wróciła do domu, zastała mnie, jak buszowałem w jej lodówce.

- Włamałeś się do tej pani? - zawołała z niedowierzaniem Alice.

- Jestem kryminalistą, mam. Nie wiesz o tym? Zbiegłem skazańcem - rzekł, nalewając kawy z poobłukiwanego dzbanka. - Przepraszam na chwilę - dodał i uśmiechnąwszy się tępo do Aisiinn wrócił na dawne miejsce przy umierającym.

- Uciekł z więzienia, włamał się do mojego mieszkania i wziął mnie ze sobą jako zakładniczkę po to, żeby ujrzeć dziadka przed śmiercią? - Zawilość tego wszystkiego sprawiła, że Aisiinn, zadając sobie to pytanie, nie zdała sobie w pełni sprawy, że wypowiedziała je na głos.

Kiedy przypomniła sobie, jak bardzo Greywolf

ją przestraszył, jak groził jej nożem, na jakie cierpienia ją naraził, miała chęć wstać, podejść do niego, złapać go za te długie włosy i uderzyć z całej siły w twarz.

Ustępowała mu przez cały czas w obawie, że posunie się do przemocy. Jednak teraz, gdy widziała, jak się pochyła nad dziadkiem, głaszcze go po pomarszczonym czole, szepcze mu do ucha czułe słowa, wątpiła, czy Lucas Greywolf skrzywdziłby muchę.

- Nic nie rozumiem - dokończyła, zwracając się ku Alice i doktorowi, którzy patrzyli na nią jak na dziwadło.

- Niełatwo zrozumieć mojego syna - uśmiechnęła się łagodnie Alice. - Jest impulsywny. Szybko wpada w gniew. Ale powiadają, że jak pies się daśa, to nie zawsze kąsa.

- Z przyjemnością złoilibym mu skórę za porwanie tej młodej osoby - oświadczył Dexter. - Co go podkuśiło, żeby tak pogarszać swoją sytuację?

- Wiesz, jaki z niego uparty kozioł - powiedziała z rezygnacją Alice. - Jeśli wbił sobie do głowy, że musi się tu zjawić przed śmiercią dziadka, nic go nie mogło powstrzymać. Chyba nie zrobił pani krzywdy? - zwróciła się zatroskanym głosem do Aislinn.

Aislinn zawahała się. Mogła im opowiedzieć, jak ją upokorzył, obnażając się i biorąc prysznic w jej obecności. Albo jak kazał jej się rozbierać, a potem przy-

wiązał ją na noc do łóżka. Poza tym obściskiwał ją, ale nie po to, żeby się zabawić. obrażał ją, narażał wielokrotnie na wstyd, ale nie potrafiłaby z całą uczciwością powiedzieć, że ją skrzywdził.

- Nie - odrzekła spokojnie i zmieszana popatrzyła na swoje splecione dłonie. Znowu go broniła. Właściwie dlaczego?

- Ma pani bandaż na ręce - zauważył Gene.
- Skaleczyłam się przy ucieczce z toalety.
- Z toalety?
- Tak. On... no, on mnie tam zamknął.
- Co takiego?

Aislinn opowiedziała im z grubsza przebieg zdarzeń, pomijając tylko niektóre, co intymniejsze szczegóły swej przygody z Greywolfem, a rozbudowując za to fragment z blokadą na autostradzie.

- Lucas zabandażował mi rękę nie dalej jak godzinę temu - zakończyła.

- Mimo to będzie dobrze, jeśli to obejrzę - powiedział Gene, podchodząc do miski. Napompował trochę wody i umył ręce kawałkiem żółtego mydła. - Alice, daj moją torbę. Chyba trzeba będzie zrobić zastrzyk przeciwężcowy.

Po pół godzinie Aislinn czuła się już lepiej. Lekarz nie uznał jej rany za poważną. Umyła się trochę i pożyczoną od Alice szczotką uczesała potargane włosy. Pozbyła się postrzępionej bluzki i wy-

brudzonych dżinsów, przebierając się w tradycyjny strój kobiet Nawaho - luźną bluzę i długą do kostek spódnicę - jaki Alice wyszukała dla niej w kufrze z odzieżą.

- Dziękuję - powiedziała przy tym - że zgodziła się pani zaczekać, aż... aż mój ojciec odejdzie.

- Prawdę mówiąc sądziłam, że trafię do jakiejś przestępczej meliny - rzekła Aislinn, zapinając bluzę.

- Nie rozumiem - dodała spoglądając ku łóżku, przy którym krzatali się Greywolf i doktor - czemu Lucas ukrył przede mną powód ucieczki z więzienia,

- Bywa bardzo skryty.

- I nieufny.

Alice dotknęła lekko ramienia Aislinn.

- Jest jeszcze trochę gorącej zupy. Miałaby pani ochotę?

- Tak, poproszę - odrzekła uzmysławiając sobie, jak bardzo jest głodna. Usiadła przy stole i jedząc zupełnie wypytywała ciekawie Alice o różne fakty z przeszłości Greywolfa.

- Czy to prawda, że skazano go aż na trzy lata więzienia za przestępstwo, którego właściwie nie popełnił?

- Tak - odrzekła Alice. - Winien był tylko tego, że zorganizował manifestację na stopniach budynku sądu w Phoenix. Miał na to zezwolenie, tak samo jak i na marsz protestacyjny. Kto by przypuszczał, że przyjdzie to tak gwałtowny obrót.

- Co się stało?

- Niektórzy demonstranci zaczęli zachowywać się po chuligańsku. Zanim Lucas zdołał ich powstrzymać, doszło do awantur i aktów wandalizmu. Kilka osób, między innymi policjant, odniosło obrażenia.

- Poważne?

- Owszem. A ponieważ Lucas miał już opinię buntownika, od razu go aresztowano.

- Dlaczego nie wyjaśnił, że usiłował tylko zażegnać burdę?

- Mówił to, ale nie chciał podać nazwisk ludzi, którzy wywołali zajście. Podczas procesu bronił się sam, ale myślę, że i sędzia i przysięgli uprzedzili się do niego jeszcze przed rozprawą. Środki przekazu bardzo rozdmuchały tę sprawę. Uznano, że złamał prawo. A wyrok był nieproporcjonalnie surowy w stosunku do przewinienia.

- Czy nie zrobiłby dobrze, biorąc sobie adwokata?

- Widzę, że mój syn niewiele pani powiedział o sobie - uśmiechnęła się Alice. - Lucas jest adwokatem.

Aislinn zaniemówiła z wrażenia.

- Adwokatem?

- Wykluczonym obecnie z palestry. To jeden z powodów, dla których zrobił się taki przykry. Chciał służyć naszym ludziom fachową pomocą prawną. Teraz stało się to niemożliwe.

Aislinn z niedowierzaniem przyjmowała te rewelacje. Wszystko wskazywało na to, że pan Greywolf jest postacią bardziej skomplikowaną niż sobie wyobrażała. Rzuciła okiem w kierunku łóżka i odwróciła szybko głowę, widząc, jak Dexter pocieszającym gestem kładzie dłoń na ramieniu Greywolfa.

Po krótkiej rozmowie, z której Aislinn dowiedziała się, że Lucas mógł pójść na studia dzięki otrzymanemu stypendium, wróciła jednak do nurtującego ją problemu.

- Użyła pani określenia „nasi ludzie” - zwróciła się znów do Alice. - Indiański rodowód musi mieć dla was wielkie znaczenie. Czy to dlatego i pani, i Lucas używacie nadal nazwiska Greywolf?*

- A jakiego mielibyśmy używać? - spytała Alice, najwyraźniej zaskoczona.

- No, chyba Dexter - odparła Aislinn równie zdziwioną. - Czy doktor nie jest ojcem Lucasa?

Trzy pary oczu utkwiły w Aislinn zdumione spojrzenia. Pierwsza odwróciła wzrok Alice, a na jej śniadych policzkach wykwitły rumieńce.

Gene Dexter chrząknął z zakłopotaniem. Odezwwał się tylko Greywolf, a jego odpowiedź zabrzmiała sucho:

- Nie, doktor nie jest moim ojcem.

Jak nakazuje honor

5

- Alice, Joseph chciałby zamienić z tobą kilka słów - powiedział dyplomatycznie Gene i otoczył ją ramieniem, gdy wstała, aby podejść do łóżka.

Aislinn tymczasem miała ochotę zapaść się pod ziemię.

- Myślałam, że... że skoro jesteś tylko w połowie Indianinem... To znaczy,..

- No, to źle myślałaś - uciał Greywolf siadając przy stole. - A poza tym, co ty tu jeszcze robisz? Sądziłem, że przez ten czas zdążyłaś się już uśmiechnąć do Dextera, żeby cię odstawił z powrotem do cywilizacji.

- On ma ważniejsze rzeczy na głowie. Musi zajmować się twoim dziadkiem.

- A może odechciało ci się wracać do domu? - zapytał kpiąco, odchylając się do tyłu i balansując na tylnych nogach krzesła. - Może zafrapowało cię przestępcze życie?

- Jasne, że chcę wrócić do domu - odparła z oburzeniem. - Ale nie jestem taka bezduszna i małostkowa, jak ci się wydaje.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Tylko to, że współczuję twojej matce i rozumiem cię. Zamiast mnie terroryzować, grozić mi nożem i wiązać, mogłaś powiedzieć, dlaczego uciekłeś z więzienia. Pomogłabym ci.

Prychnął i uśmiechnął się z powątpiewaniem.

- Przyzwoita, praworządna pszczołka twojego pokroju udziela pomocy zbiegłemu więźniowi? I to na dodatek Indianinowi? - odezwał się szyderczym tonem. - Nie do wiary. Tak czy owak, nie polegałbym zanadto na twoim czułym serduszk. Życie nauczyło mnie podejrzliwości - powiedział, akcentując słowa hałaśliwym opuszczeniem przednich nóg krzesła na twarde klepisko. - Jest jeszcze trochę tej zupy?

Nalewając mu miskę zupy z garnka zawieszono nad dymiącym ogniskiem uświadomiła sobie, że nie wyjaśniło się, kim był ojciec Lucasa. Najwidoczniej nie poruszano tu chętnie tego tematu, co tylko wzmogło jej ciekawość.

Greywolf jadł łapczywie, tymczasem Aislinn nałapała mu bez pytania kubek kawy. Jeszcze kilka godzin temu szczerze pragnęła znaleźć się jak najdalej od tego strasznego człowieka, a teraz siedziała z nim przy jednym stole. Spojrzał na nią, podnosząc pytają-

co brwi, ale nie odezwał się, pochłonięty kończeniem zupy.

Nie wyglądał już tak groźnie. Złagodniał najwyraźniej w ciasnej przestrzeni i smutnej atmosferze hoganu. Niepodobna było się go bać, widząc kliwość, jaką okazywał umierającemu dziadkowi.

Oczywiście, fizycznie nic się nie zmienił. Miał wciąż te same czarne jak węgiel, buntowniczo długie włosy i te same lodowato zimne oczy. W mięśniach jego ramion, pod powierzchnią miedzianej skóry, kryła się ta sama przyczajona siła. I nie rozstał się wcale z tą swoją wyniosłą miną. A mimo to był inny.

Nie budził już w niej lęku. Zaczynał ją intrygować.

Bardzo się różnił od mężczyzn, wśród których, według rodziców, powinna sobie upatrzeć kandydata na męża. Wszyscy byli do siebie podobni jak wycięte z blachy szablony. Ubierali się w spokojne, tradycyjne garnitury, różniące się tylko odcieniem szarości. Wszyscy mieli chrapkę na dyrektorskie kariery i rozprawiali rozwlekle o sytuacji rynkowej i wskaźnikach wzrostu. Jeżeli decydowali się na ożywienie konwersacji, mówili o swoich tenisowych wyczynach i kosztach, jakich wymaga importowany samochód sportowy. Na przyjęciach omawiali najchętniej jakiś świeży rozwód lub czyjeś kłopoty podatkowe.

Wydali się jej bardzo nudni w porównaniu z Greywolfem, który nosił w uchu kolczyk i zajadał się zupa

z puszki, nic sobie nie robił z brudu, a śmierć przyjmował jak zwyczajną kolej rzeczy. Lucas Greywolf zafascynował ją.

- Nie powiedziałeś mi, że jesteś adwokatem - odezwała się pierwsza, widząc, że Lucas nie kwapi się do wszczęcia rozmowy.

- Nie było potrzeby.

- Mogłeś o tym napomknąć.

- A po co? Poprawiłoby ci samopoczucie, gdybyś wiedziała, że gość, który przykłada ci nóż do gardła, jest prawnikiem?

- Raczej nie - powiedziała tępo. Greywolf zajął się znów jedzeniem i rozmowa się urwała. Aislinn czuła się jak dentystka, która wyrywa pacjentowi głęboko zakorzenione trzonowce. - Twoja matka mówiła, że mogłeś pójść na studia dzięki stypendium sportowemu - podjęła raz jeszcze indagację.

- Widać z tego, że ucięłyście niezłą pogawędkę

- powiedział i odsunął od siebie pustą miskę.

- Czy to prawda z tymi studiami?

- Skąd to nagłe zainteresowanie?

- Po prostu... - Wzruszyła ramionami. - Sama nie wiem. Ciekawi mnie to.

- Ciekawi cię, jak biedny indiański chłopak dawał sobie radę w świecie białych?

- Powinam przewidzieć, że się zaraz uniesiesz honorem. Dajmy temu spokój.

Odsunęła z irytacją krzesło od stołu i wstała, ale kiedy sięgnęła po miskę, żeby ją zanieść do zlewu, Greywolf złapał ją za rękę.

- Jeżeli tak ci na tym zależy, to siadaj i nadstaw uszu.

Palce Lucasa wpijały się jej w ciało. Nie mogła się wyrwać, więc usiadła znów naprzeciw niego. Zanim puścił jej rękę, przez kilka chwil przyglądał się jej tak lekceważąco, że nie mogła ukryć zakłopotania.

- Maturę zdałem tutaj, w rezerwacie - zaczął mówić, ledwo poruszając zaciśniętymi posępnymi ustami. - Przyznano mi stypendium, bo jeden z wychowanków uniwersytetu w Tucson, zwiadowca tamtejszego trenera, wypatrył mnie podczas zawodów, w których biegałem. Zapisalem się więc na studia. Na bieżni spisywałem się dobrze, ale moja wiedza w porównaniu z innymi pierwszozroczniakami przedstawiała się zalos'nie. Mimo starań moich nauczycieli z rezerwatu byłem nędznie przygotowany do studiów.

- Nie musisz tak na mnie patrzeć.

- To znaczy jak?

- Jak gdybym powinna się poczuwać do winy dlatego, że jestem blondynką i mam niebieskie oczy.

- Wiem, że komuś takiemu jak ty ciężko to pojąć, ale gdy się startuje z pozycji pariasa, dobrze jest mieć jakiś cholernie mocny atut. Tylko w ten sposób można liczyć na jaką taką akceptację. Kiedy ty i tobie podob-

ni urządzaliście sobie wesołe przyjęcia, ja musiałem wkuwać.

- Chciałeś zabłysnąć.
 - Nie. Chciałem tylko nadrobić zaległości. A poza czasem spędzonym na wykładach, w bibliotece albo na boisku, wykonywałem różne prace w miasteczku uniwersyteckim. Nie chciałem, żeby mówiono o mnie jako o Indianinie, który dostał darmowy indeks, bo potrafi szybko biegać. - Splótł dłonie na blacie stołu i opuścił na nie wzrok. - Czy wiesz, kto to jest mieszaniec?

- Znam to słowo, owszem. Jest wstrętne.
 - Czy wiesz, co to znaczy siedzieć tak na dwóch stołkach? Niemądre pytanie. Oczywiście, że nie wiesz. Och, dzięki sportowi zyskałem pewną popularność. Biegałem niezłe - dodał z zadumą, jak gdyby słyszał znów wiwaty kibiców na stadionie. - Kiedy kończyłem uczelnię wyróżnieniem...

- A więc jednak się wybiłeś.
 - ..byłem na tyle popularny - zignorował jej uwagę - że nawet poświęcono mi artykuł w gazecie. Wychwalano łaskawie moje sukcesy, niezwykle jak na Indianina. Widzisz - spojrzał na nią przenikliwie - zawsze używają tego zwrotu: „jak na Indianina”.

Aislinn milczała, bo racja była po jego stronie.

- Od razu zacząłem praktykę. Rwałem się do pomocy Indianom, chciałem ich chronić przed wyzy-

skiem spółek kopalnianych i tak dalej. Udało mi się nawet wygrać kilka spraw, choć znacznie mniej, niż bym chciał. Rozczarowałem się co do systemu prawnego, który tak samo jak wszystko na świecie jest narzędziem polityki. Sprawiedliwość nie jest wcale ślepa.

- No i wciągnąłem się w tę nieczystą grę - ciągnął po chwili milczenia. - Krytykowałem na prawo i lewo. Zachęcałem Indian do głośnych protestów. Urządzałem demonstracje. Wkrótce zyskałem opinię wicchrzyciela, którego trzeba mieć na oku. I kiedy tylko nadarzyła się okazja, żeby mnie zamknąć na dłużej, nie omieszkało z niej skorzystać.

Wyprostował się i rzucił Aislinn zamyślane spojrzenie.

- Jesteś zadowolona? Dowiedziałaś się wszystkiego, czego chciałaś?

Nigdy by nie podejrzewała, że stać go aż na tak długi monolog. Brakujące klocki układanki można było sobie łatwo dorobić. Nie należał do żadnej społeczności, nie był w pełni ani Indianinem, ani białym. Wiedziała, na jakie zniewagi wystawiona była wciąż jego duma. Bez wątpienia był bardziej utalentowany niż inni, i to nie tylko w sporcie. Toteż indiańscy dysydenci garnęli się do mego, upatrywali w nim przywódcę. Natomiast biała społeczność trochę się go obawiała. Niemniej Aislinn uważała, że większość kłopotów

Greywolfa miała źródło w nim samym, w jego uporze i zawziętości.

Mógł się wywinąć od więzienia, wskazując prowdyrów zamieszek. Wyobrażała sobie doskonale, jak zaciska zęby, odmawiając odpowiedzi na zadawane mu pytania.

- Jesteś chorobliwie drażliwy - powiedziała bez ogródek.

Ku jej zdziwieniu uśmiechnął się, co nie znaczyło, że poweselał.

- A tak. Teraz. Nie zawsze taki byłem. Kiedy poszedłem do college'u, miałem głowę nabitą naiwnie szczytnymi ideałami.

- Ale życie pokazało ci język.

- No, jazda, kpij sobie. Przywykłem do tego.

- Czy pomyślałeś kiedyś, że trafiłeś' poza nawias nie dlatego, że jesteś Indianinem, ale z powodu twojego paskudnego charakteru?

Wyciągnął nagle dłoń i schwycił ją za przegub.

- Co ty możesz o tym wiedzieć? Nic - warknął.

- Nawet twoje nazwisko cuchnie czystością angloską krwią. Czy byłeś kiedyś na przyjęciu, podczas którego wmuszano w ciebie alkohol, żeby się przekonać, jak dużo może wypić czerwonoskóry? Jak się zachowuje po pijanemu? Może przywdzieje pióropusz i zatańczy dla nas? Gdzie twój łuk i strzały, wodzu?

- Przestań-gotowałam próżno wyswobodzić rękę.

Oboje podnieśli się z miejsc, a Greywolf przyciągnął ją do siebie poprzez stół. Zacisnął zęby i choć mówił głosem miękkim jak aksamit, kipiał gniewem.

- Kiedy cię wystawią na podobne pośmiewisko, przyjdź do mnie i powiedz, że jestem chorobliwie drażliwy, panienko Andrews. Ty...

- Lucas!

Karcący ton w głosie matki położył kres jego tyradzie. Jeszcze tylko przez sekundę popatrzył Aislinn głęboko w oczy, a potem puścił jej rękę i odwrócił się na pięcie.

- Dziadek cię prosi - powiedziała Alice, spoglądając to na syna, to na Aislinn, jak gdyby wyczuwając iskry, które przed chwilą przebiegły między nimi.

Ujęła Lucasa za ramię i poprowadziła go do dziadka. Aislinn obserwowała ich w milczeniu. Głowa Alice ledwie dosięgała barku Greywolfy, który czule otoczył matkę ramieniem, ujawniając znów, ku zaskoczeniu Aislinn, zwykłe ludzkie uczucia.

- Musi pani wybaczyć Lucasowi - wyrwał ją z zamyślenia głos Dextera.

- Dlaczego? Jest dorosły, odpowiada za swoje czyny. Nie należy zachowywać się ordynarnie bez względu na okoliczności.

Lekarz westchnął i nalał sobie kawy.

- Ma pani z pewnością słuszość - rzekł i upiwszy

kilka łyków, zwrócił wzrok na matkę i syna, klęczących przy umierającym. - Znam Lucasa od dziecka. Zawsze był z niego złośnik. I niesłychany uparciuch. Matka Alice pochodziła z Nawahów, ale Joseph jest Apaczem. To po nim Lucas odziedziczył wojowniczość.

- Zna ich pan od tak dawna?

Skinał głową.

- Osiedliłem się w rezerwacie w rok po skończeniu studiów.

- Dlaczego? - Zacerwieniła się, bo Dexter spojrział na nią z lekkim uśmiechem. Dobry Boże! Czyżby arogancja Greywolfa była zaraźliwa? - Przepraszam. To przecież nie moja sprawa.

- Nic nie szkodzi. Z przyjemnością pani odpowiem. - Ściągnął brwi, starając się zebrać myśli i starannie ważył słowa. - Można powiedzieć, że miałem poczucie misji. Byłem metody, wierzyłem w ideały. Nie zależało mi na pieniądzech. Chciałem zmieniać życie na lepsze.

- Jestem pewna, że się panu udało. Przynajmniej jeśli chodzi o życie Alice i Lucasa - dodała po chwili, ale patrząc na doktora spod oka dostrzegła, że nie dal się nabrać na jej mały podstęp.

- Poznałem Alice, kiedy przyprowadziła do mnie Lucasa ze złamaną ręką. Zaprzyjaźniliśmy się w ciągu następnych kilku tygodni i zaproponowałem jej, żeby

mi pomagała w ambulatorium. Nauczyłem ją pielęgniarstwa. Od tamtej pory pracujemy razem.

Aislinn odniosła wrażenie, że sympatia Dextera do Alice Greywolf nie ogranicza się do płaszczyzny zawodowej, ale już nie zdążyła zgłębić tej kwestii. Alice obejrzała się bowiem nagle na doktora i zawołała przestraszona:

- Gene, chodź tu szybko, on...

Dexter podbiegł do łóżka i, odsunawszy na bok Lucasa i Alice, przyłożył stetoskop do kościstej piersi Josepha. Aislinn słyszała jego głosne rżenie. Był to odgłos podobny do tarcia o siebie dwóch kawałków papieru s'ciemego. Ustał dopiero nad ranem.

Zapadła wówczas cisza głośniejsza od wszelkiego hałasu, Aislinn zakryła dłonią drżące wargi i odwróciła się plecami do trojga ludzi czuwających przy łóżku. Była tu intruzem i nie zamierzała wtrącać się do ich rozpacy. Usiadła na krześle i opuściła nisko głowę.

Słyszała szuranie stóp na klepisku, cichy płacz Alice, stłumiony szmer pocieszeń. Potem doszły jej uszu mocne stąpnięcia butów. Drzwi zaskrzypiały, jakby je ktoś otwierał. Uniosła głowę i zobaczyła Lucasa, schodzącego w dół po kamieniach dróżki.

Kroczył z właściwą sobie płynnością ruchów, ale jego posagowa postać zdawała się zachowywać równowagę jedynie dzięki sile woli. Aislinn nie mogła widzieć jego twarzy, lecz wyobrażała sobie jej wyraz:

twardy, napięty, niewzruszenie surowy. Minał jej samochód, potem ciężarówkę z napędem na cztery koła, która zapewne należała do doktora, i maszerując tym samym zdecydowanym krokiem przeciął koryto kanionu, po czym ruszył pod górę skalistą ścieżką wijącą się przez zbocze wzgórza.

Nie pamiętała chwili, kiedy się poruszyła. Jej umysł nie podjął żadnej decyzji. Po prostu wstała i poszła ku wyjściu, jak gdyby wiedziona instynktem. Spojrzała przelotnie na Alice. Doktor trzymał ją w ramionach i z głową przy jej czarnych włosach szeptał słowa otuchy.

Wybiegła na dwór. Poświata brzasku zerkała właśnie zza pasma gór otaczających hogan. Tam wysoko powietrze było znacznie chłodniejsze, zwłaszcza o tej porze dnia, kiedy słońce nie zdążyło jeszcze nagrzać skał do temperatury rozpalonej blachy.

Aislinn nie widziała niczego. Uszła jej uwagi nawet wspaniała gra fiołkowych odcieni na wschodniej krawędzi horyzontu, gdzie wschodziło słońce. Wzrok miała przykuty do sylwetki Lucasa, który był teraz szybko malejącym punktem pośród rumowiska głazów, pnącym się coraz wyżej, na pozór bez żadnego wysiłku.

Aislinn nie mogła iść równie szybko. Wprawdzie buty, jakie dostała od Alice, były wygodne, ale duża spódnica bardzo jej przeszkadzała; zaczepiała o krzaki i plątała się koło nóg. Niebawem Aislinn poobjała sobie kolana i podrapała do krwi dłoń. Nim

zdołała pokonać połowę drogi na szczyt, była tak zdyszana, że z trudem łapała oddech. Mimo to wspinała się nadal, gnana impulsem, któremu nie poświęciła ani chwili namysłu. Po prostu musiała się mu podporządkować. Musiała dogonić Greywolfa.

Płaski szczyt zamykający wzniesienie był coraz bliżej. W górze widziała szczupłą sylwetkę Lucasa, ciemniejącą na tle idealnie błękitnego nieba.

Ostatnie metry przebrnęła właściwie na czworakach. Gdy dotarła na szczyt, osunęła się na płaski gład i ze zwieszoną głową dyszała z wyczerpania. Serce biło jej boleśnie. Ze zdziwieniem spojrzała na niemilosierne pokaleczone dłonie i połamane paznokcie.

W innych okolicznościach napełniłoby ją to zgrozą. Teraz ból nic nie znaczył. Nawet go nie czuła. Nieważne było wszystko oprócz tego mężczyzny, który stał nieruchomo, wpatrzony w przeciwległą grań. Stopy miał rozstawione na szerokość barków, a zaciśnięte pięści zwiślały mu sztywno u boków.

Nagle odrzucił głowę do tyłu, zamknął oczy i wydał z siebie skowyt, który niesamowitym echem odbił się o zbocza gór. Była to skarga tak dojmująco nabrzmiała rozpaczą, żalem i goryczą, że Aislinn odczuła ból tego mężczyzny jak swój własny. Łzy popłynęły jej po policzkach. Pochyliła się i wyciągnęła rękę, jak gdyby chciała go dotknąć, ale stał plecami do niej, oddalony o kilka metrów i jej gest pozostał niezauważony.

Ten dramatyczny krzyk powinien właściwie wzbudzić w niej wewnętrzny sprzeciw. W jej rodzinie tego rodzaju okazywanie uczuć byto nie do pomyslenia. Smutek, gniew, nawet radość, należało okazywać w sposób powściągliwy. Tej zasady, tak samo jak wielu innych, przestrzegało się bezwzględnie. Nad uczuciami trzeba było panować. Wykroczenia przeciw temu uważane były za coś w bardzo złym tonie, za przejaw wyjątkowej wulgarności.

Nigdy w życiu Aislinn nie była świadkiem tak szczerego i nieposkromionego wybuchu uczuć. Dziki lament Greywolfa ugodził ją prosto w serce, zadając głęboką ranę. Była porażona, wstrząśnięta do głębi.

Lucas padł na kolana i pochylił się nisko, nakrywając głowę rękami. Kołysał się to w przód, to w ty), zawodząc żałośnie jakieś niezrozumiałe słowa. Aislinn pojmowała jednak, że pogrążony jest w beznadziejnym smutku i rzucony na pastwę samotnej rozpacz.

Wciąż siedząc, podsunęła się trochę bliżej i dotknęła jego ramienia. Zareagował jak zranione zwierzę. Poderwał głowę i obejrzał się z głuchym pomrukiem. Oczy miał suche i zimne jak kawałki lodu, ale źrenice płonęły mu niczym ognie z piekielnych otchłani.

- Co ty tu robisz? - spytał pogardliwie. - Nie powinnaś tu przychodzić.

Dał jej do zrozumienia, że znalazła się tu, obok

niego, jako ktoś zupełnie obcy i że nie jest w stanie pojąć ogromu jego rozpacz, choćby się jej nawet zdawało, że jest inaczej,

- Przykro mi z powodu twojego dziadka.
- A cóż cię może obchodzić śmierć jakiegoś starego Indianina?

Łzy zakręciły się jej w oczach.

- Dlaczego to robisz?
- Co mianowicie?

- Okrutnie odpychasz ludzi, którzy pragną tylko ci pomóc.

- Niepotrzebna mi żadna pomoc. Zwłaszcza twoja - dodał i spojrzął na nią z nie skrywanym lekceważeniem.

- Czy myślisz, że jesteś jedynym człowiekiem na ziemi, który wie, co to rozczarowanie, krzywda i zdrada?

- Ty też tego doświadczyłaś? W swojej wieży z kości słoniowej?

Zbyła milczeniem jego pogardliwe pytanie. Miała-by mu ze swej strony wiele do opowiedzenia, ale takie licytowanie się byłoby śmieszne. Poza tym była na niego zła, że odtrącił jej współczucie.

- Ta twoja gorycz służy ci jak tarcza. Ukrywasz się tchórzliwie za swoim gniewem ze strachu przed odrobiną ludzkiego ciepła. Ktoś chce ci ofiarować trochę czułości, a ty bierzesz ją błędnie za litość. Zresztą, wszystkim potrzeba od czasu do czasu odrobiny litości.

- No więc dobrze - powiedział obłudnie. - Ulituj się nade mną.

Dopał jej jak błyskawica i Aislinn rzeczywiście zdawało się, że poraził ją prąd. Pochwyciwszy ją za włosy, owinał sobie wokół dłoni kitka pasemek i odchylił jej głowę mocno do tyłu.

- Jesteś życzliwie usposobiona do Indian, tak? Zobaczymy, jak bardzo.

Przycisnął brutalnie wargi do jej ust. Jęk protestu uwiązał jej w gardle, ale Lucas na nic nie zważał. O tym, by mogła poruszyć głowę, nie było mowy, więc złapała go za ramię i próbowała odepchnąć. Ale z równym powodzeniem mogłaby walczyć ze stalowym kablem,

Lucas odsunął się nieznacznie do tyłu i drwiący uśmiech wypełził na jego twarzy.

- Czy całował kiedyś panią Indianin, panno Andrews? Będzie pani miała co opowiadać przyjaciółkom przy podwieczorku.

Kiedy znów przyciągnął ją do siebie, odniosła wrażenie, że spada w otchłań. Po chwili uwierające ją w plecy kamyki potwierdziły, że Lucas pchnął ją na ziemię i przygniótł swoim ciałem.

- Nie - zaprotestowała, gdy zaczął gorączkowo całować ją w szyję. Usiłowała go kopnąć, ale przerzucił ponad nią nogę i przyszpilił udem do ziemi.

- No? Czyżby ci już przeszła ochota na litość? A co powiesz o tym?

Próbował rozsunać językiem jej wargi, lecz zacisnęła je z całej siły. Puścił więc jej włosy i chwycił palcami szczękę tak mocno, że musiała otworzyć usta.

Była to agresja gniewna, gwałtowna, niszczycielska. Aislinn broniła się zawzięcie targana cichą furią, rozwścieczona upokorzeniem. Wygięła grzbiet, chcąc zrzucić z siebie Lucasa, ale on zaklinował kolano pomiędzy jej udami. Zdesperowana postanowiła podrapać mu twarz paznokciami, lecz gdy dotknęła jego policzków, poczuła, że są mokre od łez. Natychmiast złość ją opuściła. Rozluźniła palce i zaczęła błądzić nimi po jego twarzy,

Z chwilą, gdy poniechała oporu, Lucas przestał być brutalny. Spojrzeli sobie milcząco w oczy. Machinalnie uniosła dłoń i otarła wilgotny ślad na jego twarzy. Powiodła palcem wzdłuż słonej ścieżynki biegnącej aż do podbródka. Poczuła wzruszenie na myśl o bezmiarze rozpaczy, jaka zmusiła do płaczu kogoś tak twardego jak on.

Lucas patrzył na nią z poczuciem winy. Miała zmaltretowane, spuchnięte usta. Nigdy dotąd nie potraktował kobiety w ten sposób i było mu wstyd. Poruszył się lekko, zamierzając zsunąć się z niej, ale dłonie Aislinn nadal spoczywały na jego policzkach. I przyglądała się uważnie jego ustom.

- Ostrzegałem cię, żebyś więcej tak na mnie nie patrzyła ~ powiedział szorstko.

Nie zareagowała.

- Mówiłem ci, co się wtedy może zdarzyć.

Nie zmieniła ani trochę wyrazu twarzy.

Wahał się nie dłużej niż ułamek sekundy, ale zdawało się, że minęła wieczność, zanim ze zmysłowym pomrukiem dotknął znów jej ust. Był to jednak zupełnie inny Lucas. Muskał jej wargi delikatnie, pieszczotliwie, jakby prosząc o przebaczenie.

Sięgnęła dłonią do koleczka w jego prawym uchu. Tracony palcem wydał cichutki, melodyjny dźwięk. Zanurzyła drugą dłoń w długie włosy Lucasa i zsunęła z nich opaskę. Poczwała jego rękę na bluzie, którą pożyczyła od jego matki. Guziki poddawały się jeden po drugim, bez żadnego sprzeciwu z jej strony.

Nie myśl o tym. Nie myśl, nakazywała sobie. Jeśli zaczniesz myśleć, wszystko popsujesz. A tego pragnęła uniknąć za wszelką cenę.

Od momentu, gdy zastała Lucasa w swojej kuchni, prześladowały ją erotyczne myśli. Dopadały ją niemal bez ustanku. Jeszcze trzy noce temu jej życie zdawało się być jałową pustynią, a teraz... Teraz pragnęła Lucasa.

Jego gorący oddech owiewał jej szyję, kiedy ręką wodził po jej skórze. Pomyślała o jego brązowych palcach na swoim białym ciele i uśmiechnęła się z radością. Kiedy pocałował jej pierś, cicho krzyknęła i obiema rękami przycisnęła do siebie jego głowę.

Teraz już Lucas pozbył się zahamowań. Aislinn podjęła inicjatywę i rozpięła mu koszulę. Lucas szepotał jej imię z rozkoszy, Podwinął jej spódnice i położył dłoń na wewnętrznej stronie uda. Krew uderzyła mu do głowy. Potrzebował kobiety, ale naprawdę pragnął tylko tej jednej. Ta błękitnooka blondynka, symbol wszystkiego, co było mu nienawistne, stała się jego wybranką.

Od momentu, kiedy zobaczył ją rozebraną w sypialni, złościście oświetloną przez lampę, tłumił w sobie pożądanie. Miał ochotę poznać wszystkimi zmysłami każdą cząstkę jej ciała. Marzył, że wędruje po jej ciele i wyczuwa jej kształty dłonią, jak gdyby je modelował.

Świetnie pamiętał, jak wyglądała bez ubrania. Przerażona, lecz dumna. Bezbronna, lecz śmiała. Skórę miała gładką i lśniącą. To, czego nie widział, podpowiadała mu rozpalona wyobraźnia.

A w tej chwili dotykał pod tkaniną bielizny. Trójkąt włosów był ciepły i miękki, tak jak sobie wyobrażał. Znieruchomieli teraz oboje, oddychając ciężko. Lucas dźwignął się na łokciu i popatrzył na jej twarz. Była zupełnie spokojna. Malowało się na niej wyzwanie.

Wschodzące słońce było już tak wysoko, że padało na jej odsłonięte piersi. Nie wykonała najmniejszego mchu, kiedy ogarnął je spojrzeniem, po czym prze-

niósł wzrok niżej. Zamknął oczy, owładnięty falą bezmiernej błogości.

Rozpiął dżinsy i położył się między jej uniesionymi udami, a potem pochylił głowę, by dotrzeć jej ust. Nie spieszył się. Dopiero kiedy już nie miał nic więcej do dania, położył się na niej i wtulił twarz w zagłębienie między jej szyją a barkiem.

Pomyślał, że mógłby już właściwie umrzeć.

Ponieważ już nigdy nie będzie mu tak dobrze jak teraz.

Szepnął coś w swoim rodzimym języku, po czym nagle uniósł się nad nią na sztywno wyprostowanych rękach.

- Mam na imię Lucas - powiedział zmienionym głosem.

- Lucas - powtórzyła niemal bezdźwięcznie - Lucas - dodała głośniejsze.

- Chcę... O Boże... Chcę to zobaczyć... Nas...

Spojrzał w dół, tam, gdzie łączyły się w jedno ich ciała, i zakołysał biodrami. Aislinn zaparło dech. Odchyliła się, wyginając szyję w łuk. Pod wpływem ekstazy ciężły jej powieki, ale nie zamknęła oczu. Patrzyła mu prosto w pociemniałą twarz, aby zapamiętać jej wyraz, jej dzikie piękno. Na czole zbierały mu się kropelki potu.

- Chcę to pamiętać, pamiętać, pamiętać - powtarzał w uniesieniu. - Kiedy mnie znów wezmą... O Boże...

Odrzucił głowę do tyłu. Spojrzał na nią i zamknął oczy. Na jego twarzy pojawił się przelotny grymas, ciałem wstrząsnęły dreszcze. Aislinn objęła go za szyję i przytuliła się do niego, rozedrgana własnym szczęściem.

Po chwili trwającej wieczność opadł na nią bezwładnie. Usta miał przy jej uchu, ale jeśli nawet szeptał jakieś słowa, nie mogła ich słyszeć. Głaskała go po głowie, jego włosy zakrywały jej twarz. Nie miała pojęcia, jak długo tak trwali. Nie mogła też sobie potem dokładnie przypomnieć, co wyrwało ich w końcu z błogiej niemocy.

Zapamiętała jednak na zawsze wyraz jego twarzy, gdy uniósł głowę i popatrzył na nią. Przez krótką chwilę wydał się jej niewymownie smutny i zrezygnowany, ale także serdeczny, jednak wkrótce rysy mu zastygły i nic już z nich nie mogła wyczytać. Wstał, zapiął spodnie, podszedł do skraju urwiska i spojrzał w dół na hogan swego dziadka.

- Lepiej się ubierz. Przyjechali już po mnie - powiedział.

Słowa te przygniotły ją jak gład. Chciała krzyknąć, protestować, ale cóż by to dało? Gdzie mogłaby go ukryć? Jak go ochronić? Zresztą Lucas wyglądał tak, jak gdyby była mu zupełnie obojętna zarówno jego najbliższa, jak i dalsza przyszłość, co dopiero los Aislinn.

Pomimo słońca poczuła dotkliwy chłód i pośpiesznie doprowadziła swój ubiór do porządku. Stojąc na chwiejnych nogach, otrzepywała się z kurzu. Była zaszokowana tym, co się stało, zaczerwieniona ze wstydu, rozdygotana.

Jeszcze nie całkiem ostygła. To wszystko odbyło się zbyt szybko. Spodziewała się czułego epilogu. Specjalnego zaakcentowania wzajemnej bliskości po tym, co przed chwilą przeżyli. Czego oczekiwała? Miłosnych wyznań, ddiwych podziękowań, żartu, który rozładowałby napięcie? W każdym razie Lucas nie ofiarował jej nic poza przelotnym spojrzeniem. Jego oczy nie wyrażały żadnych emocji, kiedy ruszył po kamieniach z powrotem do kanionu.

Zakryła twarz rękami, usiłując wziąć się w garść. Kiedy zbliżyła się do krawędzi urwiska, kolana uginały się pod nią, jakby były z waty. Widok, który stamtąd ujrzała, nie dodał jej otuchy.

Wokół hoganu stały wianuszkami samochody, na dachach których obracały się niebieskie i czerwone światła. Przy domostwie roilo się od umundurowanych postaci. Jeden z policjantów szperał w jej aucie.

- Załóż ręce na głowę, Greywolf - zahuczano z dohi przez megafon.

Lucas usłuchał, choć odtąd było mu dużo trudniej schodzić.

Aishnn bezradnie obserwowała bieg wydarzeń. Wi-

działa, jak pod wejście do hoganu podjechał ambulans. W chwilę później wyniesiono na noszach osłonięte płachtą ciało Josepha Greywofa. Za sanitariuszami szła Alice podtrzymywana przez Dextera.

Dwóch policjantów szło pod górę w stronę Lucasa. Kiedy zatrzymali się przy nim, wykręcili mu ramiona do tyłu i założyli kajdanki. Lucas szedł dalej wyprostowany. Cała jego postawa wyrażała butne pobłażanie i obojętność. Tylko w chwili, gdy drzwi ambulansu zatrasnęły się za zwłokami dziadka, można było dostrzec, że lekko pochylił barki. Wkrótce podbiegła do mego Alice i objęła go w pasie. Pochylił się i pocałował ją w policzek, a potem zastępca szeryfa pchnął go ostro w stronę czekającego samochodu.

Zanim wpakowano go do środka, podniósł głowę i spojrzał na Aisiinn, która stała wciąż nieruchomo na brzegu urwiska. Gdyby nie ten gest, można by pomyśleć, że zapomniał o jej istnieniu.

Jak nakazuje honor

6

- Kiedy za mnie wyjdiesz?
- A kiedy przestaniesz o to pytać?
- Kiedy się zgodzisz,

Alice Greywolf złożyła starannie ścierkę, którą wycierała naczynia, i powiesiła ją na suszarce.

- Jesteś albo bardzo wytrwała, albo bardzo uparty
- westchnęła, spoglądając na Dextera. - Nie wiem, co bardziej. Dlaczego dotąd nie wybiłeś sobie mnie z głowy?

Objął ją w pół i przyciągnął do siebie, opierając policzek o jej lśniące włosy.

- Bo cię kocham. Od chwili, kiedy po raz pierwszy weszłaś do ambulatorium.

Mówił prawdę. Zakochał się w niej właśnie tego dnia. Była cudownie młoda, niewiarygodnie piękna i bardzo niespokojna o swojego niesfornego syna, który właśnie złamał sobie rękę. Dexter wyleczył mu ją,

ale sam zachorował na... Alice Greywolf. I choć mijały lata, jego miłość nie gaśła.

Nie była to miłość łatwa. Zdarzało się, że rozgoryczony odgrażał się, że jeśli go nie poślubi, zniknie jej z oczu na zawsze. Ale nie skutkowały ani prośby, ani groźby. Alice konsekwentnie odrzucała jego oświadczenia.

Kilka razy oddalał się od niej i świadomie nawiązywał romanse. Żaden z nich nie trwał długo. Od lat nie stosował zresztą tej taktyki, obliczonej na wzbudzenie zazdrości Alice, gdyż było to nie w porządku wobec tamtych kobiet. Bez względu na wszystko, Alice okazała się jego jedyną prawdziwą miłością. Musiał pogodzić się z tym faktem,

Oparła głowę o jego pierś i uśmiechnęła się, z radością i goryczą zarazem, przywołując na myśl dzień, w którym się poznali. Gene Dexter był jej przyjacielem od tak dawna, że nie potrafiłaby sobie wyobrazić życia bez jego kojącej obecności.

Dzień, kiedy po raz pierwszy zobaczyła i usłyszała jego łagodny głos, nigdy nie zatarł się w jej pamięci. Ale jednocześnie drżała wtedy o syna.

- Lucas pobił się tego ranka w szkole - powiedziała, cofając się w przeszłość. - Niektórzy starsi chłopcy zaczepiali go. Jeden brzydko go nazwał. - Jeszcze dziś bolało ją to, że jej syn został naznaczony piętnem mieszańca.

- I oczywiście Lucas nie puści! tego płazem.
 - Tak - odparta ze śmiechem. - Martwiłam się o jego rękę i byłam zła, że nie puszczał mimo uszu tych wyzwisk.

Gene pomyślał, że Lucas na pewno by tak zrobił, gdyby chodziło jedynie o niego. Ale z pewnością lżono też i Alice. To w obronie matki całe dzieciństwo Lucasa upłynęło na ustawicznych bójkach. Tę uwagę Gene zachował wyłącznie dla siebie.

- Nie cierpiałam tych jego szkolnych potyczek, bo zwracało to na niego tym większą uwagę - ciągnęła.
 - W dodatku martwiłam się, skąd wziąć pieniądze, żeby zapłacić temu nowo przybytemu białemu lekarzowi za jego usługi.

Odchyliła nieco głowę, żeby popatrzeć na Dextera. Nie był już taki młody jak wówczas, ale wciąż tak samo przystojny, ujmujący i powściągliwy.

- Wiedziałeś, że nie mam pieniędzy. Dlaczego udzieliłeś mi wtedy kredytu?

- Ponieważ wzbudziłaś we mnie pożądanie - odpowiedział, trącając ją nosem w podbródek z żartobliwie namiętym pomrukiem. - Liczyłem skrycie na inne zyski.

- Nie wierzę ci - odepchnęła go ze śmiechem. - To do ciebie niepodobne. Poza tym od razu zapewniłeś sobie spłatę długu. Jak tylko złożyłeś rękę Lucasowi, zaproponowałeś mi pracę.

Ujął jej twarz w obie dłonie i popatrzył na nią z czułością.

- Wiedziałem tylko, że zanim sobie pójdziesz, musisz coś zrobić, żeby cię znowu zobaczyć. Zapewniłem sobie jedynie to, że wrócisz - pocałował ją w usta tkliwie i zarazem gorąco. - Wyjdź za mnie - powtórzył z rozpaczliwą nutą w głosie.

- Mój ojciec...

- On już nie żyje. - Gene puścił ją i ze wzburzeniem przeczesywał sobie palcami włosy. - Wiem, że minęło zaledwie kilka tygodni od jego śmierci. Wiem, że wciąż czujesz ból po jego stracie. Ale przez wszystkie te lata był dla ciebie pretekstem do odtrącania mnie. Mówiłaś, że wymaga twojej opieki. Rozumiałem to. Teraz jednak go nie ma, a ty posługujesz się dla odmiany w ten sam sposób jego śmiercią?

Alice prześliznęła się obok niego, przechodząc z kuchni do małego saloniku.

- Proszę cię, Gene, nie zadreńczaj mnie teraz rozmowami o małżeństwie. Muszę także mieć wzgląd na Lucasa.

- To już dorosły mężczyzna.

- Ale wciąż potrzebuje rodziny. A zostałam mu już tylko ja.

- Ma jeszcze mnie, do ciężkiej cholery!

Spojrzała na niego i przepaszająco ujęła go za rękę.

kę. Był na nią zły, ale pozwolił się posadzić obok niej na kanapce.

- Wiem o tym - powiedziała. - Nie miałam zamiaru stawiać cię poza nawiasem.

- Posłuchaj, Alice - odezwał się łagodniejszym tonem. - Lucas dawno przestał być dzieckiem, ale wciąż wdaje się w awantury. Jest na najlepszej drodze, żeby przekształcić swoje życie w piekło. Ucieka z więzienia na kilka miesięcy przed końcem wyroku. Bierze zakładniczkę...

- To jakaś bardzo tajemnicza historia - przerwała mu. - Lucas nie ma zwyczaju wciągać w swoje sprawy osób postronnych.

- Otóż to. Nie zapytał ani ciebie, ani mnie, czy powinien uciekać z więzienia. Dlaczego ty miałabyś uzależniać od niego decyzję o swoim małżeństwie? On wie, co do ciebie czuję. Może, gdybyś wyszła za mnie wcześniej, nie byłby taki zwariowany. Przepraszam, to był cios poniżej pasa - dodał szybko, widząc jej urażoną minę.

- Lucas dość się nacierpiał jako chłopiec. Byłoby dla niego jeszcze gorzej, gdyby na dodatek miał białego ojczyma, człowieka zamożnego, jak na warunki rezerwatu.

- Wiem - przyznał. - Zresztą, zasłaniałaś się Lucasem przez lata. Później, kiedy dorósł i poszedł do colleges, mówiłaś, że to twój ojciec stoi na przeszkodzie

naszemu małżeństwu. Ale to nie były rzeczywiste powody, tylko kiepskie wymówki, a teraz już ich nie ma.

- A nie może być dalej tak jak dotychczas?

Potrząsnął głową.

- Nie, Alice. Będę cię kochał zawsze, ale jestem przecież mężczyzną. Chcę, żeby nasz związek był kompletny. I wiem, dlaczego boisz się za mnie wyjść - powiedział cicho, pochylając się ku niej.

Alice uniosła głowę i zaczerpnęła powietrza, jakby się szykowała do stawienia czoła plutonowi egzekucyjnemu. Gene odgarnął jej włosy z twarzy i rzekł tonem najgłębszego współczucia:

- Seks kojarzy ci się z doznaną krzywdą. Masz kompleks ofiary. Ale przysięgam ci, że ja nigdy cię tak nie skrzywdzę.

- O czym ty mówisz? - spytała, podnosząc ku niemu oczy pełne łez.

- Już bardzo dawno powinniśmy odbyć tę rozmowę, ale unikałem tego tematu, żeby cię nie drażnić. Masz opory przed pokochaniem znowu mężczyzny, zwłaszcza białego. - Alice zagryzła nagle dolną wargę i Gene pojął, że trafił w sedno. - I uważasz, że jeśli będziesz trzymać mężczyzn na dystans, nie zostaniesz ponownie zraniona.

Uniosł ręce Alice do swoich ust i powiódł wargami po kostkach jej palców.

- Przysięgam, że nigdy, przenigdy cię nie skrzyw-

dzę. Czy nie poznałaś mnie na tyle, by wiedzieć, że jesteś dla mnie całym światem? Kocham cię. Dlaczego miałbym ranić kogoś, kto jest częścią mnie samego?

- Gene - szepnęła przez łzy i oparła mu głowę na ramieniu. Objął ją i przycisnął do siebie z taką siłą, jakby trzymał najdroższy skarb. Gorąco ją ucałował, a w końcu spytał:

- No więc kiedy?

- Gdy Lucas wyjdzie z więzienia.

Zmarszczył brwi.

- Ależ to może trwać Bóg wie jak długo.

- Proszę, Gene. Zgódź się. Nigdy nam nie przebaczy, jeśli nie będzie na naszym ślubie. A chyba nie chcemy, żeby znowu uciekał - dorzuciła, śmiejąc się filuternie. Dexter też się uśmiechnął, przyjmując jej argument. W gruncie rzeczy sądził jednak, że Lucas byłby rad wiedząc, że matka jest szczęśliwą mężatką. AJe uzyskawszy już tyle uznał, że nie czas na spory.

- Dobrze. Ale będę cię trzymał za słowo. Jak tylko Lucas opuści więzienie. A tymczasem.... ~ mruknął, zaglądając jej w oczy.

- Co tymczasem?

- Tymczasem będę robił to, co zawsze. Niecierpliwie na panią czekał, droga pani Greywolf.

- Proszę wejść, panie Greywolf, zamknąć za sobą drzwi i usiąść.

Dyrektor Dixon nie posunął swej uprzejmości wobec więźnia do tego stopnia, by wstać zza biurka na jego widok, ale też nie okazywał mu lekceważenia. Przeciwnie, z zaciekawieniem mu się przyglądał.

Lucas wszedł do gabinetu i siadł na wskazanym krześle. Ku zaskoczeniu Dixona nie zachowywał się potulnie. Co więcej, nie tylko nie sprawiał wrażenia zastraszonego, ale była od niego zuchwała duma. Jego szare oczy nie biegały niespokojnie po kałach, skrywając poczucie winy. Spotkały się śmiało ze wzrokiem dyrektora bez cienia skruchy czy wyrzutów sumienia. Nie było w nich ani pokory, ani uległości.

- Najwidoczniej przejścia ostatnich tygodni nie odbiły się na pańskiej formie - zauważył Dixon. Od powrotu do więzienia Lucas trzymany był w pojedynczej celi o zaostrowym rygorze.

- Czuję się doskonale ~ rzekł lakonicznie.

- Trochę pan chyba schudł, ale to się da nadrobić. Wystarczy kilka dni normalnego jedzenia.

Lucas ułożył swobodnie stopę jednej nogi na kolanie drugiej.

- Jeśli ma pan zamiar zbić mnie po łapach, proszę się pośpieszyć. Chciałbym wrócić do celi.

Dixon opanował gniew. Lata obcowania z krnąbrnymi więźniami uodporniły go na najostrejsze prowokacje. Wstał i podszedł do okna, odwracając się do

Greywolfa plecami. Miał nadzieję, że wie/.ień weźmie to za dowód zaufania.

- Kara dyscyplinarna, jaką zastosujemy wobec pana, nie jest właściwie zbyt surowa, jeśli zważyć ciężar wykroczenia.

- Dzięki - rzucił sarkastycznie Lucas.

- Aż do ucieczki sprawował się pan wzorowo.

- Zawsze się staram.

Raz jeszcze dyrektor miał okazję dowieść, że potrafi zachować zimną krew.

- Po dokładnym zapoznaniu się z pańską sprawą postanowiliśmy na posiedzeniu zarządu więziennego przedłużyć panu karę odsiadki wyroku o sześć miesięcy. Nasza decyzja spotkała się z aprobatą czynników nadzoru więziennictwa.

Dixon odwrócił się na tyle szybko, by dostrzec zamaskowane spiesznie zdziwienie na twarzy Greywolfa. Spojrzał znów w okno i ukrył uśmiech. Pan Grey wolf udaje obojętność, ale jest takim samym człowiekiem jak wszyscy. A może nawet bardziej. Bądź co bądź, niewielu ludzi zaryzykowałoby dłuższy pobyt za kratkami, aby być przy śmierci dziadka. Postępek Greywolfa dziwnie zaimponował Dixonowi, Niepokoiło go pytanie, czy on też zachowałby się w ten sposób w takich samych okolicznościach.

- Czy te dodatkowe pół roku jest ceną wartą tego, co pan zrobił?

- Tak.

- Dlaczego? - spytał Dixon, wracając na swój fotel za biurkiem. Lucas zestawiał nogę na podłogę, przybierając uprzejmą pozę.

- Joseph Greywolf był dumnym człowiekiem, przywiązany do tradycji, co często sporo go kosztowało. Moje uwięzienie przeżywał bardziej niż ja. Nie mógł znieść myśli, że wnuk wodza siedzi zapuszczony.

- Był wodzem?

Greywolf przytaknął.

- Niewiele mu z tego przyszło. Zmarł w biedzie, pozbawiony złudzeń, pokonany, podobnie jak wielu ludzi mojej rasy.

Dyrektor zajrzał do leżących przed nim dokumentów.

- Mam tu zapisane, że należał do niego spory szmat ziemi.

- Trzy czwarte tego, co miał, zabrano mu szachrajstwem. Przestał o to walczyć. Zrezygnował. Zanim zachorował, zmuszony był zabawiać turystów indiańskimi tańcami. Dawne religijne obrządki stały się widowiskiem dla obcych.

Zerwał się nagle z krzesła. Dixon sięgnął w panice do guzika alarmowego, ale cofnął dłoń widząc, że więzień nie ma agresywnych zamiarów i tylko przemierza nerwowo pokój, napięty jak struna.

- Byłem jedyną nadzieją dziadka. Pokochał mnie mimo mojej skazonej krwi. Uważał mnie bardziej za syna niż za wnuka. Świadomość, że przebywam w więzieniu, była dla niego okropna. Musiał mnie zobaczyć wolnym i mógł spokojnie umrzeć, wiedząc, że odniosłem zwycięstwo. Dlatego uciekłem.

Spojrzał na Dixona, ten zaś pomyślał, że oto stoi przed nim człowiek stworzony na adwokata. Jaka szkoda, że jego elokwencja, dar przekonywania, pasja wewnętrzna, energia nie mogą znaleźć ujścia na sali sądowej.

- Nie chciałem uciekać, panie dyrektorze. Nie jestem głupcem. Prosiłem przecież o dwudniową przepustkę. Chodziło tylko o dwa cholerne dni. Ale odmówiliście mi.

- Zgodnie z przepisami - odparł spokojnie Dixon.
 - Do diabła z takimi przepisami - wybuchnął Lucas. - Są idiotyczne. Ludzie, czy nie rozumiecie, ile korzyści moglibyście osiągnąć, okazując więźniom trochę zrozumienia, przywracając im odrobinę godności? - Pochylił się wzburzony nad biurkiem.

- Niech pan usiądzie - rzekł Dixon na tyle stanowczo, by do więźnia dotarło, że posuwa się za daleko. Po dłuższej chwili, podczas której krzyżował oczy ze wzrokiem dyrektora, Lucas opadł na krzesło posepny jak chmura gradowa.

- Jest pan prawnikiem - podjął Dixon. - I chyba

zdaje pan sobie sprawę, że wyszedł pan z tego obroną ręką.

Włożył na nos okular)' w srebrnej oprawce i zaczął wertować akta Lucasa.

- Jest tu mowa o młodej kobiecie nazwiskiem Aislinn Andrews - rzekł i spojrzał pytająco na więźnia spcnał szkieł.

Lucas milczał, wytrzymując spojrzenie dyrektora.

- To dziwne, że nie złożyła na pana żadnej skargi.

Lucasowi zadrgały mięśnie policzków, ale nadal nic nie mówił. W końcu dyrektor zamknął teczkę i zdjął okulary.

-- Może pan wrócić do celi - oświadczył. - Na razie to wszystko.

Lucas wstał i ruszył ku drzwiom. Przekręcał już gałkę, gdy powstrzymał go głos Dixona.

- Panie Greywolf, czy to pan sprowokował napaść *na* policjantów podczas demonstracji? Czy wzywał pan do demolowania pomieszczeń sądu?

- Zorganizowałem len protest. A sędzia i przysięgli uznali, że jestem winny - odparł krótko i zniknął za drzwiami.

Dyrektor wpatrywał się w nie jeszcze długo po wyjściu więźnia. 7. doświadczenia wiedziały, kiedy oskarżony kłamie. I potrafił wyczuć czyjaś niewinność. Przerzucił jeszcze raz dossier Lucasa i podjąwszy decyzję, sięgnął po telefon.

Eskortowanemu do celi Lucasowi serce waliło jak miotem, choć na pozór był zupełnie spokojny. Spodziewał się oskarżenia o napaść z włamaniem, porwanie i Bóg w ie co jeszcze. Lękał się udręki kolejnego procesu, który przysporzyłyby wstydu i bólu jego matce.

Wiadomość, że ucieczka będzie go kosztować jedynie pół roku więzienia, była nadzwyczajna, niespodzianką. Nie zmarnuje tego czasu. W celi miał stos listów od ludzi, proszących go o porady prawne. Nie może brać za nie pieniędzy, ale udzieli ich za darmo. Wielu Indian wiązało z nim swoje nadzieje. Nie zawiedzie ich.

Ale dlaczego Aislinn nie wniosła przeciw niemu skargi? Z pewnością zarówno władze stanowe, jak i federalne chciały mu wytoczyć proces. Jednakże bez jej świadectwa nie mogli go obwinie o nic więcej, jak tylko o ucieczkę z więzienia. Dlaczego nie wniosła oskarżenia?

Nie cierpiał być czymkolwiek dłużnikiem, ale wobec Aislinn Andrews miał dług wdzięczności.

Aislinn wyszła z sypialni i cicho zamknęła za sobą drzwi. Dzwonek u wejścia odezwał się już po raz drugi. Spiesząc się, żeby otworzyć, poprawiła po drodze włosy. Zdażyła jeszcze sprawdzić swój wygląd w lustrze na ścianie holu i uznała, że jest w miarę przyzwoity. Z wyczekującym uśmiechem otworzyła na oścież drzwi.

Ale gdy ujrzała, kto stoi w progu, zastygła w miejscu. W oczach jej pociemniało. Z wrażenia oparła się D futrynę.

- Co ty tu robisz?
- Czyżbym cię znowu przestraszył?
- Czy... już... wyszedłeś?
- Owszem.
- Kiedy?
- Dzisiaj. Jestem już wolnym człowiekiem.
- Moje gratulacje.
- Dziękuję.

Cała ta konwersacja była komiczna, Aislinn jednak pochlebiała sobie, że mimo zdumienia spisuje się całkiem nieźle. Mimo wszystko nie zemdłała na widok Lucasa, choć dłonie, którymi kurczowo trzymała się drzwi, były mokre od potu. W gardle jej zaschło, ale przecież nie zaniemówiła zupełnie. Gdyby słońce nagle zaczęło wschodzić na zachodzie, nie byłaby bardziej zdziwiona.

- Mogę wejść?
- Odruchowo zasłoniła się ręką.
- Nie... Nie, to nie jest dobry pomysł.

Boże! -pomyślała. Lucas Greywolf u mnie w mieszkaniu? Nie.

Wlepił na moment wzrok w czubki butów, po czym podniósł na nią swoje szare oczy.

- To bardzo ważne. Inaczej nie robiłbym ci kłopotu.

- **Ja...**

- Tylko na minutę. Proszę...

Jej rozbiegane oczy omijały jego twarz, gdyż wiedziała, że wyczyta w niej niezłomni! determinację. Co prawda w jego głosie pobrzmiwała nutka pokory, za którą kryła się jednak wrodzona indiańska nieustępliwość.

Wreszcie skinęła głową i odstąpiła na bok. Lucas wszedł, a kiedy zamknęła za nim drzwi, odniosła wrażenie, że hol nagle się skurczył. Jest z Lucasem pod jednym dachem nie więcej niż kilkanaście sekund, a już zaczyna jej brakować powietrza.

- Może się czegoś napijesz? - spytała zdławionym głosem. Powiedz nie. Powiedz nie, modliła się w duchu.

- Tak, chętnie. Nigdzie po drodze się nie zatrzymałem.

Ledwo doszła do kuchni. Dlaczego najpierw przyjechał do niej? Trzęsącymi się rękami wyjęła z szafki szklankę.

- Coś zimnego? - spytała.

- Świetnie.

Sięgnęła do lodówki po puszkę z wodą sodową i otworzyła ją. Płyn wytrysnął jak gejzer. Chwyciła ściereczkę, wycierając niezdarnie dłonie i wierzch puszki. Zesztywniałymi nagle palcami wydobyla z zamrażalnika kostki lodu i wrzuciła je do szklanki. Do-

piero po zalaniu ich wodą odwróciła się i zobaczyła zdziwiona, że Lucas wciąż stoi.

- Przepraszam. Proszę, usiądź-powiedziała.

Wysunął sobie jedno z krzeseł spod stołu i usiadł, dziękując za wodę. Powiódł wzrokiem po kuchni, dostrzegł komplet noży i zwrócił ku niej z wolną głową.

- Wiesz, tak naprawdę, to nie użyłbym wtedy noża.

- Wiem - usiadła naprzeciw niego czując, jak miękną jej nogi. - To znaczy, wiem to teraz. Wtedy bałam się śmiertelnie.

- Zachowałeś się bardzo odważnie.

- Naprawdę?

- Tak myślałem. Ale byłaś moją pierwszą zakładniczką.

- A ty moim pierwszym porywaczem.

Powinni się teraz uśmiechnąć. Ale żadne z nich się na to nie zdobyło.

- Odrośły ci włosy?

- Co takiego?

- No, włosy. Pamiętasz, że obciąłem ci jeden kosmyk?

- Och, tak - odparła z roztargnieniem. Odruchowo sięgnęła do głowy. - To gdzieś tutaj. Już prawie nic nie znać.

- To dobrze.

Upił łyk wody. Aislinn wcisnęła dłonie między ko-

lana. Napięcie zatykało jej oddech, wyobrażała sobie, że tak właśnie czuje się człowiek tuż przed zawałem.

Nie była pewna, jak długo będzie w sianie znieść rosnący niepokój. Uznając, że nawet kulawa konwersacja będzie lepsza od ciszy, spytała:

- Byłeś już w domu? Widziałeś matkę?

Potrząsnął głową.

- Mówiłem ci, że najpierw przyjechałem do ciebie.

Nie zobaczył się nawet z matką przed przyjazdem tutaj? Bez paniki, Aislinn.

- Jak się tu dostałeś?

- W zeszłym tygodniu mama i Gene odwiedzili mnie w więzieniu. Zostawili mi pick-upa.

- Ach, tak. - Przesuwała dłońmi tam i z powrotem po udach, wycierając pot w dzinsy. Ręce miała zimne, a stopy odrętwiałe.

- Po co przyszedłeś?

- Zęby ci podziękować.

Spojrzała na niego zaskoczona. Jego przenikliwy wzrok przyprawił ją o skurcz w żołądku.

- Podziękować?

- Dlaczego nie złożyłaś na mnie skargi?

Odetchnęła z ulgą. Jeżeli tylko w tym celu przyszedł, to pół biedy.

- Szeryf i ci inni policjanci z początku w ogóle nic o mnie nie wiedzieli. Zabrano cię, zanim zauważyli, że schodzę na dół.

Ich oczy spotkały się przelotnie na wspomnienie tego, co owego poranka zaszło między nimi na wzgórzu.

- Dopiero potem - ciągnęła pośpiesznie - zaczęli mnie przesłuchiwać. Pytali, kim jestem i co tam robię. - Zacerwieniła się przypomniawszy sobie, jak głupio się wtedy czuła w obawie, że policjanci odgadną, co robiła przed chwilą z Greywolfem. Miała przecież potargane włosy, spuchnięte od pocałunków wargi, nabrzmięte piersi...

- Co im powiedziałaś?

- Skłamałam. Zeznałam, że spotkałam cię na drodze i zgodziłam się zawieźć cię do ciężko chorego dziadka, bo mi było ciebie żal. Udałam, że nie wiem, że uciekłeś z więzienia.

- Uwierzyli ci?

- Chyba tak.

- Mogłaś powiedzieć coś innego.

- Ale nie zrobiłam tego.

- Mogłaś mnie oskarżyć o mnóstwo rzeczy, Aislinn. - Dźwięk jej imienia spłoszył ich oboje. Na moment spojrzenia ich się spotkały, lecz zaraz umknęły na boki. - Czemu nie powiedziałaś im prawdy?

- Co by mi to dało? - spytała, wstała z krzesła i zaczęła chodzić nerwowo po kuchni. - Byłam już bezpieczna. A ty i tak wracałeś do więzienia.

- Ale przecież byłaś... skaleczona.

Użyte przez niego określenie było oczywistym eufemizmem. Oboje dobrze wiedzieli, że mogła go oskarżyć o gwałt, co prawdopodobnie skończyłoby się wyrokiem skazującym. Przeważałoby słowo Aislinn, bo któż by uwierzył jemu?

- To skaleczenie było powierzchowne. Poza tym nie byłeś temu winny. - Naturalnie nie chodziło mu o „to skaleczenie”, ale zgodnie przes/U nad tym do porządku dziennego. - Myślę, że władze więzienne popełniły błąd, nie pozwalając ci zobaczyć się z dziadkiem. Według mnie miałeś powody, żeby uciec. Nikomu nie stała się krzywda. Naprawdę.

- A twoje zniknięcie? Nikt cię nie szukał?

- Nie - odparła, mimo że odpowiedź ta zraniła jej dumę. Wróciła do domu natychmiast po przesłuchaniu. Przy aresztowaniu Greywolfa nie było żadnych dziennikarzy, więc nikt się nie dowiedział, że była wmieszana w tę sprawę.

- A ludzie z twojego studia?

- Jacy ludzie?

- Mówiłaś przecież, że będą się niepokoić.

- Oczywiście, że tak ci wtedy mówiłam.

- Ach, to tak - potrząsnął smutno głową. - A więc nie było nikogo.

- Wtedy nie. Teraz zatrudniam dwie osoby.

- Bądź spokojna - odsłonił zęby w lekkim uśmiechu. - Tym razem nie będę ci groził nożem,

Odwzajemniła mu uśmiech, uderzona jego urodą. Teraz, kiedy minął szok wywołany jego wizytą, mogła mu się uważniej przyjrzeć. Włosy miał z przodu nieco krótsze, ale z tyłu spadały mu nisko na kark. Pobyt w więzieniu nie zaszkodził jego śniadej cerze. Gdyby go spytała, czemu to zawdzięcza, powiedziałyby, że codziennie okrążał biegiem dziedziniec więzienny, póki nie pokonał wyznaczonego sobie dystansu. Zachował w ten sposób doskonałą kondycję.

Z prawego ucha zwiisał mu nadal srebrny kolczyk. Miał także wciąż swój krzyżyk. Widać go było w rozchyleniu koszuli, która wyglądała na nową. Dżinsy zresztą też. Pewnie matka i Gene przynieśli mu je przed zwolnieniem. Ale nosił te same kowbojskie buty i ten sam nabijany turkusikami pas.

- No cóż - odezwał się wstając. - Obiecałem, że nie zabawię długo. Po prostu chciałem ci podziękować, że mnie nie pogrążyłaś jeszcze bardziej.

- Nie miałeś powodu do obaw.

- Zacząłem pisać do ciebie list, ale zdecydowałem, że lepiej będzie, jak podziękuję ci osobiście.

Dobry Boże, ile nerwów by jej zaoszczędził, powierając swą wdzięczność poczie!

- Cieszę się, że wyszedłeś.

- Nie lubię być czyimkolwiek dłużnikiem, ale...

- Nie jesteś moim dłużnikiem. Zrobiłam to, co uważałam za słuszne. Tak samo jak ty.

- Mimo to dzięki.
- Nie ma za co - odpowiedziała z nadzieją, że to nareszcie koniec, i odprowadziła go przez salonik do holu.

Lęka! się tego spotkania, bo nie był pewny jej reakcji. Mogła przecież z krzykiem rzucić się do ucieczki. Byłoby to całkiem zrozumiałe.

Tamtego wieczoru, kiedy włamał się do niej, by się pożywić i schronić, kierowała nim desperacja. A zdesperowani ludzie często popełniają głupstwa, których normalnie by się nie dopuścili. Takim głupstwem było potraktowanie tej białej, Bogu ducha winnej dziewczyny jako zakładniczki. Wciąż nie pojmował, dlaczego nie odpłaciła mu za to.

Dziwne, że teraz, kiedy już spełnił swoją dzielną misję, nie miał ochoty wychodzić. Myślał przedtem, że gdy tylko powie, co miał do powiedzenia, wyjdzie i raz na zawsze wykreśli Aistinn ze swego życia.

Musiał - z wielką niechęcią - przyznać, że myślał o niej podczas pobytu w więzieniu. Minęło już wiele miesięcy od czasu, gdy mu się oddała, tam na wzgórze. Wciąż trudno mu było uwierzyć, że się to rzeczywiście zdarzyło. Przed ucieczką miał wprawdzie chęć na kobietę, ale wszystko jedno jaką. Jednak później jego pożądanie miało już twarz, imię, barwę głosu, zapach. Zapach Aislinn. Przez wiele samotnych nocy

na więziennej pryczy przekonywał sam siebie, że ona nie istnieje, że wszystko jest wytworem jego wyobraźni.

Ale jego ciało było odmiennego zdania. Zwłaszcza teraz, gdy kątem oka popatrywał na jej ciasno opięte dżinsami uda i biodra. Była niższa, niż mu się przedtem zdawało, ale to chyba dlatego, że miała na sobie tylko sandały. Nosiła starą koszulę, trochę przyciśniętą. Owszem, kiedy siedział w kuchni popijając wodę, nachodziła go myśl o wzięciu w usta jej piersi. Nie uszło jego uwagi, jak obficie wypełniały przód tej znoszonej koszuli.

Idąc za nią do wyjścia, patrzył jak zahipnotyzowany na jej włosy, związane w koński ogon. Czy były tak samo miękkie, jak je zapamiętał? Czy naprawdę zanurzał swoje indiańskie dłonie w tych bujnych, złocistych włosach, które tak prowokacyjnie określały jej rasę? Czy te usta, na których błąkał się teraz zdawkowy uśmiech, pamiętają jego pocałunki? Bo Lucas Greywolf pamiętał.

- Wszystkiego najlepszego - wyciągnęła do niego rękę. - Mam nadzieję, że wszystko dobrze ci się ułoży.

- Dzięki - ujął jej dłoń i przytrzymał. Spojrzeli sobie w oczy.

I wtedy rozległ się ten dźwięk.

Dochodził gdzieś z głębi mieszkania. Był tak niezwykły, że Lucas w pierwszej chwili sądził, że słuch

piata mu 1 igie. Po chwili jednak dźwięk powtórzył się. Lucas zmarszczył czoło i popatrzył w tamtą stronę.

-- To brzmi jak...

Aislinn wyrwała rękę z jego dłoni. Rozejrzał się zdziwiony. W chwili, gdy rzucił okiem na jej twarz, zorientował się, że słuch go nie myli. Aislinn pobladła jak ściana, zmieszana jak winowajca złapany na gorącym uczynku. Lucas znieruchomiał i zmierzył ją wzrokiem ostrym jak brzytwa.

- Co to takiego?

- Nic.

Odsunął ją na bok i ruszył w kierunku salonu.

- Dokąd idziesz!? - krzyknęła rzucając się za nim.

- Zgadnij.

- Nie! - Schwyciła go za koszulę i wczepiła w nią dłoń z zjadłością buldoga. - Nie wolno ci tak sobie wpaść tu i...

Odrzucił się i oderwał jej ręce od koszuli.

- Już raz to zrobiłem.

- Nie możesz,

- Mogę. Nie zatrzymasz mnie.

Musiał znaleźć źródło tego dźwięku. Aislinn szła za nim, szlochając i usiłując go bezskutecznie powstrzymać. Opędzał się od niej jak od uprzykrzonej muchy.

Zajrzał do sypialni. Nic się tu nie zmieniło. Czyściutka, pachnąca kobietą. Poszedł dalej, ku drzwiom w głębi korytarza. Bez chwili wahania otworzył je.

Nawet on, człowiek, w którego żyłach płynęła krew Apaczów, stanął jak wmurowany.

Trzy ściany pokoju pomalowane były na kremowo, a czwarta pokryta tapetą zadrukowaną ilustracjami z bajek. W kącie stał fotel na biegunach, wyłożony grubymi poduszkami. Na niskiej komódce leżał pikowany materacyk, a tuż przy nim słoiki pełne wacików i tubki 7 kremami. Białe okiennice były zamknięte ze względu na popołudniowe słońce, ale przez poziome szpary wpadało dosyć światła, aby uczynić widocznym ustawione pod oknem dziecięce łóżeczko.

Lucas przymknął powieki, myśląc, że to dziwaczny sen, z którego zaraz ocknie się z głośnym śmiechem. Ale gdy otworzył oczy, ujrzał ten sam obraz. I usłyszał ten sam nieomylny dźwięk.

Podszedł bliżej, nie wiedząc czemu starając się robić jak najmniej hałasu, i zatrzymał się przy mięciutko wyścielonym łóżeczku. Z kącika uśmiechał się do niego pluszowy niedźwiadek. Cała pościel była żółta, zharmonizowana z kolorystyką pokoju. Żółty był także puszysty kocyk.

Pod kocykiem - wierząc się, płacząc i zaciskając niespokojnie piąstki - leżało niemowlę.

Jak nakazuje honor

7

Dziecko zanosilo się płaczem, nieświadome wstrząsającego wrażenia, jakie wywarło na stojącym przy łóżeczku mężczyźnie. Beznamiętną zazwyczaj twarzą Grey wolfa targały żywe emocje.

Aislinn przystanęła tuż za nim i przycisnęła dłoń do ust walcząc z uczuciami, które oscylowały między niepokojem a przeraźliwym lękiem.

W pierwszym odruchu chciała mu powiedzieć, że to dziecko znajomych lub krewnych, powierzone jej opiece, ale nie miałyby to sensu. Jeden rzut oka wystarczył, by stwierdzić, że ojcem dziecka jest nie kto inny niż Lucas Greywolf.

Zaokrągloną foremnie główkę, nie zniekształconą podczas porodu, pokrywały czarne jak węgiel włoski. Wykrój brwi, zarys bródki, wysklepienie policzków - wszystko to były miniaturowe repliki rysów Lucasa.

Aislinn z narastającym lękiem obserwowała, jak

Lucas wyciąga palec i dotyka policzka dziecka. Ale w oczach Lucasa matowała się jedynie bojaźliwa ostrożność. Wargi lekko mu drżały. Aislinn zrozumiała, że są to oznaki serdecznego wzruszenia. Ona także zmieniała się w podobny sposób za każdym razem, gdy brała dziecko na ręce. Przepętniająca ją miłość uzewnętrzniła się zawsze na jej twarzy. Drżała na myśl, że Lucas przeżywa teraz identyczne wzruszenie.

Drgnęła, gdy raptownym ruchem odkrył dziecko i zaczął odrywać przylepce przytrzymujące jednorazową pieluszkę. Odezwa! się w niej naturalny u każdej matki instynkt obronny. Chwyliła Lucasa za ramię, ale odepchnął ją lekceważąco i odsłonił pieluszkę.

- Syn.

Ochryply ton jego głosu zadźwięczał jej w uszach jak wyrok śmierci. Owładnęła nią panika. Miała ochotę zakryć sobie uszy i wrzeszczeć wniebogłose. Zanosila błagalne modły, aby wszystko okazało się złudzeniem.

Była to jednak rzeczywistość. Jedyne, co Aislinn mogła zrobić, to patrzeć z niemą rozpaczą, jak Lucas wsuwa dłonie pod małego, wyjmując go z łóżeczka i bierze na ręce. W momencie, gdy przytulił dziecko do piersi, przestało płakać.

Ten natychmiastowy kontakt zburzył jeszcze bardziej jej spokój. Wolałaby, żeby maleństwo zaczęło krzyczeć. Tymczasem kwiliło tylko słodko, przyciśnięte do ramienia ojca.

Nie wypuszczając dziecka z objęć, Lucas podszedł do bujanego fotela, usiadł i podwinawszy długie nogi, zaczął się niezdarnie kołysać, W normalnych okolicznościach AisSinn mogłoby się to wydać zabawne, teraz jednak zeszytniała. Jej najkoszmarniejsze sny zaczynały przybierać realny kształt.

Gdyby nie widmo groźnych komplikacji, tkliwość, jaką Lucas okazywał dziecku, poruszyłaby Aislinn do głębi. Widok tych dużych męskich dłoni, piastujących niemowlę z tak delikatną ciekawością, był zaiste rozrzewniający. Musiałaby mieć serce z kamienia, żeby nie wzruszyć się do łez tą spontaniczną adoracją okazaną przez ojca swojemu dziecku.

A Lucas poddawał w dalszym ciągu syna czulej inspekcji. Obracał go to w tę, to w tamtą stronę, przekreślił na brzuszku i podtrzymując go od dołu jedną dłonią, drugą gładził po plecach i maleńkich pośladkach. Po kolei dotykał każdego paluszka u stóp, każdego paznokietka, przyjrzał się dokładnie całej twarzy,

Ułożył sobie wreszcie małego spokojnie na kolanach i skierował wzrok na Aislinn.

- Jak ma na imię? - spytał.

Chciała mu powiedzieć, że to nie jego sprawa, lecz skapitulowała.

- Anthony Joseph - odparła i dostrzegłszy jego żywą reakcję na drugie z wymienionych imion, dorzuci-

ła pospiesznie: - Mój dziadek też nazywał się Joseph. A na dziecko mówię Tony.

Lucas popatrzył na niemowlę, które machało z irytacją rączkami.

- Kiedy się urodził?

Zawahała się. Korciło ją, żeby podać fałszywą datę, co by mogło podważyć ojcostwo Lucasa, ale pod wpływem jego przenikliwego spojrzenia wyznała prawdę.

- Siódmego maja.

- Nie miałas zamiaru nigdy mi powiedzieć, prawda?

- Nie było powodu.

- To mój syn.

- Ale nie ma z tobą nic wspólnego.

- Od dzisiaj będzie już miał - parsknął krótkim śmiechem.

Teraz już Tony rozpłakał się na dobre. Widocznie ciekawość, jaką wzbudził w nim nie słyszany dotąd, gruby głos, minęła, wyparta przez uczucie głodu. Lucas położył sobie dziecko wyżej, koło pachy, a ono natychmiast jęło po omacku szukać buzią piersi. Z ust Lucasa wydobył się miękki chichot i był to dźwięk, którego Aislinn najmniej się w tej chwili spodziewała,

- Tego jednego nie mogę dla ciebie zrobić, Anthony Josephie - powiedział. Wstał z bujaka i wręczył małego matce. - Jesteś mu teraz potrzebna - stwierdził.

Aislinn wzięta dziecko, utożyła je z powrotem w łóżeczku i zaczęła pośpiesznie zakładać zdjętą przez Lucasa pieluszkę. Pod jego bacznym wzrokiem szło jej to opornie, w dodatku Tony wywijał wszystkimi kończynami. Kiedy skończyła, siadła z nim w bujaku i kołyszac się poklepywała go uspokajająco w takt kołysanki. Mimo to Tony nadal płakał.

- On jest głodny - odezwał się Lucas.
- Wiem - burknęła gniewnie, urażona posądzeniem, że mogłaby nie wiedzieć, czego domaga się jej dziecko.

- No więc? Nakarm go.

Spojrzała na niego zasłonięta Tonym niby tarczą.

- Czy mogłabym cię przeprosić?
- Chodzi ci o to, żebyśmy wyszedł z pokoju?
- Tak.
- Nie wyjdę.

Starli się spojrzeniami. Niespodziewanie to Lucas był tym, który skapitulował. Odwrócił się i zaczął wyglądać przez okno, uchyliwszy okiennice. Dla Aislinn był to znak, że ten twardy mężczyzna ma wreszcie słaby punkt - swojego syna. Połączył ich już nierozwalny węzeł, choć jeszcze kilkanaście minut temu Lucas nie miał pojęcia, że jest ojcem. Bodajby się o tym nigdy nie dowiedział! Jej życie może się przez to zmienić w piekło.

- Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

Ignorując pytanie Lucasa, rozpięła bluzkę. Tony chciwie dorwał się jej do piersi i zaczął ssać. Aislinn utworzyła nad jego główką zasłonę z przerzuconego przez ramię flanelowego kocyka.

- Zadałem ci pytanie - zadzwieczał władczo głos Lucasa.

- Tony jest moim dzieckiem.
- Moim także.
- Nie bądź tego taki pewny.

Odwrócił gwałtownie głowę. Gdyby nie spuściła oczu wskutek zawstydzenia, musiałaby to uczynić pod ciężarem jego wzroku.

- Jestem pewny - oświadczył z takim przekonaniem, że dalszy spór na ten temat był bezskuteczny. Co z tego, gdyby wygrała z nim bitwę na słowa? Stan faktyczny pozostałby ten sam. Tony był jego synem.

- Tony to rezultat biologicznego... przypadku - zdecydowała się na mate ustępstwo.

- To dlaczego się go po prostu nie pozbyłaś?

Przebiegi ją dreszcz. „Dlaczego się go po prostu nie pozbędziesz?” - pytała gniewnie jej matka, gdy Aislinn poinformowała ją o swym stanie. Celowo wyznała rodzicom prawdę dopiero wtedy, gdy było za późno na usunięcie ciąży. Wiedziała, jak jej poradzą rozwiązać „ten problem”.

Dlaczego właściwie nie zdecydowała się na zabieg? Podejrzewała, że jest w ciąży, jeszcze zanim poszła do

lekarza. Przemawiały za tym poranne ataki nudności, wzmożony apetyt i objawy niestrawności. Nigdy przedtem się jej to nie zdarzało.

W gruncie rzeczy nie cieszyła jej szczególnie myśl, że mogłaby zostać matką. Aż tak daleko się nie posuwała. Ale kiedy się dowiedziała, że wyniki analiz są pozytywne, nie była ani zdziwiona, ani zaszokowana. Właściwie jej pierwszą reakcją był przypływ niezmierniej radości.

Dopiero trochę później, gdy ochłoneła, zaczęła się poważnie zastanawiać nad ujemnymi konsekwencjami samotnego wychowywania dziecka. Zdawała sobie z nich w pełni sprawę, lecz nigdy nie rozważała możliwości usunięcia ciąży.

Od momentu, w którym się dowiedziała, że będzie mieć dziecko, pokochała je bezgranicznie. Jej życie raptem nabrało znaczenia, miała przed sobą cel. Przyszłość zyskała sens, na horyzoncie pojawiły się zadania, z których musiała się wywiązać.

Toteż mogła sobie teraz pozwolić na to, by dać Lucasowi odpowiedź bez wahań i zastrzeżeń.

- Rozpaczliwie chciałam tego dziecka.

Pod osłoną kocyka pogłaskała lekko po główce ssące ją łapczywie niemowlę.

- Pokochałam je od samego początku.

- Nie przyszło ci do głowy, że miałem prawo o nim wiedzieć?

- Nie sądziłam, że cię to może obchodzić.

- No to dowiedz się, że obchodzi.

- Co... co zamierzasz? - spytała niepewnie, przeklinając w duchu drzenie swego głosu.

- Zamierzam być jego ojcem.

Tony pacnął ją niecierpliwie piastką w pierś, co ją zmusiło do oderwania wzroku od surowo wlepionych w nią oczu Lucasa.

- Muszę go przełożyć na drugą stronę - powiedziała głucho.

Spojrzał dyskretnie w bok, nie na tyle szybko jednak, by uwagi Aislinn umknął cień podniecenia na jego twarzy.

Podąła dziecku drugą pierś, a kiedy już zaczęło ssać, odezwała się:

- O nic pana nie proszę, panie Greywolf. Nośłam go w sobie przez dziewięć miesięcy. Przez cały ten czas i potem, gdy go urodziłam, nie pomagał mi ani pan, ani nikt inny. Finansowo stać mnie na...

Znalazł się przy niej tak szybko, że umilkła przestraszona, że ją uderzy.

- Czy uważasz, że książeczka czekowa wszystko załatwi?

- Tego nie myślałam - odparła. - Kocham go.

- Ja też! - ryknął tak głośno, że Tony na kilka sekund znieruchomiał.

- Uspokój się! Wystraszyłeś dziecko.

Lucas zniżył głos, ale ciągnął z tą samą pasją:

- Jeśli sądzisz, że zrezygnuję ze swojego syna i pozwolę, żeby się wychowywał w twoim sterylnym jankeskim świecie, to grubo się mylisz.

Odruchowo mocniej przygarnęła dziecko do siebie.

- Co to ma znaczyć?

- To znaczy, że jutro zabieram go ze sobą do rezerwatu.

Aislinn zbladła jak kreda. Cała jej twarz straciła wszelką barwę z wyjątkiem ciemnoniebieskich oczu, które zrobiły się wielkie jak spodki i patrzyły nieruchomo na człowieka, który znowu okazał się jej wrogiem.

- Nie możesz go zabrać.

- Mogę. I zrobię to.

- Nie!

- Nic mnie nie powstrzyma.

- Każę cię ścigać jak kryminalistę, którym i tak jesteś - zagroziła.

Skrzywił wargi w cynicznym uśmiešku.

- Jeżeli tylko będę chciał, nikt mnie nie znajdzie, panno Andrews, a jeśli nawet, to wydam ci walkę, która, gdy zajdzie potrzeba, skończy się dopiero w Sądzie Najwyższym odebraniem ci syna. Znam sposoby. Zapomniałaś, że jestem prawnikiem.

Pogróżki Lucasa zmroziły jej krew w żyłach. Za-

nim dotarł do niej sens ostatniego zdania, Lucas przemierzył pokój i przykucnął przed nią, zdejmując jej kocyk z ramienia.

Tony opierał tłusty policzek o piers' Aislinn. Maleńkie usteczka, na których perliły się krople mleka, trzymał tuż przy brodawce. Spał słodko, zaspokojony jak cesarz po trzydniowych bachanaliach.

Lucas pogłodził go po buzi. Dotknął koniuszkiem palca jego ust. A potem pochylił się i pocałował go w czubek głowy.

Aislinn siedziała jak sparaliżowana. Oszołomienie udaremniało jej najmniejszy ruch. Niemał przestała oddychać. Lucas wyjął jej z rąk dziecko i zaniósł do łóżeczka. Tony czknął, co jego ojciec skwitował znów swoim dziwacznym chichotem.

Z niemałym wysiłkiem Aislinn otrząsnęła się z osłupienia. Bliskość Lucasa działała na nią obezwładniająco. Drętwiała, czując jego oddech na skórze. Pośpiesznie zapięła bluzkę. Zachwiała się, wstając z bujaka.

- Teraz będzie spał - odezwała się, podeszła do łóżeczka i przewróciła małego na brzusek.

- Śpi na brzuchu?

- Tak.

Tony podciągnął nóżki i wypiął pupę. Poruszył jeszcze bezwiednie kilka razy ustami, jakby ssał, po czym zapadł w głęboki sen.

- Zdaje się, że jest zadowolony.
- Na razie tak - powiedziała i nakryła go kocym.

- Ale janie.

Spojrzała na Lucasa i przelekła się, widząc zacięty wyraz jego twarzy.

- Chyba nie będziesz naprawdę próbował mi go zabrać, co? - spytała niemal błagalnie.

Trudno jej było uwierzyć, że ojciec, choćby z pomocą kruczków prawnych, zdoła odebrać dziecko kochającej matce, która ma środki na jego utrzymanie. Ale tak czy owak, Tony stanie się przedmiotem sporu prawnego. Kto wie, czy nie zostanie tymczasowo poddany opiece państwa i umieszczony w domu dziecka, zanim sprawa się rozstrzygnie. A to może trwać lata.

- Pomyśl o Tonym-dodała.

- Właśnie o nim myślę - odparł, ujmując ją za ramiona. - Czy sądzisz, że twoja społeczność go zaakceptuje? Nigdy - dorzucił, nie dając jej czasu na odpowiedź. Czuła ciepły nacisk jego dłoni na barkach. Przypomniały jej się tamte chwile, kiedy ją dotykał i szczerze żałowała, że do tego doszło. - Wierz mi, wiem, co mówię. W pojęciu białych ludzi pół-Indianin to cały Indianin. A mając w żyłach połowę janke-skiej krwi, będzie również odrzucony przez Indian. Nie będą go chcieli ani tu, ani tam.

- Dopilnuję, żeby tak się nie stało.

Wydał usta w uśmiechu, z politowaniem i drwiąco zarazem.

- Jesteś naiwna i sama siebie oszukujesz myśląc, że ci się to uda. Na litość boską, wiem dobrze, co to znaczy nie należeć w pełni do żadnej rasy. Przez całe życie tkwiłem w tej dwuznaczności. I uchronię przed nią mojego syna.

- W jaki sposób chcesz temu zaradzić? Umieszczając go w jakimś zakamarku rezerwatu, gdzie nie będzie miał styczności z ludźmi?

- Tak, jeśli nie ma innego wyjścia - odrzekł pośpiesznie,

Obrzuciła go nie dowierającym spojrzeniem.

- I uważasz, że tak będzie uczciwie?

- Okoliczności, w których doszło do jego urodzin, też nie były uczciwe. Życie nie jest uczciwe. I dawno straciłem nadzieję, że kiedykolwiek będzie.

- Tak, teraz obnosisz się przed światem ze swoją goryczą - powiedziała gniewnie, strącając jego dłoń ze swych ramion. - Nie pozwolę, żeby Tony wzrastał w atmosferze nienawiści i stał się jej niewolnikiem, tak jak ty. A jak myślisz, kogo ostatecznie będzie za to obwiniał? Ciebie! Nie podziękuję ci, żeś go odizolował od świata.

Najwidoczniej dostrzegł jakąś rację w tym argumentie, gdyż zawahał się, zastanawiając się nad odpowiedzią. Ale nie zamierzał dać za wygraną.

- Czy chciałabyś mu wmówić, że jego indiańskie rysy to czysty przypadek? Czy pragniesz zataić przed nim całkowicie moje istnienie?

- Nie... Nie wybiegałam myślą aż tak daleko w przyszłość.

- No, to dobrze się nad tym zastanów, moja damo. Bo pewnego dnia twój syn zapyta o swojego ojca. Tak jak kiedyś ja.

Zapadła głucha cisza, którą przerwała Aislinn:

- I czego się dowiedziałeś?

Lustrował ją spojrzeniem tak długim, jakby nie miał ochoty odpowiadać na jej pytanie. Potem zajął znów swój posturek przy oknie, niemal je przesłaniając szerokimi ramionami, i wlepiwszy pusty wzrok w widniejące na horyzoncie góry, zaczął mówić:

- Moim ojcem był żołnierz stacjonujący w Forcie Huachuca. Mama po skończeniu szkoły w rezerwacie przyjechała do Tucson, gdzie zamieszkała u przyjaciół Josepha. Dostała też pracę. Była kelnerką w restauracji kolejowej.

- I tam spotkała twojego ojca?

- Tak. Miała wtedy szesnaście lat. Zalecał się do niej i prosił, żeby się z nim umówiła po pracy. Odmówiła, ale on stale nachodził ją w tej restauracji. Podobno był bardzo przystojny, śmiały i sympatyczny.

Urwał i wsunął dłonie w tylne kieszenie obcisłych dżinsów. Aislinn pomyślała, że jeśli Lucas jest podob-

ny do ojca, że jeśli po nim odziedziczył tę smukłą sylwetkę, to nic dziwnego, że Alice Greywoif dała sobie zawrócić w głowie.

- Po jakimś czasie zdołał namówić moją matkę na spotkanie. Mówiąc bez ogródek, uwiódł ją. Nie wiem, na której z kolei randce mu się to udało. Mama oczywiście nie wtajemniczyła mnie w szczegóły. W kilka tygodni po tym, jak się poznali, gdzieś go przeniesiono. Nie powiedział jej nawet do widzenia. Kiedy zebrała się na odwagę i zadzwoniła do bazy, żeby go powiadomić o ciąży, usłyszała, że już wyjechał.

Odwrócił się. Aislinn nigdy nie widziała, by miał tak stężałą twarz. Wiedziała teraz, jaki jest, kiedy czuje się zraniony. To był refleks tej krzywdy, którą głęboko w sobie skrywał.

- Mama nigdy go już więcej nie widziała. Nie odezwał się, a i ona nie próbowała go szukać. Wróciła do rezerwatu okryta hańbą, ciężarna z białym mężczyzną. Urodziła mnie na miesiąc przed swymi siedemnastymi urodzinami. Trudniła się potem wyrobem lalek sprzedawanych turystom jako pamiątki. Było to chałupnicze zajęcie, dzięki czemu mogła jednocześnie opiekować się mną. Dziadek zarabiał sprzedażą koni. Mieszkaliśmy razem w starej przyczepie do czasu, gdy mama poznała Dextera. Zaproponował jej pracę w mieście, co ogromnie poprawiło jej sytuację materialną. Dzięki Bogu ~ dodał cicho. - Jak widzisz, do-

rastalem w petni świadomy, jakim jestem dla matki brzemieniem.

- Ona tak nie myślała - rzekła Aislinn ze ściśniętym gardłem. - Bardzo cię kocha.

- Wiem. Nigdy się nie skarżyła na swój los.

- Wynagradzałaś jej wszystko z nawiązką.

- Nie masz pojęcia, co to znaczy być bękartem półkrwi - syknął z irytacją - więc daruj sobie te banały. I prędzej spotkamy się w piekle, niż pozwolę, żeby mój syn naznaczony został tego rodzaju piętnem. Czy przypuszczasz, że narażę go na to samo, czego doznałem z powodu mojego ojca?

- Ale twój ojciec o niczym nie wiedział. Być może, gdyby...

- Nie bądź śmieszna - przerwał jej ostro. - Dla niego Alice Greywolf, piękna indiańska dziewczyna, to była tylko mila zabawa na trawie. Tyle że bez wątpienia niecodzienna. Nawet gdyby wiedział, że jest w ciąży, zapewne by ją porzucił. W najlepszym razie przewiózłby ją przez granicę do Meksyku na tanią, szybką skrobankę. Nie, nie - potrząsnął zdecydowanie głową. - Biały żołnierz nie obarczyłby się indiańskim dzieciakiem. Ale Bóg świadkiem, że ja nie wyrzeknę się swojego syna. Będzie miał ojca.

Aislinn zrozumiała, że w żaden sposób nie uda jej się pozbyć Lucasa.

Mówił poważnie. Chciał mieć syna i być dla niego

ojcem. Znaczyło lo, że może uczynić z jej życia gehennę.

A już myślała, że nigdy więcej go nie zobaczy. Wyobrażała sobie, że ich zbliżenie wtedy na wzgórzu było dla niego tym, czym - wedle jego dzisiejszych słów - mogła być dla jego ojca znajomość z Alice. Zabawą na trawie. Miłą zabawą na trawie. Ku jej zdziwieniu, było inaczej. A jeśli nawet z początku Lucas tak to widział, to zmienił zdanie, kiedy zobaczył dziecko. Mówiąc wprost, sekret się wydał. Sytuacja była zła i Aislinn musiała zrobić wszystko, by znaleźć z niej możliwie najlepsze wyjście.

- Co proponujesz, Lucas? Zebys'my podzielili się życiem dziecka? Czy to nie doprowadzi do jeszcze gorszych komplikacji? Miną lata, zanim Tony zrozumie, o co chodzi. Pół roku z tobą, pół roku ze mną? - Już samo wyrażenie takiej ewentualności sprawiło jej ból. - Cóż to będzie za życie dla chłopca?

- Taki układ nie wchodzi w rachubę.

- Ajaki wchodzi?

- Pobierzemy się. Zamieszkacie oboje ze mną.

To nie była propozycja. Ani nawet wariant do dyskusji. To był dekret.

Kiedy dotarło do niej w końcu znaczenie tych słów, przyłożyła sobie rękę do piersi i zaniosła się cichym śmiechem.

- Nie mówisz chyba serio - powiedziała, choć je-

go zakrzepie rysy i nieruchome oczy świadczyły, że jest inaczej. - Oszalałeś? To niemożliwe.

- To nieodzowne. Moje dziecko nie będzie wyzywane od bękartów.

- Nie używaj tego słowa.

- Paskudne, prawda? Więc sprawię, że Tony nigdy go nie usłyszy.

- Ale my nie możemy się pobrać.

- Ja też nie brałem tego pod uwagę - odrzekł chmurnie. - Ale mimo wszystko zrobimy to, po załatwieniu wstępnych formalności. Przyjadę jutro.

Nachylił się nad Tonym, poklepał go po tyłeczku i uśmiechnął się czule, mrużąc coś po indiańsku. A potem, jak gdyby nic więcej nie pozostało do załatwienia, opuścił pokój.

Aislinn pobiegła za nim i chwyciła za rękaw w chwili, gdy kładł dłoń na gałce wyjściowych drzwi.

- Nie mogę wyjść za ciebie.

- Jesteś już mężatką?

Oniemiała na moment.

- Nie. Oczywiście, że nie.

- Zatem nie ma przeszkód.

- Jest jedna. Ja tego nie chcę.

- Ja też nie - powiedział przez zęby i nachylił głowę tuż do jej twarzy dla mocniejszego zaznaczenia tych słów. - Ale dla dobra naszego syna musimy przejść nad tym do porządku dziennego. Jeśli ja mogę

pogodzić się z wzięciem za żonę białej kobiety, ty - psiakrew! - też będziesz mogła ścierpieć indiańskiego męża.

- Och, na miłość boską, Lucas! - zawołała z gniewem. - To, że ty jesteś Indianinem, a ja jestem biała, nie ma tu nic do rzeczy. Czy nie zastanawiałeś się nad czymś poza tym?

- Raczej nie.

- No, to rusz głową. Czy nie zdaje ci się, że, zważywszy na okoliczności, w jakich się poznaliśmy, nasze małżeństwo byłoby trochę absurdalne?

- Masz na myśli to, że porwanie trudno zakwalifikować jako przedmażeńskie zaloty?

- Otóż to.

- Czego ty chcesz? Mam cię błagać na kolanach? Zmierzyła go druzgocącym spojrzeniem.

- Chcę tylko podkreślić, że się prawie nie znamy. Spfodziliśmy dziecko, ale... - urwała zaniepokojona swoimi słowami. Nie chciała wracać do zdarzeń z tamtego ranka. Ani też przypominać ich Lucasowi. Trzymając zacis'nictę pięści na biodrach, wpatrywała się w niego agresywnie. Nagle zorientowała się, że wskutek tej wojowniczej postawy bluzka opina się jej zbyttnio na piersiach i opuściła rękę.

- Owszem, spłodziliśmy dziecko - powtórzył cicho. - W tym właśnie sedno, prawda? Tony nie ponosi winy za to, co zaszło między nami i nie będzie, chole-

ra, pokutował z tego powodu do końca życia. Oboje - podkreśli! to siew gestem ręki - daliśmy się ponieść. I teraz, do diabła, nie pozostaje nam nic innego, jak wziąć za to odpowiedzialność.

Podłożył jej palec pod podbródek i podniósł go w górę, żeby musiała spojrzeć mu w oczy.

- Tony będzie miał ojca, czy tego chcesz czy nie. Nigdy go nie zostawię. Możesz być tego pewna. - Cofnął rękę i odstąpił krok do tyłu. - Wrócę jutro - powtórzył z naciskiem. - I bez względu na to, czy zgodzisz się mnie poślubić czy nie, zabiorę ze sobą chłopca.

- Z pomocą noża? - spytała złośliwie.

- Jak będzie trzeba - odparł z błyskiem w oczach.

Uwierzyła mu i ze strachu zaniemówiła. Żadne z nich już się nie odezwało i po chwili Lucas zniknął za drzwiami.

Denerwowała się. Zarzucając sobie, że postępuje jak głuptas, nasłuchiwała z drżeniem każdego dźwięku. Podskoczyła jak oparzona na brzęk dzwonka u drzwi. Okazało się, że to tylko listonosz z katalogiem, który nie mieścił się w skrzynce. Czuła się idiotycznie, ale nie była w stanie wziąć się w karby.

Raz po raz pocieszała się, że być może niepotrzebnie traci nerwy. Istniała przecież możliwość, że Lucas się nie pokaże. Na widok dziecka mógł się w nim

zbudzić instynkt ojcowski, ale gdy przemyśli sobie wszystko, niewykluczone, że zmieni zdanie.

Było to jednak mało prawdopodobne. Lucas - z dziwną łatwością używała w myśli jego imienia - nie należał do ludzi, których emocje gasną jak słomiany ogień. Ani do lekkoduchów nie dotrzymujących obietnic. Prędzej czy później zjawi się. Jak wówczas powinna się zachować?

Musi użyć wszelkiej możliwej perswazji.

Przez całą noc ten dylemat objął się jej w głowie jak kulka po kole ruletki. Lucas Greywolf wdarł się teraz na serio w jej życie i będzie musiała jakoś się z tym uporać.

Pomyślała, że najlepszym rozwiązaniem będzie układ umożliwiający Lucasowi widywanie syna. Chyba zrozumie, że to rozsądny pomysł. Przecież dziecko nie może obyć się bez matki, zwłaszcza przez pierwsze lata. Ponadto była przeświadczona, że on, tak samo jak i ona, w gruncie rzeczy nie pragnie małżeństwa.

Teraz wiodło jej się zupełnie nieźle. W piątym miesiącu ciąży zaangażowała młodą kobietę do pomocy przy wykonywaniu zdjęć. Później, kiedy pochłonięto ją przerabianie wolnej sypialni na pokój dziecięcy, zatrudniła dziewczynę do papierkowej roboty. Obie radziły sobie doskonale i zakład prosperował jak nigdy dotąd.

Od czasu do czasu kontrolowała stan firmy, ale przede wszystkim zajmowała się Tonym. Nie było to uciążliwe. Miał dopiero miesiąc, a już tak się do niego przywiązała, że nie wyobrażała sobie bez niego życia.

Gdyby tylko rodzice zostawili ją w spokoju! Pogodzili się co prawda z tym, że córka ma nieślubne dziecko, lecz energicznie szukali dla niej męża, który - by ją wziął razem z przychówkiem. Uważali, że małżeństwo z jakimś powszechnie szanowanym człowiekiem zmyje haniebną plamę z rodowego nazwiska.

Aislinn nie dała się zwieść tolerancji przejawianej przez owych zalotników, przedstawianych jej zresztą pod żałośnie prymitywnymi pretekstami. Z zadziwiającą wyrozumiałością patrzyli przez palce na jej dziecko z nieprawego łoża. Było jasne, że mają na uwadze jedynie konto jej ojca i liczą na jego hojność. Oczekiwali, że miłosierdzie okazane panience, która zbłądziła, zostanie sownie nagrodzone. Ale nawet upór rodziców dążących za wszelką cenę do unormowania jej egzystencji dałby się łatwiej przełamać niż determinacja Lucasa Greywolfa. Tego Aislinn była pewna.

Kiedy tuż przed południem odezwał się znów dzwonek u drzwi, była przekonana, że to on. Przystawnęła na chwilę ze splecionymi dłońmi, zacisnęła powieki i odetchnęła głęboko. Dzwonek znów brzęknął niecierpliwie, z władcą natarczywością. Ruszyła w stronę drzwi, jakby miała ołów w nogach.

Przyszło jej nagle do głowy, że niepotrzebnie uległa próżności, ubierając się znów „po cywilnemu”. Dotąd chodziła zwykle w ubiorach ciężowych, pozwalających jej odzyskiwać z wolna dawną sylwetkę. Dziś włożyła letnią spódniczkę, stwierdzając z radością, że mieści się w nią bez trudu.

Była to jej ulubiona spódnica, niebieska, do połowy łydki. Dobrała do niej białą bluzkę z haftowanym karczkiem. Rozpinała się cała z przodu, co ułatwiało karmienie dziecka, Świeżo umyte włosy falowały naturalnie. Spadające na bok kosmyki odgarnęła za uszy, w których lśniły małe, złote kolczyki.

Makijaż był chyba jednak posunięciem zbyt śmiałym. Perfumy też. Dlaczego dziś się wypachniła, pierwszy raz po tylu miesiącach? No, ale już teraz nic nie można było na to poradzić, zwłaszcza że dzwonek zadzwieczał po raz trzeci.

Otworzyła drzwi i stanęła oko w oko z Lucasem. Oboje byli nastawieni do siebie zaczepnie. Tymczasem każde z nich odczuło na widok drugiego przyjemny dreszcz.

Aislinn mogła bez końca przyglądać się jego oczom, szarym punktom na tle smagłej cery. Nosił dziś inną koszulę, ale poza tym miał na sobie te same co wczoraj dżinsy oraz buty pamiętające lepsze dni. Z rozpiętej koszuli wyzierał jak zwykle srebrny krzyżyk, a w uchu tkwił nieodłączny kolczyk.

Lucas wszedł i Aislinn zamknęła drzwi. Jego spojrzenie zatrzymało się na jej włosach, po czym przesłiznęło się ku szyi i wypukłościom biustu.

Poczuł wzruszenie, wspominając kształt jej piersi i zroszone mlekiem brodawki. Nie powinien wczoraj się im przyglądać. Tylko że wtedy nie wiedziałyby, jak pięknie wyglądają podczas karmienia dziecka. Za nic w świecie nie wyrzekłby się tego obrazu.

Piersi miała teraz znacznie obfitsze niż dziesięć miesięcy temu, co sprawiało, że jej figura robiła wrażenie szczuplejszej. Bose stopy w sandałkach wydały mu się nieprawdopodobnie małe, jak u dziecka.

Odchrząknął głośno.

- Gdzie jest Tony?

- Śpi.

Obrócił się na pięcie i cicho jak kot ruszył do pokoju dziecka. Idąca za nim Aislinn zastała go już pochylonego nad łóżeczkiem. Czułość, z jaką wpatrywał się w śpiącego syna, wyzwoliła w niej uczucia, do których wolałaby się nie przyznawać. Aby je zatrzeć, spytała:

- Myślałaś, że kłamię? Musiałaś koniecznie sprawdzić, że Tony jest tutaj? Przypuszczałaś, że go ukryłam?

Odwrócił się, nie tracąc nic ze swej zwierzęco zwinności.

- Nie ośmieliłabyś się-stwierdził.

Przez kilka sekund mierzyli się wzrokiem. Wreszcie Lucas obejrzał się, by raz jeszcze spojrzeć na dziecko, i biorąc ją za ramię wyprowadził z pokoju.

- Daj mi coś do picia-powiedział.

Kusiło ją, żeby rzucić kas'liwie coś w rodzaju: „Tu nie gospoda”, ale pomyślała, że lepiej będzie, jeśli znajdą się w kuchni przegrodzeni stołem, niż obok siebie na kanapie w saloniku.

- Dobrze, ale może mnie puścisz - odparła uwalniając rękę z jego uścisku. Ciepły dotyk palców Lucasa przywoływał zbyt wiele wspomnień, które przez wiele miesięcy usiłowała wymazać z pamięci. Chciała go upomnieć, by trzymał ręce przy sobie, ale doszła do wniosku, że lepiej go bez potrzeby nie drażnić. Nie należało ryzykować, że wpadnie w zły humor akurat w momencie, gdy zamierzała przemówić mu do rozsądku.

- Nie widzę, żeby Tony był spakowany - zauważył, siadając na tym samym krześle, co poprzedniego dnia.

- Czego się napijesz? Soku czy sodowej z lodem?

- Sodowej.

Aislinn wyjęła puszkę z lodówki, przygotowała napój i wręczyła mu szklanke.

- Tony nie jest spakowany - powtórzył i pociągnął łyk.

- Zgadza się-powiedziała siadając naprzeciw niego i splatając ręce, aby ukryć ich drżenie.

- Rozumiem zatem, że się pobieramy.
- Zatem myli się pan, panie Greywolf. Nie wycho-
dzę za ciebie ani za nikogo innego.

Dopił wodę i odepchnął od siebie szklanekę.

- Zabieram swojego syna.

Aislinn zwilżyła językiem usta.

- Sądzę, że Tony powinien mieć z tobą kontakt. Należy się to i tobie, i jemu. Nie będę ci zabraniała widywania się z nim. Możesz przychodzić, kiedy zechcesz. Proszę tylko, żebyś mnie uprzedził kilka godzin wcześniej, żebym mogła się przygotować. Będę się starała... Dokąd idziesz? - spytała widząc, że Lucas wstaje i rusza do drzwi.

- Po syna.
- Zaczekaj! - zerwała się z miejsca i chwyciła go za ramię. - Proszę cię. Porozmawiajmy rozsądnie. Chyba nie sądzisz, że będę stała i patrzyła beczynnie, jak mi zabierasz dziecko?

- To również moje dziecko.
- Ale potrzebuje matki.
- Ojca też.
- Ale nie w taki sposób, jak mnie. Przynajmniej na razie. Sam wczoraj powiedziałaś, że nie możesz go karmić.

Spojrzał na jej piersi. Broniła się dzielnie.

- Są inne sposoby - odparł sucho.

Aislinn zacisnęła palce na jego ramieniu.

- Proszę. Może kiedy będzie starszy.
- Wiesz, jaka jest alternatywa. Najwidoczniej nie przypadła ci do gustu.

- To znaczy małżeństwo? - Puściła jego ramię uświadomiwszy sobie, jak blisko siebie stoją i jak mocno zacisnęła na nim palce, po czym odsunęła się i przystanęła przy zlewie, odwrócona do niego plecami. Głowiąc się, jak oględnie poruszyć krępujący ją lemat, skrzyżowała ręce na piersi i nerwowo wodziła dłońmi po ramionach. - Małżeństwo jest wykluczone - wykrztusiła wreszcie.

- Nie pojmuję dlaczego.

Jego postawa doprowadzała ją do rozpacz. Po prostu zmuszał ją do wyłożenia kawy na ławę i nie cierpiała go za to.

- Nie mogę za ciebie wyjść z wielu powodów.
- Wyprowadzka z miasta, z tego mieszkania?

- To także.

- A co jeszcze?

- Moje atelier.

- Przecież obsługują je fachowo dwie pracownice. Jedź dalej.

- No więc dobrze - odwróciła się i spojrzała mu prosto w oczy. - Mieszkanie z tobą i...

- Spanie ze mną - dokończył za nią.

Odwróciła się znów i spuściła nisko głowę.

- Tak - przyznała.

- W takim razie to już nie jest rozmowa o małżeństwie, prawda? To jest rozmowa o seksie. Ale ja używałem określenia „małżeństwo” w znaczeniu czysto ;, prawnym. Ty jednak najwyraźniej dostrzegłaś coś więcej w mojej propozycji.

- Ja..

- Nie, chwileczkę. Skoro już dotknęłaś tej kwestii, rozważmy ją szczegółowo.

Ruszył z miejsca i stanął tuż za nią. Wyczuła jego bliskość, jeszcze zanim jego ciepły oddech owiał jej kark w chwili, gdy pochylał głowę. Było w tym geście coś z perfidii kota, który już złapał ofiarę, ale przed schrupaniem jej chce się trochę pobawić.

- Nie możesz znieść myśli o seksie ze mną, tak? - objął ją ręką w tali i przyciągnął do siebie. - Ale wtedy na wzgórzu jakoś się nie brzydziłaś.

- Przestań - wyjąkała, gdy Lucas zaczął muskać nosem jej włosy, aż dotarł do ucha i skubnął je wargami.

- Czyżby mi się wówczas coś przywidziało? A może białe dziewczyny odmawiają w inny sposób?

- Przestań, przestań - jęknęła. Koniuszki palców Lucasa lekko otarły się o jej sutkę, która uroniła wilgotną kropelkę.

- Odniosłem wrażenie, że miałaś cholerną ochotę.

- Nigdy nie powinno było do tego dojść.

- Co to za grymasy, panno Andrews? Po tym

wszystkim już ci nie w smak pieprzenie się z Indianinem?

Wyrwała mu się i z całej siły uderzyła go otwartą dłońią w policzek. Rozległ się dźwięk, jakby ktoś strzelił z bata.

Jego grubiaństwo, jej gwałtowna reakcja i ten odgłos złączyły się razem w jedną błyskawiczną sekwencję.

- Nigdy więcej tak do mnie nie mów - wykrztusiła z gniewem.

- Doskonale - warknął przyciskając ją do blatu kuchennego. - Pomówmy wobec tego o tym, dlaczego się tak dzisiaj odpicowała. Chciałaś mieć pewność, że nie przeoczę twojej słonecznej urody? A może miałaś zamiar speszyć indiańskiego parobka? Niech się puknie w czoło, zanim poprosi o rękę taką złotowłosą boginkę. Czy tak miałem sobie pomyśleć?

- Nie.

- To czemu spryskałaś się tymi pachnidłami? I dlaczego odrobiłaś się tak apetycznie, że można by cię jeść łyżkami? - rzucił przez zaciśnięte zęby. - I dlaczego wzbiera we mnie chęćka?

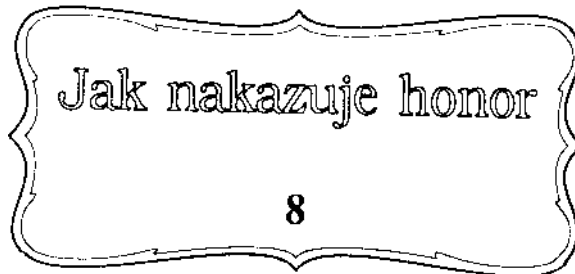
Ze zdławionym pomrukiem przygniótł ją całym ciężarem ciała i wtulił twarz we wgłębienie nad obojczykiem, pocierając torsem o jej piersi. Ruchy jego bioder były niedwuznaczne.

Trwało to zaledwie kilka sekund, po czym puścił ją.

Oddycha! ciężko. Śniada twarz pociemniała jeszcze bardziej. Patrzącej na niego z lękiem Aislinn wydał się nieobliczalny, groźny i niesamowicie pociągający.

- Jak pani widzi, panienko, potrafię kontrolować swoje żądze. I nie schlebiam sobie myśląc, że pragnę cię bardziej niż ty mnie. Jesteś po prostu dodatkowym bagażem, który musi towarzyszyć mojemu synowi, ponieważ nie mam gruczołów mlecznych. I jestem gotów ponieść koszty twojej obecności, żeby Tony miał dom rodzinny. A teraz - przejechał dłonią po włosach i zaczerpnął głęboko powietrza - pytam cię po raz ostatni. Jedziesz ze mną czy nie?

Zanim Aislinn zdołała się skupić nad odpowiedzią, ktoś zadzwonił do drzwi.



- Kto to? - spytał Greywolf.
- Nie wiem.
- Czekasz na kogoś?
- Nie.

Przeprosiła go i wyszła z kuchni. W świetle tego, co przed chwilą zaszło, była to kurtuazja raczej śmieszna, ale Aislinn nigdy nie uchybiała etykiecie. Idąc nie przestawała myśleć o Lucasie i o tym, jak ma postąpić.

Gdy otworzyła drzwi, na kilka sekund zmieniła się w słup soli. Zastanawiała się, co jeszcze zdarzy się w tym dniu, żeby katastrofę uczynić kompletną.

- Nie poprosisz nas do środka? - zwróciła się do córki Eleanor Andrews.

- Prze... Przepraszam - wyjąkała Aislinn i odsunęła się, przepuszczając rodziców, którzy weszli do salonu.

- Czy coś jest nie w porządku? - spyta! ojciec.
- Nie, nie, po prostu nie spodziewałam się was.

Jak zwykle, wprawili ją w zakłopotanie. Zawsze czuła się w ich obecności jak dziecko, które zaraz dostanie burę. Niechętnie się do tego przyznawała, ale powtarzało się to nieodmiennie i teraz też tak było.

- Wracamy z klubu - oświadczyła Eleanor, stawiając pod ścianą rakietę do tenisa - i przyszło nam na myśl, że wpadniemy do ciebie, bo to przecież po drodze.

Akurat, pomyślała Aislinn. Jeśli się już zjawili, to znaczy, że coś się musi za tym kryć. Nie trzymali jej zresztą długo w niepewności.

- Pamiętasz chyba Teda Utleya - rzeki z miejsca ojciec. - Poznałeś go kilka lat temu na balu.

- Wtedy był żonaty - uzupełniła matka.

Podczas gdy Eleanor opisywała niepowodzenia małżeńskie pana Utleya i jego sukcesy w interesach, Aislinn przypatrywała się rodzicom. Starą się być obiektywna. Przystojni, opaleni, w dobrej formie. Ucieleśniali amerykański mit o ludziach, którym się powiodło. Żyło się im naprawdę dobrze, ale Aislinn powątpiewała, czy zdolni są do prawdziwego przeżywania czegokolwiek.

Och, tak, usmiechali się do wideokamery w święta Bożego Narodzenia. Matka płakała dyskretnie na pogrzebach. Ojciec podniecał się, dyskutując o rozmia-

rach narodowego długu. Ale nigdy nie słyszała, żeby śmiali się razem serdecznie lub krzyczeli na siebie w gniewie. Całowali się na dzień dobry i do widzenia, poklepywali przyjaźnie, ale nigdy nie dostrzegła w spojrzeniach, które wymieniali, namiętnego błysku. Owszem, spłodzili dziecko, to znaczy ją, ale i tak uważała ich za najbardziej jałowe stadło, z jakim się zetknęła.

- Chcielibyśmy, żebyś przyszła do nas na kolację w przyszły wtorek - mówiła matka. - Będziemy jedli w patio, aie włóż na siebie coś ładnego. I zamów sobie kogoś do pilnowania... hmmm... dziecka.

- Dziecko ma na imię Tony - powiedziała Aislinn. -1 nie będę nikogo do niego zamawiać, bo nie przyjdę na tę kolację.

- Dlaczego? - spytał ojciec ziewając. - To, że masz nieślubne dziecko, nie znaczy, że musisz się ukrywać.

Zaśmiała się.

~ Dziękuję, ojcze, za wielkoduszność - powiedziała z sarkazmem, który zupełnie do niego nie dotarł. - Nie widzę powodu, dia którego miałabym brać udział w żenującym swataniu mnie z kimś, kto odnosi się wyrozumiale do upadłych kobiet.

- Tego już za wiele - rzucił ostro ojciec.

- Staramy się tylko robić, co się da, dla twojego dobra - odezwała się Eleanor. - Pogmatwałeś sobie

okropnie życie. Próbuje więc naprawić twoje błędy najlepiej, jak to możliwe. Mogłabyś przynajmniej...

Urwała swój wykład, jak gdyby zabrakło jej nagle tchu. Jedną rękę podniosła ze zgrozą do piersi, jakby chciała odgonić intruza. Willard Andrews podążył spojrzeniem za wzrokiem żony i również najwyraźniej osłupiał. Aislinn nie musiała się odwracać, by stwierdzić, co tak zaszokowało jej zazwyczaj chłodnych rodziców.

A kiedy odwróciła się i ujrzała Lucasa, poczuła, jak cierpnie jej skóra, ze strachu oraz niepewności. Nadal tak reagowała na jego widok.

Stał wyprostowany jak struna w drzwiach pomiędzy kuchnią a salonem i nieruchomym wzrokiem wpatrywał się w rodziców Aislinn. Miał zacięte usta, jego pierś pod rozpiętą niemal do pasa koszulą prawie się nie poruszała pod wpływem oddechu. Mógłby śmiało uchodzić za posąg, gdyby nie bijąca od niego energia.

- Mamo, tato, to jest Lucas Greywolf. - W marnej ciszy zabrzmiał nagle głos Aislinn.

Nikt się nie odezwał. Jedyne Lucas krótkim skinieniem głowy skwitował dokonaną prezentację. Aislinn pomyślała, że jest to raczej objaw dobrych manier wpojonych mu przez Alice, aniżeli szacunku dla państwa Andrews.

Eleanor patrzyła na niego jak na wypuszczonego z klatki tygrysa. Willard był nie mniej oszołomiony.

- Pan Lucas Greywolf? - wykrztusił w końcu.
- Tak - odparł lakonicznie Lucas.
- Czytałem dziś w gazecie, że zwoiniono pana z więzienia.

- Boże mój! - Eleanor o mało nie spadła z krzesła. Zbladła, jakby za chwilę miała być oskalpowana i liczyła już tylko na łaskę opatrznosci.

Willard obrzucił córkę twardym spojrzeniem i Aislinn spuściła wzrok.

- Nie bardzo rozumiem, panie Greywolf, co pan robi w mieszkaniu mojej córki, i to najwidoczniej za jej przyzwoleniem.

Aislinn stała bez ruchu z opuszczoną głową. Pomyślała, że ze wszystkich przeżyć, jakich dostarczył jej Lucas, to było najgorsze. Kątem oka dostrzegła, że wchodzi do salonu i zmierza prosto ku niej. Eleanor wzdrygnęła się ponownie widząc, jak bierze Aislinn pod brodę i unosi jej twarz do góry.

- No więc?

Pozostawił jej wybór, tyle że bardzo kiepski. Albo sama wyjaśni rodzicom przyczynę jego obecności, albo on to zrobi. Trzymając wskazujący palec pod podbródkiem Aislinn, przesunął lekko jej głowę, tak że musiała natrafić spojrzeniem na wytrzeszczone oczy ojca i matki. Zaczerpnęła tchu i z uczuciem skazańca wstępującego na szafot wydukała:

- Lucas jest... On jest... ojcem Tony'ego.

Zapadła grobowa cisza. Patrząc na zakrzepłe twarze rodziców Aislinn słyszała wyraźnie bicie swego serca. Zawsze elokwentni i pewni siebie, teraz wpatrywali się w nią bez słowa, otworzywszy usta jak konające na piasku ryby.

- To niemożliwe - jęknęła wreszcie Eleanor.

- Poznałam Lucasa dziesięć miesięcy temu zaraz po jego ucieczce z więzienia.

- Nie wierzę - powiedziała Eleanor.

- Ależ oczywiście, pani wierzy - rzekł wyniośle Lucas. - W przeciwnym razie nie byłaby pani tak przerażona. Wiadomość, że jest pani babcią Indianina, musi być dla pani strasznym wstrząsem.

- Niech się pan nie waży mówić do mojej żony takim tonem - rozkazał piskliwie Willard, postępująca wojowniczo krok naprzód. - Mógłbym pana kazać aresztować za...

- Niech pan sobie daruje te pogrożki. Słyszałem je nieraz. I to z ust ludzi bogatszych i potężniejszych niż pan. Nie boję się pana.

- Czego pan chce? Pieniądzy?

Twarz Greywolfa stężała od lodowatej wzgardy.

- Chcę mojego syna.

- Oddaj mu go - odezwała się Eleanor do Aislinn.

- Co takiego?! - Aislinn cofnęła się o krok. - Co powiedziałaś?

- Daj mu dzieciaka. Tak będzie najlepiej dla wszystkich.

Aislinn popatrzyła w osłupieniu na matkę, a następnie na ojca, którego milczenie oznaczało niewątpliwie zgodę na propozycję Eleanor.

- Naprawdę myślicie, że mogłabym oddać moje dziecko? - spytała całkiem retorycznie, bo miny rodziców wyrażały to niedwuznacznie.

- Posłuchaj nas chociaż raz, Aislinn - powiedział ojciec, ujmując ją za rękę. - Zawsze nam się sprzeciwiałaś, buntowałaś się, robiłaś nam na złość. Ale tym razem posunęłaś się za daleko. Popełniłaś potworny błąd. Nie pojmuję, jak mogłaś... - Nie mogąc wy dobyć z siebie słów, które cisnęły mu się najęzyk, obrzucił Lucasa jadowitym spojrzeniem. - Ale stało się. Jeśli nie uwolnisz się teraz od dziecka, będziesz tego żałować do końca życia. Pan Grey wolf bardzo roztropnie pojął to, czego ty nie rozumiesz. Pozwól mu wychowywać to dziecko. Jeżeli chcesz, od czasu do czasu prześlę trochę pieniędzy na...

Aislinn wyrwała rękę z dłoni ojca i odsunęła się od niego ze wstrętem. Jak oni mogą namawiać ją, żeby oddała dziecko? Żeby wyrzekła się go raz na zawsze. Pozbyła się go, jak gdyby był haniebnym owocem zbiorowej orgii na jakiejś prywatce. Uzmysłowała sobie, że są jej zupełnie obcy. Jakże słabo w gruncie rzeczy ich znała. I co więcej - jakże słabo oni znali ją.

- Kocham mojego syna - powiedziała. - Nie rozstanę się z nim za żadne skarby świata.
 - Aislinn, bądźże rozsądna - rzekła Eleanor z irytacją. - Podziwiam twoje przywiązanie do dziecka, ale...
 - Chyba lepiej, żebyście sobie poszli.
- Nawet gdyby w głosie Greywolfa nie zadźwięczał ten rozkazujący ton, odczytaliby go z jego wyzywającej postawy, gdy zwrócili się wszyscy w jego stronę, usłyszawszy jego słowa.
- Willard prychnął pogardliwie.
- Jestem, do pioruna, w domu własnej córki i nie dam się stąd wyrzucić takiemu... panu. Poza tym ta dyskusja pana nie dotyczy.
 - Dotyczy i to bardzo - sprzeciwiła się stanowczo Aislinn. - Jest ojcem mojego dziecka. Cokolwiek postanowię, będzie to także jego sprawa.
 - To przestępca - zagrzmiał Willard.
 - Oskarżono go niesłusznie. Wziął na siebie cudze winy - odparła Aislinn ku nieskrywanemu zdziwieniu Lucasa, że znalazł w niej nagle obrończynię.
 - Sąd był innego zdania. Jego nazwisko trafiło do rejestru skazanych. I na dodatek - to Indianin.
 - Tak samo jak Tony. Co nie znaczy, że kocham go mniej.
 - Nie licz na to, że go kiedykolwiek zaakceptujemy - powiedziała zimno Eleanor.

- Wobec tego może posłuchacie Lucasa i pójście sobie.

Aislinn nie widziała nigdy, żeby ojciec był tak bliski wybuchu, jak w tej chwili. Ale utrzymał nerwy na wodzy i powiedział sztywno:

- Jeśli cokolwiek, powtarzam, cokolwiek będzie cię nadal łączyło z tym człowiekiem, nie dostaniesz już ode mnie ani centa.

- Nigdy cię o nic nie prosiłam, tato - powiedziała Aislinn ze łzami w oczach, ale unosząc dumnie głowę. - Zwróciłam ci pieniądze za studio, którego, nawiasem mówiąc, wcale nie chciałam. Nic ci nie zawdzięczam, nawet szczęśliwego dzieciństwa. Przed chwilą mówiłeś, że się zawsze buntowałam, ale to nieprawda. Zawsze chciałam się zbuntować, a ty zawsze mnie powstrzymywałeś. Ustępowałam ci, podejmując wszystkie ważne decyzje. Aż do dzisiaj. Jeżeli nie możecie z mamą pogodzić się z faktem, że Tony jest waszym wnukiem, to i ja też nie chcę zajmować żadnego miejsca w waszym życiu.

Potraktowali jej ultimatum z tą samą chłodną powściągliwością, jak wszystkie inne smutne i radosne przypadki ich egzystencji. Willard wziął żonę pod ramię i bez słowa powiodł ją do drzwi. Eleanor przystanąła jedynie na moment, żeby zabrać rakieta. Nie obejrzel się za siebie.

Aislinn zwiesiła głowę. Łzy, które w ciągu kilku

ostatnich dramatycznych minut zbierały się jej pod powiekami, popłynęły teraz strumieniem po policzkach. Rodzice chcieli albo zupełnie zdominować jej życie, albo w ogóle w nim nie uczestniczyć. Niewiarogodne, z jaką zaciętością trwali w swoich uprzedzeniach wobec wnuka. Bardzo ją to zabolalo.

Z drugiej strony, skoro są tacy małostkowi i nie przejednani, będzie lepiej dla niej i dla dziecka, jeśli ich drogi się rozejdą. Pragnęła, aby jej syn nie wstydził się uczuć. Chciała, żeby dorastając miał swobodę wyboru, która jej została odebrana, życzyła mu, by zaznał smaku prawdziwego życia, tak jak ona, gdy...

Odwróciła się zatrzymując wzrok na stojącym za nią w milczeniu Lucasie. Jej myśli przywiodły ją nieuchronnie do dni, które spędziła z nim jako zakładniczka. Wtedy, po raz pierwszy w jej życiu, zdarzenia biegły swoim własnym, nieprzewidywalnym torem. Pamiętała wyraźnie nagłe przyływy napięcia, chwile przykre i przyjemne. Nie idealizowała tego incydentu, który szybko dobiegł końca. Nie wszystko było miłe, na pewno nie. Ale była w tym wszystkim prawda. Nigdy przedtem nie żyła tak intensywnie, jak w trakcie tych kilkudziesięciu dramatycznych godzin.

- No i co postanawiasz? - spytał Lucas.
- Czy wciąż chcesz się ze mną ożenić? :
- Przez wzgląd na mojego syna - tak.

- Czy będziesz dobrym, kochającym ojcem?
- Przysięgam, że tak.

Nigdy jeszcze nie musiała nikomu zadawać tak strasznie kłopotliwych pytań, ale nie umykała wzrokiem przed jasnoszarymi oczami Lucasa.

- A co ze mną? Czego mogę oczekiwać po tobie jako żona?

- Jesteś matką mojego syna. To wystarczy, żebyś miała mój szacunek.

- Groziłeś mi już kilka razy nożem. Nie chciałybym żyć w atmosferze ciągłego lęku, że to się powtórzy.

- Nigdy cię nie skrzywdzę. Przysięgam na pamięć mojego dziadka.

Co to za dziwaczne zaręczyny, pomyślała Aislinn. Jak większość kobiet marzyła o innej oprawie, o kolacji przy świecach, winie, różach, łagodnej muzyce, księżycu w pełni i zapewnieniach dozgonnej miłości. Uśmiechnęła się biado i nie bez ironii. Cóż, nie można mieć wszystkiego.

A więc klamka zapadła, oto zostawia za sobą wszystko, co swojskie i bezpieczne. I to bezpowrotnie. Zresztą Lucas nie zrezygnuje z syna. Dał temu wyraz aż nazbyt jasno.

Będzie to związek bez małżeńskiej miłości, łączyć go będzie jedynie ich wspólna miłość do dziecka. Ale i tak miłosne porwy nie były jej dotychczas zna-

ne, więc nie ma czego żałować. Życie u boku Lucasa nie będzie jednak tylko długim ciągiem monotonicznych dni. Znajdzie się w nim miejsce na niespodzianki.

Spojrzała stanowczo na Lucasa i oświadczyła już bez najmniejszego wahania:

- Dobrze, wyjdę za ciebie.

Ślub cywilny odbył się dwa dni później o dziewiątej rano w gmachu tego samego sądu, w którym cztery lata wcześniej Lucas Greywolf został skazany za nie popełnione przestępstwa.

Panna młoda - składając ślubowanie małżeńskie człowiekowi, który dotychczas był jej niemal zupełnie obcy - trzymała na rękach dziecko. Nie bardzo wiedziała, jaki strój będzie odpowiedni na tę okazję i końcu zdecydowała się na brzoskwiniowy płócienny kostium złożony z plisowanej spódnicy i gładkiego żakietu. Pod żakietem miała obcisłą, kremową bluzkę z batystu, przez którą prześwitywał haftowany staniczek. Całość była bardzo kobieca, ale pozbawiona ślubnej ostentacji. We włosy Aislinn wpięła grzebień z kości słoniowej, pamiątkę po babci ze strony ojca. Było to zadośćuczynienie zwyczajowi nakazującemu pannie młodej mieć na sobie „coś starego”. Funkcję „czegoś nowego” oraz niebieskiego spełniały majteczki w tym kolorze i w ten sposób tradycja została uszanowana.

Lucas zadziwił ją włożywszy ciemne spodnie, sportową marynarkę i jasnoniebieską koszulę z bardzo spokojnym krawatem. Wyglądał niesłychanie przystojnie, kiedy się uczesał, odgarniając z czoła długie ciemne włosy daleko na kark. Stojąc u jego boku wiedziała, że stanowią piękną parę. Odwracano się za nimi, kiedy wchodzili do budynku.

Jeszcze brzmiało jej w uszach echo rytualnych formułek, gdy obrzęd dobiegł końca. Kiedy sędzia ogłosił ich mężem i żoną, Lucas pocałował ją zdawkowo. Następnie wziął ją za łokieć i poprowadził do zaparkowanej przed sądem półciężarówki. Miała co najmniej dziesięć lat.

- Załadujemy tylko twoje rzeczy - powiedział rzeczowo - i zaraz ruszamy.

Poprzedniego dnia poinformował ją, że zależy mu, by ceremonia - duże słowo jak na te kilka minut przed obliczem sędziego - odbyła się jak najwcześniej rano, bo chciał dotrzeć do rezerwatu przed zapadnięciem zmroku.

W mieszkaniu zmieniała pieluszkę dziecku i przebrała się, a Lucas wrzucił do skrzyni pick-upa wszystko, co mieli zabrać ze sobą. Przemierzając po raz ostatni pokoje, nie mogła wykrzesać z siebie ani krzyku żalu, że wyjeżdża. To był lokal mieszkalny, a nie prawdziwy dom. Nie przywiązała się tu do niczego. Szkoda jej było jedynie dziecięcego pokoiku, który sama urządziła. Włożyła w to wiele miłości.

- Wzięliśmy wszystko? - spytał Lucas, kiedy weszła do saloniku, sprawdzając, czy nie zostawiają gdzieś włączonego światła.

- Chyba tak.

On także się przebrał. Włożył dzinsy i swoje stare buty, a czoło przewiązał opaską. Koszulę zachował, ale podwinął rękawy do łokci. Miał też znów w uchu kolczyk, który zdjął do śiubu.

Zamknęli mieszkanie, które tymczasem miało pozostać puste, aż znajdą dobrego kupca i sprzedadzą je razem z meblami. Jeśli chodzi o samochód, to znając drażliwość Lucasa, Aislinn postanowiła zostawić go w garażu i szybko okazało się, że było to poświęcenie większe niż myślała.

- To cholerne pudło nie ma klimatyzacji — powiedział Lucas, kiedy wjechali na autostradę i wiatr zaczął się im dawać we znaki. Szyb nie można było podnieść z powodu upału. Na szczęście Tony, leżący między nimi w nosidle, był osłonięty kocykiem. Aislinn jednak toczyła nieustanną walkę z włosami, które zakrywały jej twarz. Nie narzekała, ale Lucas spytał, czy bardzo jej to przeszkadza.

- Nie jest tak złe - skłamała.

- Otwórz schowek - powiedział. - Mam tam zapasową bandanę. Obwiąż sobie nią włosy, będzie trochę lepiej.

Wyjęła bandanę, złożyła ją w trójkąt, zwinęła w wąską przepaskę i przewiązała czoło.

- Czy to znaczy, że jestem już prawdziwą squaw? - spytała z uśmiechem, przejrzawszy się we wstecznym lusterku.

Początkowo nie bardzo wiedział, jak ma zareagować na ten żart, ale kiedy dostrzegł w jej oczach filuterne isierki, odpowiedział uśmiechem. Szło mu to z trudem, zupełnie jakby zapomniał, w jaki sposób się to robi. W końcu jednak jego poważna i surowa dotychczas twarz rozjaśniła się. Wydat nawet z siebie coś w rodzaju wesołego parsknięcia.

Napięcie trochę zelzało i Aislinn pomału udało się go rozruszać. Opowiadała mu historyjki ze swojego dzieciństwa, niektóre zabawne, inne - smutne.

- W pewnym sensie - powiedziała - byłam nie mniej samotna niż ty.

- Znając twoich rodziców, mogę w to uwierzyć.

- Nawet w części nie potrafia tak kochać" jak twoja matka.

Rzucił na nią okiem i kiwnął bez słowa głową.

Aczkolwiek bardzo się spieszył, raz po raz pytał Aislinn, czy powinien się zatrzymać na posiłek i odpoczynek. Poprosiła go o to, kiedy minęło południe.

- Tony się budzi - powiedziała - i będę musiała go nakarmić.

Maty spał dotąd słodko, ale zbudził się bardzo głodny i zaczął niecierpliwie domagać się obiadu. Nim dojechali do najbliższego miasteczka, jego krzyk niemal rozsadzał kabinę.

- Gdzie mam stanąć? - zapytał
 - Możesz jechać dalej. Dam sobie radę.
 - Nie, będzie ci wygodniej, jeśli stanę. Powiedz tylko gdzie.

- Nie wiem - odpowiedziała już zagryzając niepokojnie dolną wargę. Obawiała się, że płacz dziecka może zdenerwować Lucasa. Pomyślała, że rola ojca może mu się szybko przykrzyć, jeśli Tony codziennie będzie tak się awanturował.

- Może być jakaś restauracja? - spytał omiatając wzrokiem główną ulicę miasteczka.

- Wolałabym, żeby to nie było miejsce publiczne. On za bardzo hałasuje.

W końcu Lucas podjechał na miejski skwer i znalazł cieniste miejsce pod drzewem.

- Tu będzie dobrze?
 - Świetnie. - Aislinn szybko odpięła bluzkę i przystawiła sobie dziecko do piersi. Tony natychmiast umilkł. - No, wreszcie - zaśmiała się. - Nie wiem, czy moglibyśmy,..

Niedokończone zdanie rozpląnęło się w powietrzu, bo Aislinn, odrywając wzrok od buzi dziecka, spojrzała na jego ojca. Lucas patrzył jak urzeczony na ssące-

go jej pierś syna. Dopiero, gdy się zorientował, że Aislinn go obserwuje, odwrócił głowę i wlepił oczy w przednią szybę.

- Jesteś głodna? - zapytał.

- Trochę.

- Możemy po drodze kupić hamburgery nie wysiadając z samochodu, zgoda?

- Doskonale. Nie ma sprawy.

- Załatwimy to, jak tylko Tony będzie, hmmm... obsłużony.

- Dobrze.

- Czy zadałem ci ból?

Zerknęła na niego. Spoglądał wciąż przed siebie.

- Kiedy, Lucas?

- Wiesz kiedy. Tamtego ranka.

- Nie - zaprzeczyła tak cicho, że prawie niesłyszalnie.

Patrząc z roztargnieniem przez szybę, postukiwał pięścią o kierownicę i poruszał rytmicznie nogą. Gdyby to był ktoś inny, można by powiedzieć, że przejawia pewną nerwowość. Ale czy to możliwe? Lucas Greywolf nie wiedział przecież, co to nerwy. Czy naprawdę?

- Wiesz, to przez to, że siedziałem w więzieniu...

- Wiem.

- Tyle czasu bez kobiety.

- Rozumiem.

- Byłem brutalny.
- Nie za...
- Później zacząłem się tym martwić. Że może sprawiłem ci ból, że bolały cię piersi albo...
- Nie. Nic takiego.
- Byłaś tam taka nieduża...
- Tylko z początku.
- I... taka... ciasna, a ja...
- To nie był gwałt, Lucasiu.
- Mogłaś twierdzić, że był.
- Ale to nieprawda.

Sygnaly, które wysyłały ich oczy, zawierały ładunek, który raczej nie wymagał słownych objaśnień. Aislinn pochyliła głowę i przymknęła oczy, czując, jak ją oblewa ciepło nie mające nic wspólnego z dusznym, letnim dniem. Pamiętała jego drżące ciało.

Lucas już nie zwracał uwagi na rozkoszne odgłosy, jakie wydawał Tony. Przypomniał sobie, jak to on sam całował jej piersi, muskał je i gładził... Nie myśli o tym, na litość boską, bo nie wytrzymasz, powtarzał sobie.

- Kiedy się zorientowałaś, że jesteś w ciąży?
- spytał ochryple.
- Jakies dwa miesiące później.
- Złe się czułaś?
- Trochę tak. Wszystko mnie męczyło. Straciłam energię. No i przestałam...

- Ach, no tak.

Kątem oka dostrzegł, jak Aislinn przekłada delikatnie dziecko, żeby mu podać drugą pierś. Wiedział, że jest wstydliva i jak wiele musi ją kosztować ta wymuszona przez sytuację intymność. Miał wielką ochotę przyglądać się jej piersiom. Pragnął ich dotykać. Poczuc ich smak. Był przepełniony jej kobiecością. Oduurzony jej zapachem, widokiem, głosem. Marzył o tym, by się w niej pogrążyć i żeby to trwało długo.

- Czy ciąża była dokuczliwa?
- W miarę - odrzekła z uśmiechem.
- Kopał?
- Jak futbolista.
- Wolę o nim myśleć jako o maratończyku.

Spojrzeni na siebie miękko. W ich oczach było rodzicielskie porozumienie, powstałe ze wspólnej troski o przyszłość dziecka.

- Tak. Będzie biegaczem - zgodziła się z łagodnym uśmiechem. - Jak ty.

Lucasowi pierś wezbrała dumą. Wzruszony, przez kilka sekund nie mógł złapać oddechu.

- Dziękuję - powiedział, a widząc zdziwione spojrzenie Aislinn, dodał: - Za to, że urodziłaś mojego syna.

Teraz Aislinn poczuła się wzruszona. Człowiekowi tak dumnemu jak Greywolf podziękowania nie przechodziły łatwo przez gardło. Skinęła tylko głową, żeby nie psuć tej chwili zbędnymi słowami.

Poczekala, az Tony sie nasyci, po czym oddala go na moment Lucasowi, zeby zapiac bluzke. Potem Lucas pomogl jej zmienic pieluszke.

W drodze nie odzywali sie wiecej od siebie. Padlo juz dosyc slow.

- Gene bedzie pewnie u mamy - powiedzial, zatrzymujac sie przed schludnym, otynkowanym na biało domkiem. Na ganku palilo sie gościnnie światło. Za parkanem widać bylo zadbane ogródek, po obu stronach wejścia widniały klomby pełne kwitnacych cynii.

Bylo juz po zmierzchu. Bardzo duzo czasu zabrala im jazda przez rezerwat, chociaz tym razem nie musieli przemykac sie bocznymi drogami jak podczas ucieczki Lucasa. Mimo to podroz byla dluga, męcząca i dala sie Aislinn mocno we znaki.

- Czy zostaniemy tu na noc? - spytala z nadzieja w głosie.

- Nie. Wstapimy tylko, zeby sie przywitalac. Spiesz mi sie do mojej ziemi.

Jego ziemi? Nie wiedziala, ze ma jakakolwiek ziemię. Do tej pory nie zapytala nawet, z czego zamierza utrzymywac ja i dziecko, skoro nie wolno mu wykonywac zawodu. Ale nie trapiła sie tym. Lucas udowodnil, ze jest zaradny, roztropany i odpowiedzialny. Nie watpila, ze zapewni im wygodne zycie.

Wyskoczył z piek-upa, okrzyk! go i pomogl jej wysiac. Nagle poczula uklucie niepokoju. Co bedzie, jezeli Alice i doktor Dexter zareaguja na dziecko podobnie jak jej rodzice? Jest tu przeciez bardziej obca nizeli Lucas w jej swiecie. Jak zostanie przyjeta? Lucas nie zaprzata! sobie takimi sprawami glowy. Podbiegl do domu, wskoczy! na ganek i zastukal do drzwi. Otworzyly sie dopiero za drugim razem. Stanal w nich Gene Dexter.

- No, nareszcie. Alice juz ... - zaczal i nagle urwal, widzac nadchodzaca Aislinn.

- Gene, czy to Lucas? - zawolala Alice z glębi domu. - Lucas? - jej rozezmiana twarz ukazala sie za plecami doktora. - Och, wreszcie jesteś. Martwiliśmy sie o ciebie. Dlaczego nie przyjechales prosto do domu? Miales cos do załatwienia w Phoenix?

Lucas odstapil na bok i oczy Alice rozszerzyly sie ze zdumienia na widok Aislinn. W tej samej chwili dostrzegla dziecko na jej reku i otworzyla usta, zaskoczona odkryciem.

- Lepiej, zeby pani od razu weszla do domu, wieczor jest chlodny.

Od tego momentu Aislinn nabrala przekonania, ze pokocha Alice Greywolf. Obylo sie bez pytan. Bez pretensji. Bez krytycznych uwag. Zamiast tego zyczliwa, spontaniczna aprobata.

Lucas przytrzymał jej drzwi i Aislinn weszła wraz z dzieckiem do skromnie, ale ładnie umeblowanego salonu.

- Mamo, Gene, pamiętacie Aislinn?
- Oczywiście-odparł Gene.
- Mogę zobaczyć dziecko? - spytała Alice, uśmiechając się nieśmiało.

Aislinn obróciła Tony'ego w jej stronę. Alice zanie-mówiła. Dotknęła ciemnej główki niemowlęcia i łzy nabiegły jej do oczu.

- Lucas - wyszeptwała.
- To Anthony Joseph - sprostował Lucas z dumą
- Mój syn.
- Och, to przecież widać - Alice przygryzła dolną wargę, powstrzymując się zarazem od śmiechu i od płaczu. - Gene, widziałeś? Czy nie jest cudowny? Anthony Joseph. Po moim ojcu. - Spojrzała na Aislinn szklącymi się od łez oczami. - Dziękuję ci.

- Ja... Nazywamy go Tony. Chce go pani potrzy-mać?

Alice zawahała się przez moment, po czym wyciąg-nęła ramiona i wzięła wnuka na ręce. Od wielu lat zajmowała się w klinice noworodkami, ale trzymała Tony'ego tak, jakby był z porcelany. Nie odrywając od niego wzroku, usiadła z nim na kanapie, nucąc kołysankę Nawahów.

- Coś mi się widzi, że ja będę musiał wziąć na

siebie rolę gospodarza - odezwał się Gene i zamknął frontowe drzwi. - Aislinn, rozgość się, proszę.

~ Pobraliśmy się dzisiaj - oświadczył! Lucas wyzy-wającym tonem, jakby się spodziewał nagany.

- To... wspaniale - powiedział niepewnie Gene.

Sytuacja stawała się trochę niezręczna, Alice jednak nie straciła przytomności umysłu.

- Siadajcie - powiedziała. - Zaraz dam wam coś do jedzenia i picia. Ale chcę jeszcze kilka minut posiedzieć z Tonyem.

- Nie rób sobie kłopotu, mamo. Nie zostaniemy długo.

- Wyjeżdżacie? Ale przecież dopiero przyjechaliście!
- Zależy mi, żeby dotrzeć na miejsce możliwie szybko.

- Na miejsce? - spytała Alice z niedowierzaniem.
- To znaczy, do tej przyczepy?

- Zgadza się.
- Z Aislinn i Tonyem?
- Naturalnie.
- Ależ nie możesz wpakować ich do przyczepy.

Jest za mała, nie była nawet wysprzątana i...

- Alice-przerwał jej łagodnie Gene.

Umilkła, spoglądając niespokojnie na Lucasa i Ais-linn.

- Wiem, że to nie moja sprawa, ale miałam nadzieję, że spędzicie ze mną przedtem kilka dni.

Lucas popatrzył na Aislinn. Nie zabrała głosu i wiedział, że tego nie uczyni, choć nie brak jej było odwagi. Kiedy okoliczności tego wymagały, potrafiła być twarda jak skała. Od początku podziwiał ją za to. Widział jednak jej podkrążone oczy i znużenie w ruchach.

- Dobrze. Zostaniemy na jedną noc - ustąpił, sam się sobie dziwiąc.

- Och, tak się cieszę - powiedziała Alice. - Aislinn, proszę, zwracam ci dziecko. Trzymałam trochę ciepłego jedzenia na wypadek, gdyby Lucas się dzisiaj zjawił.

- Pomogę... - zaofiarowała się Aislinn.

- Nie musisz.

- Ale chcę.

Gene i Lucas ruszyli za kobietami do kuchni. W progu Lucas przytrzymał go za ramię.

- Chyba nie wyrzucamy cię dziś w nocy z łóżka, co? - spytała cicho.

- Niestety nie - rzekł żałośnie doktor.

- Wciąż?

Dexter potrząsnął smutno głową.

- Wciąż. Ale twoja matka to wyjątkowa kobieta.

I dotąd będę ją nękał, aż zostanie moją żoną.

Lucas poklepał go po ramieniu.

- To dobrze. Ona cię potrzebuje.

Gdy weszli do kuchni, natychmiast poszukał wzro-

kiem Aislinn, myśląc, że i on znalazł niezwykłą kobietę. Podchwyciła jego spojrzenie i uśmiechnęła się nieśmiało. Nie czuła się jeszcze pewnie w rodzinnej scenerii. Musi minąć trochę czasu, zanim przywyknie do swojego małżeńskiego stanu. Była jednak zadowolona, kiedy Lucas usiadł przy niej.

- Dlaczego nic mi dotychczas nie powiedziałaś o dziecku? - spytała Alice syna pół godziny później, odnosząc naczynia do zlewu.

Lucas nie odpowiedział i krótkie milczenie przerodziło się w długą ciszę, przerwana dopiero przez Aislinn.

- On nic nie wiedział o dziecku - wyznała. - Zobaczył je pierwszy raz dopiero trzy dni temu, kiedy przyszedł podziękować mi, że nie wniosłam przeciwko niemu skargi. - Próbowала wytrzymać wzrokiem ich zaskoczone spojrzenia, ale nie wystarczyło jej odwagi i spuściła oczy.

- Zmusiłem ją, żeby za mnie wyszła - oświadczył Lucas, jak zwykle prosto z mostu. - Zagroziłem, że odbiorę jej dziecko, jeżeli się nie zgodzi,

Gene poruszył się niespokojnie na krześle. Aiice przestoniła dłonią usta, jak gdyby chciała stłumić okrzyk.

- Cieszę się bardzo, że jesteś moją synową, Aislinn - rzekła po chwili.

- Dziękuję - powiedziała Aislinn i uśmiechnęła

się. Wiedziała, że zarówno Alice, jak i Gene muszą płonąć z ciekawości, toteż tym więcej ceniła wstrzemięźliwość, jaką okazali, nie zadając jej dalszych pytań.

- Musisz być bardzo zmęczona po tej długiej jeździe - oznajmiła Alice. - Przygotuję ci posiłek. Możesz spać w moim pokoju.

- Nie.

Dźwięk tego słowa miał efekt paralizujący. Trzy pary oczu skierowały się w stronę Lucasa.

- Aislinn jest moją żoną - dokończył Lucas. - Będzie spała ze mną.

Jak nakazuje honor

9

Zapadła przeraźliwa cisza. Gene wlepił wzrok w swój kubek z kawą i wiercił się na krześle. Alice przyglądała się swoim dłoniom spokojna, lecz zażenowana. Aislinn zarumieniła się i wpatrywała w czubek główki dziecka. Jedynie Lucas zdawał się zupełnie obojętny na wrażenie, jakie wywołały jego słowa.

- Potrzebujesz czegoś z pick-upa? - spytał, z hałasem odsunął krzesło i wstał od stołu.

- Przynies tę małą walizkę i torbę Tony'ego - odpowiedziała cicho Aislinn.

- Mamo, czy znalazłaby się jakaś wolna szuflada na łóżeczko dla dziecka?

- Oczywiście. Chodź, Aislinn - odparła Alice, kładąc jej rękę na ramieniu. - Połóżmy go spać.

- Pomogę Lucasowi - oznajmił Gene zadowolony, że może się czymś zająć, i wyszedł z kuchni.

Alice zaprowadziła Aislinn do niedużej sypialni,

mieszczącej z trudem łóżko, komodę, szafkę nocną i staroświecką toaletkę, przed którą stał wyściełany stołeczek.

- Ta komoda jest pusta - powiedziała Alice, wyciągając jedną z szuflad. - Opróżniłam ją całkowicie' po śmierci ojca.

- Ja... nie miałam czasu przedtem powiedzieć, jak, bardzo ci współczuję.

- Dziękuję. To było nieuniknione. Był już stary. I nie chciał wegetować łalami w szpitalu albo w domu opieki. Stało się dokładnie tak, jak sobie życzył. Jak uważasz, tak będzie dobrze? - spytała wskazując na szufladę, którą wyłożyła złożonym kilkakrotnie kocem.

- Świetnie. Teraz wystarczy, ale za miesiąc czy dwa rozwali tę szufladę w drobny mak - Aislinn objęła Tony'ego i ucałowała go tkliwie w ciemiaczko.

- Och, do tego czasu sprawię mu łóžeczko. Spodziewam się, że będziesz go tu często przywoziła.

- Nie masz zastrzeżeń, jeśli chodzi o mnie i Lucasa? - zapytała patrząc nieśmiało w oczy Alice.

- To raczej ja mogłabym cię spytać, czy nie masz zastrzeżeń do mojego syna.

- Z początku miałam, I to spore. A teraz sama nie wiem - wyznała otwarcie. - Prawie się nie znamy, ale oboje kochamy dziecko. Jest dla nas bardzo ważne. Myślę, że to może być mocny małżeński fundament.

- Życie na ranczo będzie się bardzo różnić od tego, do czego przywykłaś w mieście.

- To, do czego przywykłam, obrzydło mi do cna, jeszcze zanim poznałam Lucasa.

- Nie będzie ci łatwo, Aislinn.

- Nic, co jest coś warte, nie przychodzi łatwo.

Popatrzyły na siebie. Jedna z determinacją, druga sceptycznie.

- Pościelęmy teraz łóżko - zaproponowała Alice.

Dopiero kładąc czyste prześcieradła Aislinn uświadomiła sobie, jakie jest wąskie. Jak się na nim pomieścić z Lucasem?

- Pójdę już sobie, żebyś mogła wreszcie odpocząć - powiedziała Alice. - A poza tym, jeśli nie uściskam na dobranoc doktora, gotów pomyśleć, że go porzuciłam dla Tony'ego. - Alice schyliła się, żeby ucałować dziecko, po czym ujęła Aislinn za rękę. - Cieszę się, że weszłaśdo naszej rodziny.

- Mimo że jestem biała?

- W przeciwieństwie do mojego syna, nie uznaję zbiorowej odpowiedzialności.

Aislinn pocałowała ją odruchowo w policzek.

- Dobranoc, Alice. Dziękuję, że okazałaś tyle dobroci dziecku i mnie.

Kiedy została sama, nakarmiła Tony'ego, mając nadzieję, że będzie spał mocno aż do rana i nie zakłóci snu Lucasowi. Spieszyła się, by zdążyć przed jego

przyjściem, chcąc sobie oszczędzić sceny, jaka rano rozegrała się w kabinie pick-upa.

W domu była tylko jedna łazienka, usytuowana pomiędzy obiema sypialniami. Skorzystała z niej szybko, gdy tylko skończyła z karmieniem dziecka. Kiedy wróciła do sypialni, nie pozostało jej już nic do zrobienia poza rozebraniem się.

Formalnie była to jej noc poślubna, ale koszula nocna, jaką wyjęła z walizki, nie wydawała się odpowiednia na taką okazję. Nosiła ją już drugi rok i choć była miękka i prześwitująca, jej skromny, pozbawiony dekoltu fason nie był szczególnie podniecający. Mówiąc szczerze, była raczej nieszykowna, bardzo zwyczajna.

Kiedy Lucas wszedł do pokoju, siedziała przed toaletką nacierając ramiona płynem nawilżającym. Wmawiała sobie, że to jej śliskie palce są powodem kłopotów z utrzymaniem buteleczki w ręku, a nie obawa przed spędzeniem nocy z Lucasem.

Gdyby nie patrzyła na męża, lecz przejrzała się w lustrze, zauważyłaby, że ma źrenice rozszerzone lękiem. Nadawało to zresztą jej twarzy wyraz bardzo młody i niewinny. Nawet koszula wyglądała panieńsko. Natomiast włosy spadały jej na ramiona w sposób nader kuszący. Nie umalowane usta miały naturalną, różaną świeżość.

Lucas przyćmił światło lampy na nocnej szafce.

jego postać rzucała teraz na ściany i sufit długie ruchliwe cienie,

- Czy Tony zasnął? - spytał odpinając guziki koszuli.

- Tak. Bardzo mu tam wygodnie.

Widziała w lustrze, jak Lucas pochyła się nad szufladą, którą umieściła na podłodze przy łóżku. Serce jej mocniej zabiło, gdy ujrzała, jak złagodniały mu przy tym rysy. Gdyby potrafił podobną czułość okazać kobiecie, nie byłoby trudno go pokochać.

Przywoływała się w myślach do porządku. Większości znanych jej mężczyzn tego rodzaju słabości były raczej obce. W przypadku Greywolfa nie wchodziły w ogóle w rachubę. Chcąc uwolnić umysł od tych niemądrych medytacji, zaczęła znowu szczotkować włosy,

Lucas siadł na krawędzi łóżka, ściągnął buty i cisnął je na podłogę.

- Gene powiedział mi, że się cieszy z naszego ślubu.

Zdawkowa konwersacja była tak do Lucasa niepodobna, że Aislinn aż opuściła ramiona i popatrzyła na jego odbicie w lustrze.

- A to dlaczego? - spytała.

Zachichotał, co także było u niego czymś nowym.

- Od lat stara się o rękę mojej matki. Obiecała mu, że się zgodzi, jak wyjdę z więzienia. To małżeństwo

spadło mu jak z nieba - wyjaśnił i wstał, odpinając pas. - Teraz już nie będzie mogła się wymigiwać.

- Nie rozumiem, dlaczego miałyby się opierać
Wydaje się, że Gene to dobry, serdeczny człowiek.

- I taki inny niż twój mąż.

Miała już odłożyć szcztokę, ale po tych słowach znów poszukała wzrokiem jego oczu w lustrze.

- Nie to miałam na myśli.

- Nieważne, co miałaś na myśli. Jestem, jaki jestem.

Poczuła ucisk w gardle, gdy zobaczyła, że zbliża się do niej zdecydowanym, skradającym się krokiem. Wyglądał jak pewny swego samiec na tropie samicy. Zdjął koszulę, rozpiął też dzinsy i Aislinn bezwiednie skierowała wzrok na wąskie trójkątne rozwarcie poniżej pępka. Serce jej mocniej zabiło, trochę ze strachu, a trochę z podniecenia.

W przyćmionym świetle skóra Lucasa przybrała odcień zmatowiałej miedzi. Ciemne włosy na ciele gdzieś tam połyskiwały złociście. Policzki ginęły mu niemal pod wystającymi kośćmi policzkowymi, poprzecinanymi długimi cieniami rzęs.

Patrzył na Aislinn jak orzeł, który za chwilę spadnie na upatrzoną ofiarę. Zdawał się tym spojrzeniem przenikać ją na wylot. Był to wzrok, który parzył i piekł ale Aislinn zadrżała, jakby przeszedł ją zimny dreszcz.

- Lucas?

_ Masz piękne włosy.

Staął tuż za nią, mając biodra na wysokości jej łopatek. Na brązowym tle jego brzucha jej włosy zajaśniały ze zwiększoną intensywnością. Ujął je w dłoń i przesiewał leniwie przez palce niczym złotą przędzę.

Dla Aislinn był to widok urzekająco zmysłowy. I chociaż sama w tym zdarzeniu uczestniczyła, przestoczyła się w obserwatorkę, udając, że wszystko to przydarza się komuś innemu. Tylko w ten sposób mogła się w tę sytuację nie angażować.

Jednak kiedy Lucas rozpostarł garść jej włosów na swoim brzuchu i rozcierał je niczym pianę, serce niemal wyskakiwało jej z piersi.

Gdyby przyznała się przed sobą, że bierze również udział w takiej erotycznej igraszce, mogłaby się odwrócić i całować jego płaski jak deska brzuch. Mogłaby błędzić wargami wokół jego pępka, a potem przenieść je niżej.

Lucas puścił jej włosy i objął dłońmi jej szyję, muskając ją delikatnie palcami.

- Dlaczego twoja biała skóra tak na mnie działa?
- zapyta! chrapliwie. - Wolałbym jej nie cierpieć.

Gładził z wolna jej uszy, a kiedy lekko je ścisnął, westchnęła i bezwiednie odchyliła głowę do tyłu i oparłszy się o brzuch Lucasa, kołysała nią z boku na bok. Patrzyła, jak jej włosy przesuwają się po jego ciemnej skórze i myślała, że to wygląda pięknie.

Lucas położył jej dłonie na barkach i wsunął je pod koronkowy karczek jej koszuli. Podniosła półprzymknięte powieki i ich oczy spotkały się w lustrze.

- Chcę oglądać moje ręce na tobie - powiedział.

Niczym zahipnotyzowana patrzyła, jak jego palce suną w dół, coraz niżej, zsuwając z jej ramion koszulę. Westchnęła głęboko, kiedy położył jej dłonie na piersiach.

Nie odrywali ani na chwilę wzroku od lustra. Fascynował ich kontrast między jego twardymi męskimi dłońmi a aksamitną miękkością pagórków, po których się poruszały. Lucas umiejętnie dozował pieczętę, delikatnie igrał z brunatnymi czubeczkami, aż zaczęły pulsować błogą bolesnością.

Jednocześnie w Aislinn wzbierał stopniowo inny ból, coraz trudniejszy do zniesienia. Tylko w jeden sposób można go było uśmierzyć.

Ale to właśnie było niemożliwe.

Uzmysłowiwszy to sobie, Aislinn odrzuciła raptownie ręce Lucasa, zerwała się z miejsca, naciągnęła koszulę i zwróciwszy ku niemu twarz powiedziała dwa słowa:

- Nie mogę.

Wydał gardłowy pomruk, chwycił ją za ramiona i przyciągnął do siebie.

- Jesteś moją żoną.

- Ale nie twoją własnością - wybuchnęła, próbując się odsunąć. - Puść mnie.

- Mam prawo.

Zanurzył palce w jej włosy, objął jej głowę od tyłu i zmusił do podniesienia twarzy. Chciała go odepchnąć i jej ręce wylądowały na jego klatce piersiowej, prawie pod pachami. Skórę miał gładką i ciepłą. Mięśnie przyjemnie twarde. Miała ochotę zatopić w nich zęby. Jej opór gasł.

Jednakże nie powinna ulec. Owszem, są małżeństwem. Wiąza się z tym pewne przywileje, zgoda. Ale czy można pominąć przy tym miłość? Lub chociażby wzajemny szacunek? Przecież Lucas gardził nią i wszystkim, z czym była dotychczas związana. Nie będzie mu służyć jako instrument do zaspokajania żądz.

Poza tym istniał jeszcze inny powód przemawiający za tym, żeby mu odmówić. A że jest on znacznie bardziej przekonujący, wykorzysta go jako koronny argument.

- Posłuchaj, Lucas - wykrztusiła w ostatniej chwili, gdy sięgał już wargami jej ust. - Tony ma dopiero miesiąc. - Widząc, że oczy zabłyśły mu niespokojnie, dodała pośpiesznie; - Pytałeś mnie dzisiaj, czy zadałeś mi wtedy ból, a ja powiedziałam, że nie. I to prawda. Ale gdybyś... Gdybyśmy... to teraz zrobili, mógłbyś mi wyrządzić krzywdę. Jeszcze nie wszystko się zagoiło.

Spojrzał jej w twarz, oddychając szybko. Z wolna pojmował sens wypowiedzianych przez nią słów. W końcu puścił ją i odsunął od siebie. Aislinn nerwowo zwilżyła usta językiem.

- Na litość boską, nie rób tego! - syknął. Przeczeszał palcami włosy i ukrył twarz w dłoniach, wciskając głęboko palce w oczodoły, po czym bardzo powoli przeciągnął ręce ku dołowi, odsłaniając policzki.
- Idź do łóżka - powiedział.

Aislinn sprawdziła, czy Tony śpi i wsunęła siew pachnącą słońcem pościel Alice. Przykryła się nadto lekkim kocem, ponieważ włączony był klimatyzator.

Zamknęła oczy, ale słyszała, jak Lucas zdejmuje spodnie. Spod przymrużonych powiek dostrzegła jego nagość. Potem lampa zgasła i pokój pogrążył się w ciemnościach.

Leżąc myślała nieustannie o tym, że Lucas jest tuż obok, nagi i spięty. Nie dotykali się, ale czuła ciepło jego ciała. Jego rytmiczny oddech działał na nią podniecająco i kojąco zarazem. Pozostawała w napięciu, póki nie przekreślił się wreszcie na bok i odwrócił do niej plecami.

Dopiero wtedy mogła się na tyle odprężyć, aby zapaść w sen.

Kiedy otworzyła oczy, dostrzegła różowoszary po-blask świtu. Tony spał nieprzerwanie całą noc, ale

miała nadzieję, że zaraz się obudzi. Wezbrane piersi dawały o sobie znać i właśnie to wyrwało ją ze snu.

Uniosła nieco wyżej powieki i przeleżała się widząc, że Lucas leży niepokojąco blisko. Dotykała niemal nosem jego piersi. Mogła policzyć porastające ją włoski. Była zadowolona, że dzięki swojemu białemu ojcu Lucas miał zarost na twarzy i klatce piersiowej.

Był odkryty do pasa. Miała ochotę dotknąć jego gładkiej, śniadej skóry, ale się opanowała. Wędrowała wzrokiem od szyi i mocnego podbródka do ładnie wykrojonych, iecz nieco zbyt surowych ust. Nos miał wąski i prosty, a nie płaski jak wielu Apaczów. To także zawdzięczał ojcu.

Wzdrygnęła się lekko, gdy odgadła, że nie śpi i bacznie ją obserwuje. Jego kruczoczarne włosy wydawały się jeszcze ciemniejsze na białym tle poduszki.

- Wcześniej się obudziłeś - szepnęła. - Dlaczego?

- Przyzwyczajenie. - Uniósł rękę i Aislinn z nie-małym wysiłkiem powściągnęła odruch obronny, pozwalając mu ująć faliste pasemko włosów na jej policzku. Studiował je przez chwilę z wielką uwagą, po czym ułożył na poduszce obok jej głowy z przesadną ostrożnością. - Nieczęsto zdarzało mi się w ostatnich latach budzić obok kobiety - powiedział. - Ładnie pachniesz.

- Dziękuję.

Inny mężczyzna zapytałby: „Co to za perfumy?”.

Albo pochwalił ich wykwimny zapach. Komplementy Lucasa nie były wyszukane, lecz wyrażały dokładnie to, co chciał wyrazić. „Ładnie pachniesz”. Podobała jej się prostota tych słów.

Dotknął jej. Jego palce wędrowały po jej twarzy z ciekawością dziecka, które po raz pierwszy wpuszczone zostało do pełnego sekretów salonu. Brwi. Nos. Usta. Każdemu dotknięciu towarzyszyło wnikliwe spojrzenie. Wodził tam i z powrotem po jej szyi i dekolcie.

- Jaka gładka skóra - powiedział z zachwytem.

Nagle odrzucił z niej pościel. Leżąc bez ruchu nie sprzeciwiała się też, gdy zsunął jej koszulę z piersi. Był przecież jej mężem. Nie mogła go powstrzymać. Zresztą doszła do wniosku, że wcale tego nie chce.

Była przekonana, że nie zrobi jej nic złego. Gdyby przemoc leżała w jego charakterze, mógł jej dać ujście już wiele razy. Pamiętała, jak delikatnie opatrywał jej rękę. Poza tym przysiągł przecież, że jej nie skrzywdzi i uwierzyła mu. Leżała więc całkiem spokojnie, a on pochłaniał oczami jej piersi i wodził palcem po jej skórze.

Zacisnął z podniecenia zęby. Przez króciuteńką chwilę popatrzył Aislinn prosto w oczy, po czym przycisnął usta do jej szyi. Po chwili z gardłowym pomrukiem zsunął się niżej, przytulając się do jej piersi.

Muskał wargami jej skórę, czuła wilgotne ciepło jego języka. Zmobilizowała całą siłę woli, aby nie zanurzyć mu dłoni we włosach i nie przygarnąć do siebie jego głowy. Wiedząc jednak, ile jego samego kosztować musi okiełznanie zmysłów, nie śmiała się poruszyć. Byłoby okrucieństwem inicjować coś, co nie mogłoby zostać spełnione.

Uniosł nieco głowę i popatrzył na jej nabrzmiałe piersi.

- Czy gdybym... To mleko by pociekło?
Skinęła głową.

Skurecz żalu przebiegł mu przez twarz. Cofnął się trochę, po czym zsunął jej koszulę bardziej ku dołowi. Teraz widział wszystko.

Przywarł wzrokiem do jej brzucha. Dotknął złota-wej kępki włosów. Oddychał ciężko i prędko. A że odrzucił już od siebie przykrycie, władające nim pożądanie objawiało się w całej okazałości.

Nagle pochwycił ją za przegub. Zaskoczona gwałtownością ruchu, uniosła pytająco wzrok.

- Jesteś moją żoną - szepnął. - Nie możesz mi odmówić.

Zanim zorientowała się, o co mu chodzi, pociągnął jej rękę w dół i położył sobie na brzuchu. Otworzyła usta, by zaprotestować, ale poczuła na ruch jego wargi.

Odwrócił ją na plecy i usiadł na jej udach. Kierował

jej palcami, i niebawem jej dłoń znalazła właściwy rytm. To, co się później stało, miało w sobie tyle najpoufalszej czułości i tyle przenikającego na wskroś wzruszenia, że oboje dali się ponieść bez reszty.

I zdawało się im, że mija wieczność.

Wreszcie opuścił głowę na jej pierś. Ciężko dysząc, zanurzył nieprzytomnie palce w jej włosy, jak gdyby szukał czegoś nadzwyczaj cennego, lecz ulotnego i poza jego zasięgiem.

A potem zniecka zsunął się z łóżka i stanął na nogach. Zbierał pośpiesznie swoje ubranie i wciągał je na siebie z irytacją. W końcu naciągnął buty i nie oglądając się pchnął drzwi i wyszedł.

Aislinn zrobiło się niezmiernie przykro. Leżała i patrzyła na drzwi rozżalona, że Lucas nawet na nią nie spojrzął po tym, co między nimi zaszło. Dla niej byto to piękne. Kiedy jego usta nabrały miękkości, kiedy język stał się mniej natarczywy, nie potrzebował jej wcale zmuszać do pieszczot. Wątpiła jednak, czy zdawał sobie z tego sprawę.

Drżąc przeżywała daiej wstrząs, którego przed chwilą doświadczyli. Ale on się po tym rozżłościł. Czyżby się wstydził? Odczuwał niesmak? Wobec siebie czy wobec niej?

A może po prostu oszołomiło go to, tak samo jak i ją? I podobnie jak ona nie potrafił sobie z tym poradzic?

Oboje musieli w dzieciństwie skrywać uczucia. Ją uczyli tego rodzice. Lucas zamknął się w sobie z powodu wzgardy, jaka go otaczała. Nie umiał być serdeczny ani okazywać czułości. Nie był nawet skłonny przyznać, że coś takiego istnieje.

Teraz już była pewna. Pokochała Lucasa.

I nawet gdyby musiała pracować nad tym do śmierci, sprawi, że on przyjmie jej miłość.

O tym, że nie będzie to łatwe, przekonała się już pół godziny później, kiedy przysłała do kuchni. Lucas siedział przy stole i gawędząc z Alice popijał kawę i jadł naleśniki. Aislinn całkowicie ignorował. Im bardziej usiłowała zwrócić na siebie uwagę, tym wyraźniej unikał jej wzroku. Był przy tym posepny jak chmura gradowa, podczas gdy jej serce pulsowało rozbudzoną miłością. Zarówno przy śniadaniu, jak i podczas jazdy na ranczo, zachowywał się prawie jak niemowa.

Na jej pytania odpowiadał monosylabami. Każda próba nawiązania rozmowy grzęzła w ślepej uliczce. Starła się być miła, ale on ją zbywał. I chociaż patrzyła w niego jak w obraz, ani razu nie zwrócił na nią oczu.

Ujechali już kawał drogi, gdy w końcu odwrócił głowę w jej stronę i spytał napastliwie:

- No i na co się tak gapisz?
- Na ciebie.

- To nie rób tego.
- Bo cię to denerwuje?
- Bo mi się to nie podoba.
- A mnie bardzo.
- Popatrz lepiej na krajobraz.
- Kiedy przekłułeś sobie ucho?
- Wiele lat temu.
- Dlaczego?
- Bo chciałem.
- Pasuje do ciebie.
- Do mnie? - rzucił drwiąco, odwracając na moment spojrzenie od drogi. - To znaczy, że nie ma nic dziwnego w tym, że mężczyzna przekłuje sobie ucho pod warunkiem, że jest Indianinem?

Aislinn nie dała się wyprowadzić z równowagi.

- To tylko znaczy - odrzekła łagodnie - że z kolczykiem jest ci do twarzy.

Lucas rozchmurzył się na chwilę, lecz wkrótce skupił uwagę na autostradzie, która wiodła ku wyższym partiom Gór Białych.

- Ja także mam przekłute uszy-dorzuciła.-Może będziemy się zamieniać na kolczyki.

Próba rozweselenia go spaliła na panewce. Nawet jeśli dosłyszał jej żart, nie dal tego po sobie poznać. Pomyślała, że zamilkł na dobre, ale po minucie czy dwóch odezwał się:

- Noszę tylko ten jeden kolczyk.

- Czy ma on dla ciebie jakieś szczególne znaczenie?

- Zrobił go mój dziadek.

- Był złotnikiem?

- Między innymi - odparł cierpko. - Czy to takie dziwne, że Indianin może mieć kilka talentów?

Puściła tę zaczepkę mimo uszu. Przyszło jej to tym razem z większym trudem, lecz zdołała się opanować. Kładła jego opryskliwość na karb upokorzenia, za jakie zapewne uważał poranny incydent w łóżku. Odślonił swoją słabość i nie mógł tego ścierpieć. Pod swą nieprzeniknioną maską ukrywał niesłychaną wrażliwość. Jak każda ludzka istota, chciał kochać i być kochanym. Nie życzył sobie tylko, żeby ktokolwiek o tym wiedział.

Agresywność, jaką demonstrował, była jedynie mechanizmem obronnym. Karał sam siebie za to, że jest bękartem, że był ciężarem dla młodocianej matki, nawet za to, że jest Indianinem. Był wobec siebie tak surowy, że poszedł do więzienia za czyny, których się nie dopuścił. Obiecała sobie, że nie spocznie, póki nie wydobędzie na światło dnia wszystkich ran w jego duszy i nie zagoi ich swoją miłością.

- Nie przyznałeś mi się, że masz ziemię. Wiem, wiem - dodała pośpiesznie, podnosząc dłonie gestem poddania. - Nie pytałam cię o to. Czy zawsze muszę pytać, żeby się czegoś od ciebie dowiedzieć?

- Mówię ci tylko to, co moim zdaniem powinnaś wiedzieć.

Była zdruzgotana tym horrendalnym świadectwem męskiego szowinizmu.

- Według ciebie kobieta ma być milczącym cieniem swego pana i władcy, tak? Wobec tego niech się pan dobrze zastanowi, panie GreywoSf, bo pańska żona zamierza być równoprawnym partnerem w tym małżeństwie, a jeśli to panu nie odpowiada, to może nie trzeba było tak pędzić panny Andrews do ślubu.

- Co chcesz wiedzieć? - wycodził przez zęby, zaciskając palce na kierownicy.

Nieco ułagodzona, oparła się wygodniej o fotel.

- Odziedzyczyłeś tę ziemię po dziadku?

- Tak.

- Czy to tam, gdzie... byliśmy przedtem?

- Masz na myśli hogan? Tak, stał tam za tym pasmem wzgórz - wskazał brodą kierunek.

- Stał?

- Kazałem go spalić.

Zaskoczona zamilkła i minęło kilka minut, nim zadała mu następne pytanie.

- Jak duże jest to ranczo?

- Niejesteśmy bogaci, jeśli o to ci chodzi - odparł.

- Nie o to. Pytałam, ile masz ziemi.

Rzucił jej cyfrę, która zrobiła na niej wrażenie.

- To mizerne resztki, większość dostała się w łapy

oszustów. Znaleziono tam uran, ale dziadek nigdy nic z tego nie miał.

- Co się hoduje na tym ranczu? Bydło?

- Konie.

- Nie rozumiem - rzekła po namyśle. - Dlaczego twój dziadek umierał w biedzie, skoro miał tyle ziemi i stado koni?

Poruszyła najwidoczniej czułą strunę, gdyż Lucas popatrzył na nią zmieszany.

- Joseph był bardzo dumny. Uważał, że wszystko powinno się nadal toczyć zgodnie z tradycją.

- Innymi słowy, nowoczesność nie miała wstępu na ranczo.

- Coś w tym rodzaju - mruknął.

Wzruszyło ją, że Lucas bronił dziadka, choć najwyraźniej nie podzielał jego staroświeckich poglądów na sposób prowadzenia rancza.

Reszta podróży upłynęła w milczeniu. Kiedy Lucas skręcił z autostrady na polną drogę, domyśliła się, że są już niedaleko celu.

- Dojeżdżamy? - zapytała.

Kiwnął głową.

- Nie spodziewaj się za wiele.

Ale to, co ujrzeli na miejscu, zaskoczyło bardziej jej niż ją.

- Co to do diabła ma znaczyć? - wymamrotał, kiedy pick-up wdrapał się na ostatni pagórek.

Otworzyła szeroko oczy, starając się ogarnąć od razu cały widok i wchłonąć go w siebie, jak dziecko, które po raz pierwszy w życiu znalazło się w cyrku.

Gospodarstwo Lucasa położone było pomiędzy dwoma niewysokimi wzgórzami o kształcie podkowy. Po jednej stronie znajdowała się spora zagroda. Dwóch jeźdźców wpędzało akurat do niej stadko koni. W pobliżu widać było starą, mocno podniszczoną stodołę.

Na przeciwnym zagięciu podkowy stała przyczepa mieszkalna. Odrapana i wyblakła, wyglądała lak, jakby lada chwila miała się rozpaść.

Natomiast pośrodku podkowy rzucał się w oczy otynkowany domek, niemal dokładnie w kolorze skalnej ściany, która wznosiła się pionowo tuż za nim. Trudno było sobie wyobrazić idealniejsze wtopienie siew krajobraz.

Wokół domu wrzała wyteżona praca. Pośród nawoływania robotników rozlegał się stuk młotków i jazgotliwy świst tnącej drewno piły.

Lucas zahamował i wysiadł z samochodu. Od grupki pracujących przy domku ludzi oderwał się ubrany po kowbojsku mężczyzna. Zamachał na powitanie ręką i podbiegł do pick-upa. Był niższy i bardziej krępy niż Lucas. Szedł kołysząc się krokiem charakterystycznym dla kogoś, kto spędza mnóstwo czasu w siodle.

- Johnny, co się tu, do cholery, dzieje? ~ spytał Lucas bez słowa powitania.

- Szykujemy ci chałupę.

- Miałem zamiar mieszkać w przyczepie, aż zbiorę dość forsy, żeby wykończyć dom.

- No, to już masz to z głowy - powiedział Johnny, mrugając wesoło czarnymi oczami. - A w ogóle to witaj. Dobrze, że wróciłeś - potrząsnął ręką Lucasa, który prawie tego nie zauważył, patrząc ponad ramieniem kowboja w stronę domostwa.

- Nie stać mnie, żeby za to zapłacić.

- Już zapłaciłeś.

- Co ty chrzanisz? Czy moja matka wie coś o tym?

- Tak, ale obiecała, że nie piśnie ci ani słowa. Zaczęliśmy robotę, jak tylko było wiadomo, kiedy wyjdiesz, żeby wszystko było gotowe na twój powrót. Dobrze, że nie przyjechałeś od razu, bo zyskaliśmy parę dni.

Johnny mówił z widocznym roztargnieniem, a kiedy jeszcze zobaczył wysiadającą z samochodu Aislinn, widać było, że zżera go ciekawość. Podeszła do nich trzymając na ręku „dziecko, osłonięte kocykiem przed palącym słońcem.

- Cześć - odezwała się pierwsza.

Lucas odwrócił się, dopiero teraz zauważając jej obecność,

- To Johnny Deerinwater, a to moja... żona - przedstawił ich sobie.

- Jestem Aislinn - powiedziała wyciągając rękę.
Johnny pochwycił serdecznie jej dłoń i zdjął słomiany kowbojski kapelusz.

- Miło mi panią poznać. Alice dała nam znać, że Lucas się ożenił. Ten skur... czybyk chciał to chyba trzymać przed kumplami w tajemnicy.

- Pewnie dzwoniła dziś rano?

- Tak. Zaraz po waszym wyjeździe. Pracujemy już kilka tygodni, ale zakurzyło się nam z tyłków na wiadomość, że przyjeżdżasz z żoną i dzieckiem. Skoro o nich mowa, niech uciekają z tego słońca.

Odstąpił na bok, dając znak Aislinn, by pierwsza ruszyła ścieżką do domu. Robotnicy przyglądali się jej z zaciekawieniem, a kiedy uśmiechnęła się do nich, odpowiedzieli uśmiechami, jedni nieśmiało, inni nieufnie.

Johnny i Lucas poszli w ślad za nią.

- Cóż .po śmierci Josepha - opowiadał po drodze Johnny - robiliśmy, co się dało, żeby wykarmić stado, ale nic poza tym. Konie rozpierzchły się Bóg wie gdzie. Od tygodni staramy się je pozbiierać, ale jeszcze wielu brakuje.

- Znajdę je-powiedział Lucas.

Tymczasem Aislinn weszła na niski, szeroki ganek i przekroczyła próg domu. Owioną! ją mocny, ale przyjemny zapach surowego drewna i świeżej farby. Białe ściany dodawały wnętrzom przestronności.

Dom miał dużo okien, nagie belki stropowe i kafelkowe podłogi. W największym pokoju był ogromny kominek i Aislinn widziała już oczami wyobraźni, jak w zimne wieczory płonie w nim wesoły ogień, trawiąc z trzaskiem polana.

Spojrzała rozpromieniona na Lucasa, który był nie mniej oszołomiony niż ona.

- Kiedy stąd wyjeżdżałem, były tu tylko gołe ściany - powiedział. - Johnny, kto to wszystko załatwił?

- No cóż, pewnego razu przy kawie zgadaliśmy się na ten temat z Alice - odparł, ocierając bandaną spoczone czoło. - Pomyśleliśmy, że można by ściągnąć od niektórych ludzi należności za twoje usługi prawne. Tyle że nie w gotówce, lecz w naturze. Na przykład Walter Kincaid położył dachówkę, Pete Dekon wziął na siebie instalację hydrauliczną i tak dalej. Niektóre urzędnicy, proszę pani - zwrócił się do Aislinn - były używane, ale doprowadziliśmy je do takiego stanu, że działają jak nowe.

- Wszystko jest wspaniałe - powiedziała, patrząc na piękny kilim indiański, utkany przez czyjaś babcie dla Lucasa. - Dziękuję za wszystko i proszę mi mówić po imieniu.

Skinął głową z uśmiechem.

- Co do mebli, to udało nam się wytrzasnąć tylko szafki do kuchni. Aha, dziś rano zdobyliśmy jeszcze, no... łóżko - zacerwienił się jak burak.

- Mam trochę mebli, które się tu mogą przydać - rzekła prędko. Lucas rzucił jej szybkie spojrzenie, ale nie odezwał się, za co była mu wdzięczna. Nie chciała, żeby doszło między nimi do sprzeczki w obecności jego przyjaciół. Ich małżeństwo nie było wprawdzie typowe, ale o tym nie musiał nikt wiedzieć.

- Linda, to znaczy moja żona, przyniesie po południu trochę jedzenia.

- Cieszę się, że ją poznam.

Z zewnątrz dobiegł odgłos silnika podjeżdżającej przed ganek ciężarówki. Johnny wyjrzał przez drzwi.

- Przywieźli sprzęt oświetleniowy - zakomunikował.

- Nie mogę za to zapłacić - powtórzył zasepiony Lucas.

- Masz otwarty kredyt - Johnny mrugnął do Aislinn i zbiegł z ganku, wykrzykując w locie komendy.

- Może byś mi pokazał, gdzie jest sypialnia - rzekła ostrożnie Aislinn - to położyłabym dziecko.

- Nie bardzo wiem, który to pokój - odparł nadal zirytowany. - Nie mogę się tu wciąż rozeznąć.

- A gdzie przedtem mieszkałeś? - spytała, idąc za nim przez korytarz. - W przyczepie?

- Tak. Kleciłem ten dom przez kilka lat, krok po kroku, gdy tylko wpadło mi w ręce trochę pieniędzy.

- Podoba mi się - powiedziała, zaglądając do po-

koju, który przeznaczony był chyba na główną sypialnię. Miał szerokie okno z widokiem na góry.

- Nie musisz się silić na pochwały.

- Naprawdę tak uważam.

- W porównaniu z twoim gniazdkiem w mieście to przecież nora.

- Wcale nie. Urządzę to jakoś i...

- Wybij sobie z głowy ściąganie tu swoich mebli

- uciał, wysuwając w jej stronę palec w ostrzegawczym geście.

- A to czemu? - spytała strzepnąwszy na bok jego dłoń. - Bo korzystanie z moich rzeczy zrani twoją cholerną dumę? Czy Indianie nie dobijają targu o żony z przysłymi teściami?

- Tylko w westernach z Johnem Wayne'em.

- Potraktuj to jako mój posag. Możesz zaprzeczyć, ale ja wiem, że dla indiańskich kobiet był on sprawą honoru.

- Potrafię sam zadbać o rodzinę.

- Nigdy w to nie wątpiłam.

- Kupię meble, jak tylko sprzedam kilka koni.

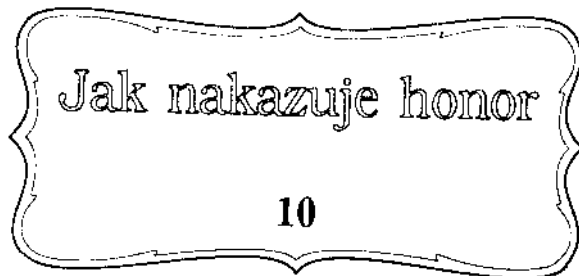
- A tymczasem twój syn ma spać na podłodze?

Odruchowo spojrzął na dziecko, które Aislinn zaraz po wejściu do pokoju ułożyła na szerokim łożu. Tony obudził się już i rozglądał wokoło z zainteresowaniem, jak gdyby orientując się, że jest w nowym otoczeniu.

Lucas pochylił się i pogłaskał go wskazującym palcem po buzi. Tony otworzył piąstkę i złapał ojca za palec, instynktownie ciągnąc go w stronę ust. Lucas zaśmiał się cicho.

- Widzisz - szepnęła Aislinn. - Chcesz tego czy nie, są tacy, co cię kochają.

Zamierzył ją lodowatym spojrzeniem, po czym obrócił się na pięcie i wypadł z pokoju.



W ciągu kilku następnych tygodni zaszły w ich życiu nadzwyczajne zmiany. Przyjaciele Lucasa wykończyli pod nadzorem Johnny'ego wnętrze domu, który z pewnością nie należał do luksusowych, ale był bardzo wygodny. Aislinn wykorzystała swój dobry gust i zdolności dekoratorskie, zakasała rękawy i sprawiła, że wyglądał jak z obrazka.

Gdy tylko założono im telefon, zadzwoniła do firmy transportowej w Scottsdale w sprawie przywozu mebli z jej mieszkania, nie zapominając o pralce automatycznej z suszarką.

Wóz meblowy przyjechał w kilka dni później. Akurat w trakcie rozładunku pojawił się Lucas na koniu. Kiedy Aislinn ujrzała go pierwszy raz w siodle, nie mogła oderwać wzroku. Było mu dobrze w wełnianej koszuli, drelichowych spodniach, butach z cholewami, kapeluszu i skórzanych rękawiczkach. Często

przerywała domowe zajęcia, aby popatrzeć na niego przez okno.

Jednakże teraz, gdy podjeżdżał pod dom, miał tak zagniewaną twarz, że się przestraszyła. Z brzękiem ostróg przebiegł przez ganek.

- Mówiłem ci, żebyś nie sprowadzała tych gratów - rzucił niebezpiecznie cichym głosem.

- Nie rozumiem dlaczego - stawiała mu czoło, nie bacząc na jego groźną minę.

- Nie będę się wdawał z tobą w dyskusję. Powiedz tym ludziom, żeby załadowali wszystko z powrotem i odwieźli do Scottsdale. Obejdzie się bez twojej filantropii.

- Nie robię tego dla ciebie. Ani dla mnie.

- No, Tony jeszcze nie musi rozsiadać się na kanapie - odparł zgryźliwie. Był przekonany, że Aislinn, chcąc postawić na swoim, zasłania się dobrym dzieckiem.

- Robię to z myślą o Alice.

Twarz mu się komicznie wydłużyła.

- Dla mamy?

- Tak. Zgodziła się wyprawić tutaj swoje wesele. Czy pozwolisz, żeby jej goście siedzieli na podłodze?

Żyły nabrzmiały mu na skroniach. Przyparła go do muru. Co gorsza czuł, że i ona o tym wie. I chociaż z jednej strony był skłonny pogratulować jej udanego podstępu, to zarazem był tak zły, że chętnie by ją udusił.

Piorunując ją wzrokiem policzył w myślach do dziesięciu, po czym odwrócił się, wypadł z ganku, dosiadł konia i odjechał, wzbijając chmurę pyłu.

Przez całe popołudnie Aislinn zajęta była rozmieszczeniem mebli. Nie spodziewała się, że będą w tym domu tak dobrze wyglądały. Zawsze lubiła styl południowego zachodu i urządzając mieszkanie w mieście dobierała sprzęty pod tym kątem. Ale tu ich pustynna tonacja zagrała jeszcze lepiej, zwłaszcza w połączeniu z dziełami sztuki ludowej, jakie Lucas dostał w prezencie.

Przed wieczorem była już bardzo zmęczona, ale chcąc wynagrodzić Lucasowi poranną potyczkę, postanowiła przyrządzić szczególnie dobrą kolację. Wprawdzie kuchnia nie była tak dobrze wyposażona jak w Scottsdale, ale odznaczała się za to wygodną przestronnością.

Niestety, jak na złość, Tony utrudniał jej zadanie, płacząc i marudząc bez wyraźnego powodu. Wstawiwszy jedzenie do piecyka, wzięła szybko kąpiel. Chciała wyglądać świeżo, gdy Lucas przyjdzie na kolację.

Zjawił się bardzo późno, dobrze po zmroku, ale nie robiła mu żadnych wymówek.

- Napijesz się piwa? - spytała.

- Dobra myśl - odrzekł posepnie, zdejmując buty przy drzwiach. - Idę wziąć prysznic - powiedział

i bez słowa podziękowania poszedł z otwartą puszką do łazienki. Gdyby się obejrzał, być może roześmiałyby się na widok grymasu, jaki zrobiła za jego plecami.

Kiedy wrócił, jedzenie już stało na stole, nakrytym jednym z obrusów Aislinn. Sztućce i talerze także pochodziły z jej mieszkania. Lucas nie skomentował tego ani słowem. Usiadł i zaczął szybko pochłaniać jedzenie.

- Co to za hałas? - spytał po chwili.
- Pralka automatyczna.
- Pralka automatyczna?
- Tak. Pierze i od razu suszy. To wielka wygoda, inaczej musiałabym co kilka dni jeździć do pralni w miasteczku, bo Tony strasznie brudzi. W dodatku musiałabym go zabierać ze sobą, co w zimie nie byłoby dobre.

Tak jak przypuszczała, zerknął na dziecko leżące w nosidle na stole, aby mogło słyszeć ich głosy i być niejako uczestnikiem posiłku. Korzyści płynące z posiadania pralki przemówiły chyba Lucasowi do przekonania, ale nie powiedział ani słowa.

Aislinn poczuła, jakby ktoś jej zdjął kamień z piersi.

- Cudownie, że mały będzie miał swój pokój - rzuciła, dokładając Lucasowi ziemniaków. - Nie będę się martwiła, że spadnie z łóżka albo ze stołu. Zauważyłeś, jaki się robi aktywny? I nie będzie już musiał

spać między nami - dodała, wycierając usta serwetką i spuszczać skromnie powieki.

Lucas zastygł na chwilę z widelcem w pół drogi od ust. Przełknął jeszcze kęs, po czym odsunął od siebie talerz i wstał nagle od stołu.

- Mam jeszcze trochę roboty - powiedział.
- Upiekłam placek na deser.
- Może trochę później.

Przygnębiona patrzyła, jak znika za drzwiami. Powinna być zadowolona, że nie doszło znów do sprzeczki o meble, ale była rozczarowana, że odszedł tak szybko, i to w chwili, gdy napomknęła o spaniu bez Tony'ego.

Dotąd brali go z konieczności na noc do swojego łóżka, ale wątpiła, czy to tylko dlatego Lucas nie dotknął jej ani razu od czasu noclegu u Al ice. Traktował ją z obojętnością, jeśli nie liczyć wybuchających niekiedy kłótni. Poza tym prawie nie zaszczycił jej nawet spojrzeniem. A kiedy już to czynił, w jego wzroku z pewnością nie płonęło pożądanie.

Zresztą, nie o to tylko przecież jej chodziło, myślała układając dziecko do snu. Najbliżsi sąsiedzi mieszkali w odległości wielu mil. Rano Lucas połykał pośpiesznie śniadanie i wracał dopiero wieczorem. Po całym dniu spędzonym wyłącznie z dzieckiem miała ochotę porozmawiać. Ale Lucas zachowywał grobowe milczenie.

W domu trzymana była krótko i rodzice raczej nie dopuszczali jej do głosu. Nie zamierzała spędzić reszty życia jak niemowa. Postanowiła, że weźmie byka za rogi i nie pozwoli panu Greywolfowi skazywać się na wieczne milczenie.

Po raz pierwszy od tygodni położyła dziecko w jego własnym łóżeczku. W pół godziny później weszła z tacą do salonu. Lucas siedział na kanapie obłożony papierami i zapisywał coś w czarnym notesie. Nie zauważył nawet, kiedy podeszła i zaświeciła lampę. Podniósł głowę i podziękował jej.

- Będziesz lepiej widział. Jak możesz czytać niemal po ciemku?

- Nie zwróciłem na to uwagi.

Pomyślała, że zapewne nie chce używać „jej” lampy, chociaż siedział przecież na „jej” kanapie, ale powstrzymała się od komentarza.

- Przyniosłam ci kawę i placek - powiedziała, stawiając tacę na małym stoliku.

- Jaki?

- Co jaki?

- Placek.

- Jabłkowy. Lubisz szarlotkę?

- W więzieniu nauczyłem się nie grymasić.

- No to po co pytasz? - fuknęła.

Nie raczył odpowiedzieć, lecz w mgnieniu oka rozprawił się z wielkim kawałkiem ciasta. Wyrzucała so-

bie, że wcześniej nie wykorzystała jego słabości do słodyczy. Najwidoczniej od dawna jej nie folgował. Odtąd będzie zawsze przyrządzać desery.

Dokończył ciasto, odstawił talerzyk i znów wsadził nos w dokumenty.

- Czy to dotyczy rancza? - spytała,

- Nie. To problemy sądowe. Mój klient - zawahał się, bo przecież nie wolno mu było mieć żadnych klientów - hm, chciałby wiedzieć, czy powinien złożyć apelację.

- A powinien?

- Myślę, że tak.

Zrobił kolejną notatkę, a Aislinn usiadła w rogu kanapy, podwinąwszy pod siebie nogi.

- Lucas - zagadnęła. - Chciałabym z tobą porozmawiać.

Odłożył pióro i notes i sięgnął po stygnącą kawę.

- Tak? A o czym?

- Razem z meblami przywieziono mój sprzęt fotograficzny. I mam wielką ochotę trochę się nim znów pobawić. - Powiedziawszy to nabrała głęboko powietrza w płuca i skubiąc nerwowo frędzełki przy poduszce wypaliła: - Zastanawiam się, czy mogłabym sobie urządzić ciemnię w tej starej przyczepie.

Podniósł wzrok, lecz zanim zdążył otworzyć usta, dodała pośpiesznie:

- To nie wymagałoby wielkich przeróbek. W czę-

ści kuchennej jest zlew. Większość roboty wykonałabym sama. Pomyśl, jaka to będzie frajda, wywoła się od razu zdjęcia Tony'ego i zrobimy tyle odbitek, ile zechcemy. No i mogłabym robić powiększenia i...

- Nie jestem głupcem, Aislinn - po raz pierwszy od wielu dni zwrócił się do niej po imieniu i oboje byli tego świadomi. - Przerabianie przyczepy na ciemnię tylko po to, żeby zrobić trochę więcej odbitek, to za wiele zachodu. Co jeszcze się za tym kryje?

- Chcę pracować. Prowadzenie domu mi nie wystarczy.

- Masz dziecko.

- Uwielbiam je i lubię się nim zajmować, ale zostaje mi sporo wolnego czasu. Chcę się czymś zająć.

- Chodzi ci o robienie zdjęć?

- Tak.

- Co chcesz fotografować?

To był niebezpieczny moment. Najwyższa przeszkoła, której obawiała się najbardziej.

- Rezerwat i ludzi, którzy w nim mieszkają.

- Nie ma mowy.

- Posłuchaj. Proszę. Zanim nie zobaczyłam tego na własne oczy, nie miałam pojęcia, że tu jest tyle...

- Nędzy - rzekł szorstko.

- Tak, i...

- Zaniedbania.

- Też, ale...

- Dodaj do tego alkoholizm. I rozpacz. I utratę wszelkiej nadziei. - Podniósł się i zaczął gniewnie chodzić wokół kanapy.

- Chyba tak - przyznała cicho. - To brak nadziei. Ale gdyby uchwycić to na kliszy, gdyby opublikować zdjęcia...

- To nic nie da - uciął krótko.

- Ale i nie zaszkodzi - zerwała się rozłoszczona, że zakrzykuje ją, nie wysłuchawszy do końca jej racji. - Ja chcę to zrobić!

- I pobrudzić sobie te białe rączki?

- Ty też jesteś biały!

- Ale nie prosiłem o to! - krzyknął.

- Wszyscy biali to potwory, tak? Dlaczego nigdy nie wyśmiewasz działalności doktora Dextera w rezerwacie?

- Bo nie jest napuszonym, litościwym dobrodziejem, który udaje, że robi nam nie wiem jaką łaskę.

- I mnie przypinasz też taką łatkę?

- Czy nie wiesz, że twoja przysługa będzie zakrawać na hipokryzję?

- Dlaczego?

- Popatrz choćby, jak mieszkasz - ręką wskazał na pokój. - Zawsze gardziłem Indianami, którzy żerują na innych Indianach. Mają brązową skórę, ale żyją jak biali. Teraz uczyniłaś mnie jednym z nich.

- To nieprawda. Każdy dobrze wie, kim jesteś.

Odwrócił się do niej plecami, ale Aistinn chwyciła go za ramię i obróciła ku sobie.

- Strasznie ci zależy na tej twojej indiańskości. Nie malujesz tylko twarzy i nie wstępujesz na ścieżkę wojenną, ale robisz wszystko, co możesz, żeby wszyscy wiedzieli, jaki to z ciebie dzielny junak! Indianin do szpiku kości mimo domieszki jankeskiej krwi. A może właśnie dlatego.

Umilkła, by nabrać tchu, i podniecona własnymi słowami podjęła po chwili:

- Pouczałeś mnie i wytykałeś mi niewiedzę. Ale ja zawsze myślałam, że Indianie wyróżniają się nie tylko odwagą i męstwem, ale mają też serce i wiedzą, co to współczucie. A tego ci właśnie brak - mówiła szturchając go palcem w pierś. - Nie ma w tobie serdeczności, bo uważasz, że to oznaka słabości. A ja myślę, że taki upór to większa słabość niż odrobina czułości.

- Zdarza mi się i to - rzekł pojednawczo.

- Czyżby? Iako twoja żona jeszcze tego nie zamięliłam.

Wylądowała w jego objęciach, zanim zdążyła się zorientować, że przyciąga ją do siebie. Jedną ręką trzymał ją w pasie, drugą ujął za policzek i pochylił na bok jej głowę, tak że prawie stykała się z jego ramieniem.

A potem pocałował ją miękko w usta. Rozchyliła wargi. Poczowała jego język w swych ustach

i przeszedł ją dreszcz. Przedtem całował ją zwykle w sposób gwałtowny, tym razem robił to wyjątkowo delikatnie. Był to długi pocałunek i stopniowo nabierał cech miłostnego aktu. Aislinn zwiśla mu w ramionach, czepiając się kurczowo jego koszuli. Odjawszy w końcu usta od jej warg, wtulił twarz w jej szyję i szepnął z bólem:

- Nie chcę. Nie chcę.

Przycisnęła się do niego mocniej, wyczuwając, że jego ciało przeczy słowom.

- Ależ tak. Chcesz. Bardzo chcesz.

Zanurzyła dłoń w jego włosy i uniosła mu głowę. Jej palec odbył wędrówkę po jego brwiach, wypukłości policzka, wzdłuż nosa, po czym obrysował linię ust.

- Ty przecież nigdy nie zdradzisz swoich współplemieńców - powiedziała.

Jej łagodność obezwładniła go. Od zapachu jej ciała kręciło mu się w głowie. W zasnutych mgiełką oczach Aislinn wyczytał, że go pragnie, i powoli tracił zawziętość, z której czerpał siłę. Chciał zakosztować smaku Aislinn, zapominając o nędznie ubranych dzieciach, o rozpaczliwej niedoli mieszkańców rezerwatu.

Ale to ona jest przecież jego najgroźniejszym przeciwnikiem, gdyż wodzi go na pokuszenie. Dał się złąpać na haczyk jej powabów. Przerazające było to

uczucie, które brato w nim teraz górę. Musi użyć natychmiast broni, którą ma zawsze na podorędziu. Broni najostrzejszej: pogardy.

- Już stałem się zdrajcą. Mam jankeskę za żonę.

Aislinn skurczyła się, jakby ją uderzył. Odsunęła się od niego, oczy jej zwilgotniały. Nie chcąc, by dostrzegł jej łzy, odwróciła się i pobiegła do sypialni, trzasnąwszy za sobą drzwiami.

Godzinę później, kiedy Lucas wszedł do sypialni, udała, że śpi. Tony nie odgradzał ich już od siebie w łóżku, lecz wrogość stała między nimi jak mur.

W dniu ślubu Alice i doktora, Aislinn robiła dobrą minę do złej gry, starając się sprawić wrażenie, że jej małżeństwo z Lucasem układa się znakomicie. Dekoracje weselne nie były może nazbyt wyszukane, ale atmosfera panowała świąteczna. Goście bawili się doskonale, Aislinn zaś wywiązała się bez zarzutu z roli gospodyni. Była wesoła, pełna wdzięku i zdawała się być w prawdziwie dobrym nastroju.

Nowożeńcy pojechali w podróż poślubną do Santa Fe. Nawet tam Gene Dexter nie był z początku pewien, że jego marzenia się ziściły.

- Nie mogę uwierzyć, że jesteś wreszcie moją żoną
- mówił, gładząc Alice po włosach.
- W kościele było pięknie, prawda?

- Ty byłaś piękna. Jak zwykle zresztą.

- Aislinn zadała sobie bardzo dużo trudu. Nie przypuszczałam, że przyjęcie będzie takie wystawne.

- To urocza dziewczyna - mruknął z roztargnieniem Gene, całując Alice w policzek.

- Tony był jakiś rozkapryszony.

- Tak. Aislinn skarżyła mi się, że płacze bardziej niż zwykle. Przywiezie go do mnie na badania, kiedy wrócimy.

- Gene, oni nie są szczęśliwi.

- Nie wiedziałem, że będziemy spędzać miesiąc miodowy razem z Lucasem i Aislinn.

- Och, Gene - objęła go w pól i przytuliła, kładąc mu głowę na piersi. Po wyjściu boya hotelowego doktor zdjął marynarkę, ale poza tym oboje byli wciąż ubrani. - Daruj mi, przepraszam. Wiem, że nie powinienem zwracać sobie nimi głowy, ale nie potrafię się wyłączyć. Aislinn wygląda, jakby chodziła po linie nad przepaścią, a Lucas...

- Jak beczułka z prochem, która zaraz wybuchnie - dokończył Dexter. - Nigdy nie był taki rozdrażniony. Prawdę mówiąc, nie widziałem go dotąd w aż tak złym humorze. Ale myślę sobie, że to dobry znak

- zaśmiał się cicho.

- Jak to?

- Musiała wzniecić w nim nie lada ogień, inaczej nie byłby taki kłótniwy i przeczulony. Chyba dobrała

mu się do skóry jak żadna inna przedtem. I nieugięty Lucas Greywolf wpadł w panikę.

- Czy według ciebie Aislinn go kocha?

- Niewątpliwie. Zasięgnąłem trochę języka na temat jej ojca. Willard Andrews zasiada w każdej radzie gubernatorskiej i prawie we wszystkich komitetach działających w Scottsdale. Kobieta mająca ojca z taką pozycją wygrałaby każdy proces z jednym Indianinem. Nieważne, czym jej groził, nie musiała za niego wychodzić. Tak. Sądzę, że go kocha.

- A Lucas? Czy on ją kocha?

Gene zmarszczył czoło, wracając myślą do przyjęcia wydanego na cześć jego i Alice. Ilekroć popatrzył na Lucasa, ten wodził wzrokiem za Aislinn. I nie były to przelotne spojrzenia, ale uważna, pełna skupienia obserwacja. Właściwie nic poza tym go nie obchodziło.

Przypomniał sobie, że w pewnym momencie Aislinn przyniosła ciężką wagę z ponczem. Kiedy szła z nią w kierunku stołu bufetowego, Lucas poderwał się, żeby jej pomóc, ale przystanął w pół drogi, jak gdyby nagle zmienił zdanie.

A kiedy się żegnali, Gene był pewien, że Lucas w ogóle nie myśli o matce i jej zamążpójściu. Zdawał się bez reszty pochłonięty osobą swojej żony. Stali obok siebie na ganku. Ona była roześmiana i machała im na pożegnanie, wykrzykując życzenia szczęścia,

a wiatr zwiewał jej jasne włosy na ramię Lucasa, który był sztywny jak kołek i miało się wrażenie, iż całą siłą woli powstrzymuje się, aby jej nie dotknąć.

- Wedle mojej fachowej opinii, mamy tu do czynienia z przypadkiem zakażenia miłosnego. Lucas może jeszcze nie uświadamiać sobie, że ją kocha. A jeśli o tym wie, nie chce się do tego przyznać przed samym sobą.

- Chciałabym, żeby byli szczęśliwi.

- A ja chciałbym tego samego dla nas. Czy wiesz, z czego się teraz cieszę jak wariat? - Podtrzymał jej podbródek kostkami palców i pocałował, najpierw delikatnie, a potem z rosnącą pasją. Objął ją w pół i przytulił do siebie. - Alice, och, Alice - zamruczał. - Tak długo na to czekałem. Zawsze cię pragnąłem, zawsze serce wyrывało mi się do Alice Greywolf.

- Teraz już Alice Dexter-szepnęła.

Zrozumiał, że jest to jej sposób przyznania, że dzieł jego uczucia. Sięgnął do guzików jej zapinanej na piecach morelowej sukienki z lnianego płótna o bardzo prostym kroju. Koronki i żaboty nie nadawały się dla tak filigranowej kobiety. Nie nosiła żadnej biżuterii prócz złotych kolczyków, złotego łańcuszka, który podarował jej na gwiazdkę, no i obrączki ślubnej.

Kiedy rozpiął wszystkie guziki, Alice powiedziała drżącym głosem:

- Nie jestem już młoda, Gene. Jestem babcia.

Uśmiechnął się i zsunął jej suknię z ramion. Alice była drobna i szczupła, ale doskonale kształtna. Bardzo do niej pasowała płócienna bielizna, nie wyzywająca, ale i nie pozbawiona zalotności. W zgodzie ze skromnością Alice, której uśpiona zmysłowość czekała na rozbudzenie.

Uwielbiał swoją pannę młodą.

Delikatnie, uśmierzając pocałunkami jej nerwowy niepokój, rozebrał ją do końca. A potem wziął ją na ręce i zaniósł do łóżka. Zamknęła oczy, kiedy się rozbierał. W chwilę później ogarnął ją ramionami i przytulił. Drżała na całym ciele.

- Alice - wyszeptał - nie bój się. Będę cię tak trzymał, jak długo zechcesz, i to mi wystarczy. Wiem, że się boisz, i wiem, dlaczego. Ałe przysięgam, że nie zrobię niczego, co by ci mogło sprawić przykrość.

- Wiem, Gene. Wiem. To dlatego, że minęło tyle czasu i...

- Rozumiem. Nic nie mów. Nie zrobię nic, czego byś nie chciała. - Tulił ją do siebie opiekuńczo, nakazując swojemu ciału spokój. Wiedział, że musi zdobyć się na nieograniczoną cierpliwość, gdyż Alice jest tego warta.

Powoli zaczęła się odprężyć, co go ośmieliło na tyle, że zaczął ją pieszczotliwie głaskać. Skórę miała ślśniącą, jedwabista, wrażliwą na jego dotyk. Jej ciało

mogłoby należeć do kobiety o dwadzieścia lat młodziej. Piersi wciąż miała jędrne. Kiedy ich dotknął, westchnęła, lecz rzut oka na jej twarz powiedział mu, że nie jest to przejaw lęku. Całował ją zmysłowo i miękko, aż wyczuł, że jest już gotowa.

Później, gdy leżała cicho w jego ramionach, szepnął jej do ucha:

- Wiesz co, Alice Grey wolf- Dexter? Mógłbym czekać na ciebie jeszcze dwadzieścia lat. Jesteś wspaniała.

- I ty też, Gene - rzekła, całując go w pierś. - I ty też, kochany.

Lucas zamknął na skobel wrota stodoły. Ślub matki swoją drogą, ale codziennej pracy na ranchu nie można odkładać na później. Zaraz po odjeździe gości przebrał się i zrobił, co należało. Słaniał się ze zmęczenia, bo wstał o świcie, żeby zdążyć do miasta na oficjalne zaślubiny.

Nazajutrz spodziewał się kupca i poświęcił mnóstwo czasu, żeby przygotować konie do oględzin. Gdyby dostał za nie dobrą cenę, mogłoby najać kogoś do pomocy.

Kto wie, czy odebranie uprawnień adwokackich nie wyszło mu do pewnego stopnia na dobre. Wątpliwe, czy udałoby mu się pogodzić zajęcia na ranchu z prowadzeniem kancelarii. Kochał tę ziemię i konie, bo

była to spuścizna po dziadku. Lubi) też pracę pod gołym niebem. Nie przeszkadzało mu, że nigdy nie widać jej końca.

Niemniej doskwierało mu odcięcie od zawodu. Zawsze lubił się bić. A kiedy dojrzał na tyle, by pojąć, że bójki na pięści nic nie dają, odkrył, że sala sądowa będzie dla niego odpowiednią areną. W sądzie przeobrażał się w gladiatora. I brakowało mu tych potyczek i satysfakcji, że zrobił wszystko, co było w jego mocy, nawet jeśli przegrał sprawę.

Ściągnął koszulę i podszedł do kranu z wodą na podmurówce domu. Polał sobie obficie głowę, ramiona i barki, spłukując całodzienny pot i nawarstwiony brud.

Za każdym razem, gdy myślał o pomocy, jaką mu okazał Johnny Deerinwater i inni przyjaciele, wrzucenie chwyciło go za gardło. Gdyby nie oni, nie mógłby zamieszkać tak szybko w tym domu. Potrzebowałby lat na wykończenie go, nie mówiąc o pieniądzech, jakich by to wymagało. On i Aislinn...

Cholera jasna! Szlag go trafiał, gdy machinalnie łączący w myślach ich dwoje. Aislinn i ja. Ja i Aislinn. My. Nas. Ten związek budził w nim sprzeciw, a jednak raz po raz umysł mu go uparcie podsuwał. Zły na siebie, skreślił za róg domu. I natychmiast stanął jak wryty. Tylko kilka metrów dzielił go od otwartego okna sypialni, w której krzątała się Aislinn.

Słyszał, jak nuci i widział jej cień odbijający się na ścianach.

Ta prostokątna plama światła na tle panujących wokół ciemności miała właściwości przyciągające. Wzywała, jak latarnia morska wzywa marynarza. Kojarzyła się z ciepłem, z wygodą, z przytulnym kątem. Z domem. Lucas jak zahipnotyzowany wpatrywał się w oświetlone okno. Nie mógł się zmusić do odejścia, choć nie powinien podglądać Aislinn. Przystań rozmawiać jak idiota, skarcił się w duchu. Ta kobieta jest przecież twoją żoną.

Mimo to trochę mu było wstyd, zwłaszcza gdy Aislinn znalazła się całkowicie w polu jego widzenia. I gdy zaczęła się rozbierać.

Tkwiał w mroku jak skamieniały.

Musiał przyznać z niechęcią, że wygląda wyjątkowo pięknie. Najpierw zaczęła odpinać mankiet przeczystej bluzki. Była to bluzka o kroju męskiej koszuli, tyle że rękawy miała obszerniejsze, szersze mankiety i kołnierzyk z wydłużonymi rogami. Zapinana była na perłowe guziczki. Kiedy Aislinn nachyliła się nad mankiem, jej włosy spłynęły w dół jak złocista kaskada. Och, jak bardzo chciał zanurzyć w nich twarz, poczuć ich aksamitną miękkość. Doświadczył już ich dotyku na swoim brzuchu. A gdyby spoczęły mu na udach? I na...

Ty draniu! Nie wolno ci tak myśleć.

Kiedy prowokacyjnie wolno zdjęła wreszcie bluzkę, ukazała się koronkowa bielizna, która nie dawała mu spokoju przez cały dzień. Podtrzymywany przez cieniutkie ramiączka stanik okrywał jej pełne piersi. Nie był przezroczysty, lecz Lucas wyobraził sobie, że przenika materiał wzrokiem. I widział siebie, jak...

Jej spódnica miała odcień nieba tuż przed wschodem słońca. Uszyła była z szeleszczącej tkaniny i za każdym jej ruchem dostawał niemal szału. Wstrzymał oddech, bo Aislinn sięgnęła dłońmi za siebie, żeby ją odpiąć. Zdawało mu się, że trwa to wieki, lecz wreszcie spódnica zsunęła się z bioder i opadła na podłogę.

Zaklął pod nosem i otarł wilgotne dłonie o spodnie. Aislinn miała na sobie pończochy trzymające się na koronkowych podwiązkach. Pomiedzy brzegiem pończoch a resztą bielizny prześwitywały jej uda. Wyobraził sobie, jak...

Cholerny świat! Co on tu robi, podglądając własną żonę jak zboczeniec? Jeśli tak piekielnie jej chce, to diaczego nie pójdzie tam i jej nie weźmie? Należy przecież do niego. Są prawowitym małżeństwem i wolno mu egzekwować swoje prawa.

A więc rusz się, ty patafianie. Idź i weź, co ci się należy.

Jednak uznał, że to zbyt ryzykowne. Gdyby jego stosunek do niej był pozbawiony uczucia, mógłby

użyć jej ciała, aby pozbyć się trawiącej go gorączki. Byłoby szybko po wszystkim i nie przejmowałby się tym - aż do następnego razu. Ale tu w grę wchodzi coś innego. Ta kobieta opętała go, taka jest prawda. W tajemniczy sposób wśliznęła mu się do serca i umysłu i to, co czuł i myślał, kłóciło się w pewnym sensie z potrzebami jego ciała. Innymi słowy, nie potrafił ograniczyć się do seksu bez analizowania swych uczuć.

Pamiętał stale tamten ranek na wzgórzu. Miała wtedy wszelkie powody, by uciec przed nim gdzie pieprz rośnie, a jednak wdrapała się za nim na szczyt i ofiarowała mu siebie. Miał nadal w oczach wyraz jej twarzy, gdy się z nią kochał.

Toteż nawet w przypływie złości, gdy chciał jej dopiec do żywego, myślał o dziecku, które mu urodziła i które tak bardzo kochała. Otrzymywał też od niej różne ujmujące dowody troski. Na przykład zawsze miała dla niego ciepłą kawę, choć nie upominał się o dolewkę. A kiedy spóźniał się na kolację, czekała na ganku. I zawsze witała go uśmiechem, jakby jego widok sprawiał jej przyjemność.

Ta jej troska i serdeczność były dla niego zagadką. Nie umiał rozszyfrować jej motywów. Wszystko powinno ją skłaniać do nienawiści ku niemu. I gdyby dała mu ją odczuć, rezygnując z tych pojednawczych zabiegów, wszystko byłoby diabelnie proste. Mogłoby

nawet od czasu do czasu wdać się w łózkową bitwę, żeby oczyścić atmosferę. A tak, krew się w nim dosłownie gotowała.

Teraz też niemal rozsadzała mu skronie. Aislinn nie była już tak dobrze widoczna, ale po cieniu na ścianie mógł odgadnąć, że zdejmuje pończochy. Postawiła jedną nogę na krawędzi łóżka, odpięła podwiązkę i zsunęła stopniowo pończochę przez kolano, łydkę i kostkę, po czym ściągnęła ją ze stopy z wystudiowaną opieszałością. Ten sam rytuał powtórzyła przy drugiej pończosze.

Odwrętywały, patrzył na nią jak zaczarowany. Rozebrała się powoli do końca. Gdy znów się wyprostowała, jej cień na ścianie ustawił się profilem. Z okrutnie idealną wyrazistością.

Lucas zmełł w ustach przekleństwo.

Dlaczego ona nie stara się z nim walczyć? Czyżby się nad nim litowała? Czy to jest powód? A może postanowiła być wzorową żoną z poczucia obowiązku? Na Boga, nie potrzebuje wcale jej wielkoduszności.

Drgnął, zrobił zwrot do tyłu i ruszył ukradkiem na tył domu. Pchnął z hukiem tylne drzwi i hałaśliwie przemaszerował przez dom i, gasząc ze złością wszystkie światła, wpadł do sypialni.

- Co ty, do diabła, wyprawiasz?! - ryknął,

Aislinn podniosła na niego błękitne oczy, rozwarłe teraz szeroko zdumieniem, co nadawało im wygląd

podwójnie niewinny. Siedziała na bujaku. Istna matrona. Złote włosy rozsypały się jej na ramionach. Spod rozchylonej koszuli nocnej wysuwała się pierś, do której przyssał się Tony.

- Karmię dziecko-odparła po prostu.

Oparł się rękami o framugę i dyszał ochotą do walki. Na obnażonym torsie błyszczały jeszcze krople wody. Włosy też miał mokre i zmierzwione. Zwisający z szyi krzyżyk odbijał światło lampy, iskrząc się niemal tak mocno, jak oczy Lucasa.

Ośmieszył się. Czując upokorzenie, odwrócił wzrok od żony i zerknął na łóżko. Jej bielizna leżała na nim niby memento nie spełnionej przygody miłosnej. Ten widok rozwścieczył go na nowo.

- Następnym razem pomyśl, co robisz, zanim zaczniesz goła paradować przed otwartym oknem.

- Nie wiem, o co ci chodzi.

- Okno, psiakrew, okno! - zagrzmiął, wskazując trzęsącym się palcem na zdradziecki otwór w ścianie.

- Nie rozbieraj się przy oknie.

- Ach - powiedziała, idąc wzrokiem za jego palcem. - Nie pomyślałam o tym.

- No to na przyszłość bądź uprzejma o tym pamiętać, dobrze?

- Ale przecież nikt nie mógł mnie widzieć.

- Ja mogłem! - krzyknął. - Widziałem cię doskonale aż ze stodoły.

- Naprawdę?
- Tak jest. Naprawdę.
- Ale ty jesteś moim mężem.

Powiedziała to z szyderczą nutką, ale tak słabą, że nie śmiał podjąć wyzwania. Był golów do zażartej walki wręcz, ale nie stać go było na szermierkę słowną. Nigdy w życiu nie czuł takiej pustki w głowie. I nigdy nie stracił do tego stopnia panowania nad sobą. Aislinn zaś wyglądała tak samo ponętnie jak kilka minut temu, gdy wykonywała swój niezamierzony striptiz. Krew uderzyła mu do głowy.

- Idę wziąć prysznic - rzucił i wyszedł z pokoju, chcąc sobie oszczędzić dalszych upokorzeń.

Kiedy opuścił łazienkę, Aislinn stała nachylona nad łóżeczkiem dziecka w jego pokoiku.

- Daj mi go trochę potrzymać - powiedział Lucas spokojniejszym tonem. Był znów mokry, kropelki wody szkłyły mu się na żółtobrazowej skórze. Nie miał na sobie nic prócz ręcznika wokół bioder i przypominał swoich praprzodków odziewających się jedynie w przepaski. Przypominał trochę barbarzyńcę, lecz przeczył temu łagodny blask oczu, gdy podniósł syna i przybliżył go sobie do twarzy. Szeptał mu w języku Nawahów czułe słówka zapamiętane z dzieciństwa i pocałował w policzek przed położeniem do łóżeczka. Tony natychmiast zasnął.

- Taki jest teraz spokojny - westchnęła ze znu-

żeniem Aislinn. - Chciałabym, żeby spał aż do rana. Jestem wykończona.

- Dlaczego ostatnio tak często się budzi?

- Nie mam pojęcia. Gene obiecał, że go zbada, zaraz po powrocie. Och, byłabym zapomniała - dodała, gdy wchodzili razem do sypialni i podała mu wziętą z toaletki kopertę. - List do ciebie. Był w dzisiejszej poczcie.

Zanim rozerwał kopertę, bacznie się jej przyjrzał. Aislinn udawała obojętność, ale zżerała ją ciekawość. Jako nadawca figurowało biuro dyrektora więziennego obozu pracy, w którym był osadzony Lucas. Przeczytawszy list, Lucas złożył go i wepchnął z powrotem do koperty. Nie mogąc nic wyczytać z jego twarzy, Aislinn spytała niecierpliwie:

- Czy [o coś ważnego?

Wzruszył niedbale ramionami.

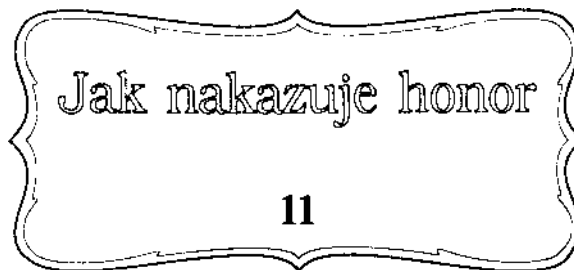
- Dyrektor Dixon uważa, że mogę być zrehabilitowany. Wie już, kim byli prawdziwi sprawcy przestępstw popełnionych podczas demonstracji. Skazano ich właśnie za podobne czyny. Gdyby podpisali pod przysięgą oświadczenie, że to nie ja byłem winien, sędzia mógłby anulować wyrok.

- Lucas, to wspaniale! - zawołała. - To znaczy, że będziesz przyjęty z powrotem do palestry.

Zdjął ręcznik z bioder i wśliznął się do łóżka.

- Nauczyłem się nie dowierzać obietnicom. Zwłaszcza składanym przez jankesów.

Położyła się obok niego. Szorstkie słowa Lucasa nie zwiódły jej. Zauważyła wyraz jego twarzy, nim zgasi) światło. Mógł udawać, że nic go nie obchodzi ten nieoczekiwany promyk nadziei, Aislinn jednak wiedziała, że to nieprawda.



Znając już na pamięć drogę, automatycznie omijała największe dziury. Niedawno Linda i John Deerin-waterowie wybrali się do Scottsdale i przed wyjazdem zaproponowali, że w drodze powrotnej wezmą jej samochód z garażu. Przyjemnie było znów go prowadzić, tym bardziej że nigdy nie mogła dojść do porozumienia z pick-upem Lucasa.

Pokonując górki i dołki wyboistej drogi do domu, ledwie zwracała na nie uwagę. Miała dziś kilka powodów do zadowolenia, a widok Lucasa jadącego jej na spotkanie na dereszowatym wałachu odebrała jako nieoczekiwaną premię. Zatrzymała samochód i wyjęła Tony'ego z nosidełek prawie w tym samym momencie, gdy Lucas zeskoczył z siodła.

- Długo cię nie było - powiedział.

Czy to miało znaczyć, że się niepokoił o nią? A może tylko o dziecko?

- W przychodni był tłum ludzi. Szaleje jakiś wirus. Gene i Alice mieli pełne ręce roboty.

- Jak się miewają?

- Pełny rozkwit - uśmiechnęła się szeroko z filuternym błyskiem oczu. - Zawsze uważałam, że twoja matka jest piękna, ale musisz ją zobaczyć teraz. Wprost promienieje. A Gene szczyrzy zęby od ucha do ucha.

Lucas z uśmiechem wziął syna pod bródkę, drugą ręką przytrzymując wodze.

- Co Gene powiedział o Tony'm?

- Jest lekko przeziębiony. Ścisłej mówiąc, coś nie w porządku z górnymi drogami oddechowymi. Dał mu syrop, który za kilka dni ma przynieść poprawę.

- To dlatego tak ostatnio popłakiwał?

- Między innymi. Jest jeszcze inny powód.

- Jaki? - spytał Lucas marszcząc brwi.

- Tony jest głodny.

- Głodny?

- Tak - odpowiedziała, czerwieniąc się pod świeżo nabytą opalenizną. - Samo mleko już mu nie wystarcza. Gene mówi, że powinien przejść na odżywkę owocowo-zbożową.

Lucas przestąpił z nogi na nogę.

- To znaczy, że przestanieś karmić go... piersią?

Aislinn wlepiła wzrok w guziki jego koszuli i przytaknęła ruchem głowy.

- No i co ty na to? - spytał.

- Będzie mi tego brakowało. Ale oczywiście zdrowie dziecka jest najważniejsze.

- Aha.

- Byłam w sklepie i zrobiłam mały zapas odżywek.

- To wszysdco dla jednego niemowlaka? - zapytał z niedowierzaniem, patrząc na stos kartonów na tylnym siedzeniu.

- No, nie - roześmiała się. - W pudłach są głównie chemikalia, które zamówiłam. Czekają na poczcie.

- Czy będziesz mogła teraz uruchomić ciemnię?

- Tak, Potrzebowałam tylko tych odczynników.

Po ich rozmowie na temat ciemni wzięła jego milczenie za zgodę i przystąpiła do przebudowy niszczonej przyczepy. A pewnego dnia ku swemu wielkiemu zdziwieniu zobaczyła, że Lucas wziął się do jej odmalowania. Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, wyjaśnił, że to resztki farby pozostałej po malowaniu domu. Naprawił także kilka rzeczy wewnątrz, dzięki czemu przyczepa nabrała mieszkalnego charakteru.

- Nie będę mogła wywoływać filmów kolorowych, tylko czarno-białe - podjęła. - Chyba zacznę od zdjęć, które pstrykałam na weselu Gene'a i Alice. Jeśli dobrze wyjdą, dam im powiększone odbitki. Zaprosiłam ich na kolację w najbliższym czasie.

- Świetnie.

- Zrobiłam też trochę zdjęć dzisiaj w mieście. Wiesz, gdzie jest to nędzne osiedle?

Kiwnął ponuro głową.

- Aż za dobrze.

- Bawiły się tam dziewczynki między sznurami ze schnącym praniem. Myślę, że to będzie niezłe, ale potrzeba mi trochę czasu, żeby odzyskać wprawę.

- A gdzie był w tym czasie Tony?

- Na moich plecach - uśmiechnęła się. - Jak prawdziwe indiańskie dziecko.

Wargi zadrżały mu w powstrzymanym uśmiechu. Toczył z sobą walkę, ale poczucie humoru przeżyło i ku zaskoczeniu Aislinn uśmiechnął się szeroko, odsłaniając mocne białe zęby.

- Nie chcę, żeby wnuk wodza został maminsynkiem - powiedział. - Daj mi go.

Wziął dziecko z rąk Aislinn i obrócił się do stojącego za nim potulnie konia.

- Lucas, co robisz? Lucas, nie...

- Nadeszła już pora, żeby Anthony Joseph Greywolf wziął lekcję jazdy konnej.

- Nie rób tego! - zawołała.

Nie bacząc na jej protesty, ulokował sobie małego w zgięciu prawej ręki i, trzymając lewą za uchwyt siodła, jednym ruchem wydzwignął się na grzbiet desza. Tony zamachał radośnie rączkami.

- Lucas, oddaj mi dziecko, bo obaj skręćcie kark

- prosiła Aislinn, czepiając się obiema rękami jego uda.

Błysnęła zębami w przekornym uśmiechu.

- Ścigamy się, kto pierwszy w dojedzie do domu?

- Lucas!

Zatoczył kółko wałachem i ścisnął go kolanami. Koń ruszył stępa. Aislinn oparła dłonie na biodrach i spoglądała za nim ze złością. Był to jednak w dużej mierze pozór. Tak naprawdę, przepełniało ją po prostu niewymowne szczęście.

Przez kilka dni po odstawieniu dziecka od piersi czuła się nieswojo, a Tony kaprysił. Wkrótce jednak przywykł do odżywki. Wprawdzie potrafił parskać łobuzersko i opryskiwał jedzeniem wszystko i wszystkich dokoła, ale miał wilczy apetyt i szybko zaczął przybierać na wadze.

Lucas otrzymał następny list od Dixona. Dyrektor konsultował się z sędzią i sprawa rehabilitacji posuwała się naprzód. Aislinn nie ukrywała zadowolenia, ale Lucas zachowywał kamienny spokój.

Pracował ciężko, lecz rancho kwitło. Z pobliskich wzgórz udało się spędzić spore stado koni z wypalonym piętnem Greywolfów, które poszły samopas po śmierci starego Josepha. Niektóre klacze były żrebne, tyle że jeszcze po naturalnym kryciu, bo dziadek Lucasa nie uznawał sztucznego zapładniania.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności przez ranczo przebiegał spływający z gór strumień. Był to bezcenny skarb, a Joseph z zasady nie sprzedawał prawa do użytkowania wody. Lucas uważał jednak, że to, co służy jednemu, może służyć wielu i pozwalał odpłatnie kilku ranczerom, zarówno Indianom, jak i białym, na korzystanie ze strumienia.

Nigdy też nie przywiązywał się do koni tak bardzo, żeby nie móc się z nimi rozstać, jak to bywało z dziadkiem. Sprzedawane zaś przez Lucasa sztuki były warte swojej ceny. Był uczciwym, ale i sprytnym hodowcą.

Aislinn kilka godzin dziennie spędzała teraz się w przyczepie. Towarzyszył jej zawsze Tony, bawiący się w kojcu kupionym w magazynie używanych rzeczy. Po przemalowaniu sztachetek i wymianie wyściółki wyglądał jak nowy.

Któregoś popołudnia, gdy pracowała w ciemni, usłyszała odległy grzmot. W pierwszej chwili nie zwróciła na to uwagi. Miała słuch wyczulony przede wszystkim na dźwięki wydawane przez dziecko.

Grzmiało jednak coraz głośniejsze i Aislinn zorientowała się, że nadchodzi burza. Wysłała zza czarnej portierny osłaniającej ciemnię i stanęła w tej części przyczepy, która niegdyś służyła za mieszkanie.

Tony spał smacznie w kojcu. Na dworze pociemniało tak bardzo, że spoglądała na zegarek w obawie,

że straciła poczucie czasu. Było jednak dopiero wczesne popołudnie. Podeszła do drzwi i spojrzała przez wykrojone w karo okienko. Ponad górami przewały się ołowiane chmury. Pomyślała z niepokojem o Lucasia. Wyjechał rano, mówiąc, że zamierza dziś pokręcić się trochę wyżej po górach i sprawdzić, czy nie błakają się tam jeszcze jakieś konie. Miała nadzieję, że niebawem wróci. Nie podobała się jej ta pogoda.

Wiatr przybrał na sile. Gwałtowne poddmuchy zmiatały szeroką przestrzeń między przyczepą a domem. Postanowiła, że zaczeka tutaj na Lucasa. Zanościło się na to, że burza zerwie się w ciągu kilku minut.

Rzuciwszy okiem na śpiące dziecko, wróciła do ciemni i pograżyła się znów w pracy. Nagły wstrząs postawił ją dosłownie na baczność. Przyczepa zachwiała się uderzona porywem wichury niczym potężną pięścią. Tony zakwilił. Wypadła w popłochu z ciemni. Wnętrze przyczepy tonęło w niesamowitej zielonkawej poświacie.

Tony zaczął płakać. Aislinn podbiegła do drzwi i otworzyła je. Wiatr natychmiast wyrwał jej drzwi z rąk i zaczął walić nimi o ścianę przyczepy. Żeby dosięgnąć klamki, musiała zejść na betonowe stopnie u wejścia, podczas gdy krople deszczu na przemian z kulkami gradu, który w kilka sekund pokrył ziemię białym całunem, kłuły ją w gole ramiona jak igły.

- O, Boże! - krzyknęła, mocując się z drzwiami. W górze kłębiły się atramentowe chmury. Zasnaniając kompletnie niebo, wisiały nisko, grube jak aksamitna kurtyna. Błyskawice strzelały zygzakami, by za moment zniknąć tanecznie w ciemnościach. Pioruny waliły z taką siłą, że żaloszny płacz dziecka ginał niemal w ich huku.

Wytężając wszystkie siły, Aislinn zdołała w końcu zamknąć drzwi. Wyczerpana wysiłkiem, niemal na czworakach dotarła do kojca i wyjęła z niego dziecko. Dopiero gdy je przytuliła do siebie, spostrzegła, że jest mokra. Z przylepionych do skóry włosów ciekła woda.

- Cicho, Tony, cicho... Wszystko będzie dobrze - uspokajała go, chcąc wierzyć, że to prawda.

Gdzie jest Lucas?

Zamknęła oczy i w wyobraźni ujrzała, jak błąka się zmyliwszy drogę, chłostany bezlitośnie przez wiatr, deszcz i grad.

Wicher szturmował przyczepę i Aislinn drżała, że kolejnym szarpnięciem może rozwalić kruche pudło, które przygniecie ją i dziecko. Z zewnątrz dochodziły ją wciąż głuche odgłosy i spodziewała się, że lada chwila jakieś fruujące w powietrzu przedmioty powybijają okienka.

Tony wciąż popłakiwał i tuliła go mocno do piersi, ale to niewiele pomagało, gdyż udzielał mu się

strach matki. Chodziła z nim tam i z powrotem, kuląc się coraz bardziej z każdym uderzeniem pioruna, świadoma, że następny może trafić w przyczepę.

Lucas, Lucas, powtarzała. Czy aby spłoszony koń nie zrzucił go z siodła? Może gdzieś leży nieprzytomny? Albo wpadł w jakiś wądół i połamał nogi?

Przez głowę przebiegały jej najczarniejsze myśli. Przycisnęła policzek do główki dziecka, zraszając ją łzami. Czuła się straszliwie mała i bezradna. Bóg w straszny sposób objawiał swój gniew. Cóż może go obchodzić, że w nawałnicy, którą rozpętał, zginie jakaś kobieta wraz z dzieckiem?

Najgorsze było czekanie. Ale cóż innego mogła zrobić? Byłoby ryzykowne nawet dla niej samej, gdyby puściła się biegiem do domu. Co dopiero z Tonym na rękę. Grunt był z pewnością grząski, nieustanny deszcz musiał utworzyć błotniste bajoro. Przy tym nastała zupełna ciemność, rozświetlana jedynie od czasu do czasu wężami błyskawic.

Dlaczego nie uciekła z przyczepy od razu, gdy tylko usłyszała, że nadciąga burza? W domu też by się bała, było tam jednak bez porównania bezpieczniej. Za późno już jednak było na robienie sobie wyrzutów. Postąpiła niemądrze i być może zapłaci za to życiem własnym i dziecka.

Lucas, Lucas, Lucas.

Usiadła na koślawym krzesełku, pozostałym jesz-

cze z czasów, gdy Alice mieszkała w przyczepie razem z Lucasem. Kołysała Tony'ego w ramionach, nucąc coś bezmyślnie i czekała na wyrok losu.

Kiedy usłyszała łomotanie w drzwi, sądziła, że to znowu sprawa huraganu. Gdy jednak po chwili usłyszała swoje imię, wydała radosny okrzyk i potykając się ruszyła ku wejściu.

- Lucas!
- Otwórz drzwi!

Objmując dziecko jedną ręką, drugą odciągała niezdarnie zasuwkę. Gdy jej się to wreszcie udało, Lucas niemal runął do środka, pchnięty siłą wiatru. Aislinn osunęła się na niego z niepohamowanym płaczem. Gdyby nie zmysł równowagi Lucasa, wszyscy troje padliby na podłogę. Przyłgnęła do niego, powtarzając raz po raz jego imię. Przemoczona na wylot koszula oblepiła go ściśle. Buty miał zabłocone. Z kapelusza, umocowanego pod brodą skórzaną tasiemką, lała się woda. Nigdy jednak nie wydawał jej się bardziej zachwycający.

Objmowali się mocno przez długą chwilę, nie zważając na strugi deszczu wpadające przez otwarte drzwi. Zaklinowany między ojcem a matką Tony wiercił się i krzyczał. Aislinn oparła twarz o szyję Lucasa, który głaskał ją po plecach, aż wreszcie uspokoiła się.

- Nic ci się nie stało? - zapytał.

- Nie. Nic... Nic mi nie jest. Tylko się bałam.

- A Tony?

- Dobrze. Ale też najał się strachu. Zaraził się nim ode mnie. - Zagryzła wargę, żeby pohamować drżenie ust. - Myślałam, że coś ci się stało.

- Bo i miałem małą przygodę. Złapała mnie ta burza. Widziałem, że się zbliża, ale nie mogłem jej uciec. Koń zgubił podkowę i musiałem go prowadzić za uzdę. Płoszył się i nie chciał iść.

Dotknęła jego mokrych policzków.

- Bałam się, że zabłądziłeś, albo że leżysz gdzieś i nie możesz wstać. Nie wiem, co by się z nami stało, gdybyś nie wrócił.

- Ja też się przestraszyłem, kiedy nie znalazłem w domu ani ciebie, ani dziecka. - Odgarnął kosmyk mokrych włosów z jej ust. - No, ale już wszystko dobrze. Musimy się tylko dostać jakoś do domu. Ta przyczepa może się w każdej chwili rozlecieć w kawałki. Zdaje się, że na dworze ryzyko jest mniejsze niż tutaj. Dasz radę pobiec?

Przytaknęła bez zastanowienia. Lucas był przy niej. Teraz czuła się znów bezpieczna.

- Jest w co zawinąć Tony'ego?

W przyczepie miała trochę zapasowych kocyków dziecięcych i podczas gdy Lucas wyglądał przez drzwi, starając się wypatrzeć, któredy będzie im najłatwiej biec, opatulila nimi szczelnie małgo. Wyglądał

jak mumia. Ptaka! nadal, ale nie przejmowała się tym wiedząc, że gdy go przewinie i nakarmi, zaraz się uspokoi.

Lucas wziął jeszcze jeden koc i zarzucił go Aislinn na głowę.

- Nie jest to nadzwyczajna ochrona, ale zawsze więcej niż nic - powiedział. - A teraz - ujął ją za ramiona i spojrzał prosto w oczy - masz mocno trzymać dziecko. Resztę zostaw mnie. No, ruszamy.

Nie mogła sobie później nigdy odtworzyć szczegółowo w pamięci, w jaki sposób pokonali tę przestrzeń, przebywaną normalnie w niecałe dwie minuty. Deszcz, wichura, błyskawice, strach - wszystko to nałożyło się na siebie w jej umyśle tworząc jeden zamazany obraz. Zaraz po wyjściu z przyczepy ugrzęzła w biocie i zgubiła pantofle. Zaczęła szukać ich stopami, ale Lucas, przekrzykując wycie wiatru, nakazał, by je zostawiła i dalej szła boso. Ślizgała się brnąc w błotnistej brei, ale podtrzymywana ramieniem Lucasa nie upadła, mimo że głowę miała nisko pochyłą i oczy prawie cały czas zamknięte. Przyciskała do siebie dziecko tak mocno, że lękała się o całość jego zeber.

W końcu natknęła się nogą na jakąś przeszkodę i uświadomiła sobie, że to już ganek. Z pomocą Lucasa dotarła chwiejnie schodkami pod daszek. Lucas

otworzył drzwi, wepchnął ją do środka i oparł plecami o Ścianę. Zadyszana, z wolna nabierała tchu. Lucas s'ciągnął buty i razem z kapeluszem wyrzucił je na ganek, a za chwilę zrobił to samo z kocem, którym była owinięta.

- Nie ruszaj się. Przyniosę ci suchy koc - powiedział i boso, ociekając wodą, poszedł do sypialni.

Tymczasem Aislinn odwinęła Tony'ego z kocyków.

- Mój dzielny chłopczyk - mówiła całując synka. - Obaj z tatusiem jesteście tacy dzielni.

Po chwili wrócił Lucas z kocem i narzucił go jej na ramiona.

- Szczekają mi zęby-poskarżyła się.

- Zauważyłem. Pośpiesz się. Trzeba osuszyć dziecko.

Ruszyli do pokoiku Tony'ego. Nie było światła, ale Lucas przyniósł z sypialni dwie ozdobne świece, przy których Aislinn szybko przebrała dziecko. Układała je właśnie w łóżeczku, gdy zjawił się Lucas z podgrzaną w kuchni butelką z mlekiem.

- Ja go nakarmię, a ty weź gorącą kąpiel. Odkręciłem już kurki. Weź sobie jedną świecę.

Żeby nie zmoczyć dziecka kapiącą z ubrania wodą, rozebrał się, po czym owinał biodra ręcznikiem, wyjął Tony'ego z łóżeczka i usiadł z nim w bujaku.

W innych okolicznościach nagi czerwonoskóry, karmiący w bujanym fotelu niemowlaka, rozśmie-

szyłby ją, teraz jednak była wciąż zbyt wystraszona, by dostrzec komizm tego widoku.

- Nie zapomnij o lekarstwie - wskazała głową na miksturę przepisaną przez Dextera.

- Nie zapomnę.

Spokojna o dziecko ruszyła do łazienki. Zanurzyła się w wannie aż po szyję i z przyjemnością poddała się błogiemu ciepłu, które grzejąc kołło zarazem jej zszarpane nerwy. Umyła także włosy i wyszczofkowała je. Pół godziny później wyszła ze świecą w rękę z łazienki, okryta długim frotowym szlafrokiem.

Pierwsze kroki skierowała do pokoiku dziecka. Tony spał już mocno. Położyła mu dłoń na główce i oczy zasły jej łzami. Jakże go kocha! Czym byłoby jej życie bez niego? Pustą jałową egzystencją, którą wiodła, zanim go urodziła.

Prosiła Boga, by jej wybaczył ten moment wątplenia w przyczepie. Wyróżnił ją przecież, dając jej dziecko. I wybawił ich z okropnej opresji. Nigdy już nie straci ufności w jego łaskawość i dobroć.

Wyszła na palcach z pokoju i prowadzona niłym płomykiem świeczki szła przez ciemny dom, rozświetlany raz po raz przez sinosrebrne światło błyskawic.

Lucas stał w kuchni nad kuchenką gazową, mieszając coś w rondelku. Mimo że poruszała się bezgłośnie, odwrócił się natychmiast po jej wejściu.

- Ta kuchenka jest do chrzanu - powiedział. - Myślałem już, żeby ci kupić nową.

- Przyzwyczaiłam się.

Lucas miał już na sobie suche džinsy, ale wciąż był boso i nagi do pasa. Włosy zaczynały mu przesychać. Nie chciałyby, żeby je skrócił. Burzyły się połykskliwe za każdym ruchem głowy i bardzo się to jej podobało.

- Co tam gotujesz?

- Kakao. Siadaj.

Postawiła świeczkę na stole i wysunęła sobie krzesło.

- Nie wiedziałam, że taki z ciebie kucharz.

Wlał parujący płyn do kubka i zgasił gaz.

- Najpierw spróbuj, zamiast wyskakiwać z pochwałami - powiedział i wręczył jej kubek.

Upiła łyk. Kakao był strasznie gorące, ale gęste i słodkie, o wspaniałym smaku. Poczowała ciepło rozptywające się po całym ciele.

- Jest pyszne, Lucas. Dziękuję.

- Masz ochotę coś zjeść?

- Nie - odparła, lecz spojrzała na niego i szybko dodała: - A ty? Zaraz coś przygotuję.

Poruszyła się, żeby wstać, ale powstrzymał ją, kładąc jej dłonie na ramionach.

- Nie, nie jestem głodny. Wypij kakao.

Cofnął ręce i cichym krokiem podszedł do okna.

- Burza przechodzi - powiedział.

Istotnie, deszcz wciąż padał, ale wiatr znacznie osłabł. Grzmoty odzywały się teraz dalekim zamierającym werblem, a błyskawice zdawały się mniej złowieszcze. Aislinn podniosła kubek do ust i pociągnęła kilka łyków. Chciała wypić wszystko duszkiem, ale wzruszenie ścisnęło jej gardło. Nie mogła oderwać oczu od Lucasa. Jego profil rysował się ostro na popielatym ile okna. Pomyślała, że jest wspaniałym mężczyzną.

Nagie odżył w niej przebyty wstrząs. Zaczęła dygotać tak gwałtownie, że kakao chlusnęło z kubka, parząc ją w dłoń. Odstawiła kubek na stół, a z drżących warg spłynęło jej mimowolne westchnienie.

- Aislinn?

Milczała, wiedząc, że gdy spróbuje się odezwać, z jej gardła wydobędzie się jedynie niezrozumiały dźwięk. Przycisnęła palce do ust i starała się powstrzymać nagły przypływ hysterii.

- Aislinn?-powtórzył Lucas.

Troska w jego głosie była ponad jej wytrzymałość. Wezbrane łyzy przedarły się przez zaporę dumy i sztucznej odwagi. Ukryła twarz w dłoniach, spazmy wstrząsnęły jej ramionami.

- O co chodzi? Czy coś się stało? Boli cię coś?

- Lucas ukląkł przed krzesłem i przesunął dłońmi po jej rozdygotanych barkach, jak gdyby szukał jakichś obrażeń.

Odjęła dłonie od twarzy, lecz łyzy nadal lały się jej po policzkach.

- Nie. Nic mi nie jest. S... sama nie wiem, co się ze mną dzieje - wyjąkała. - Chyba opóźniona reakcja. Byłam taka przerażona. - Zniosła się znów spazmatycznym płaczem.

- Nie płacz - szepnęła gładząc ją po włosach. - Nie płacz. Już po wszystkim.

Wyciągnęła ku niemu ręce błagalnym gestem. Koniuszki jej palców musnęły jego twarz, w połowie pograżoną w mroku, w połowie rozjaśnioną bledo przez świeczkę.

- Tak się bałam, że cię już nigdy nie zobaczę. Nie wiem, jak mogłabym żyć, gdyby ci się coś stało.

- Aislinn...

- Bardziej niż o siebie, czy nawet o Tony'ego, bałam się o ciebie. - Przeciągnęła dłońmi po jego głowie, zsunęła je na ramiona i znów dotknęła jego twarzy.

- Nic mi nie groziło.

- Ale ja o tym nie wiedziałam - powiedziała z rozpaczą w głosie.

Przyłożyła trzy palce do jej ust, aby powstrzymać ich drżenie.

- Gnałem jak wariat, żeby jak najprędzej do was wrócić.

- Naprawdę?

- Martwiłem się - powiódł palcami po jej twarzy, jakby odkrywał ją na nowo.

- Lucas?
- Słucham.

Pochylił się i pocałował ją miękko. Westchnęła cicho i położyła mu ręce na barkach, machinalnie zginając i prostując palce.

- Nie chcę już nigdy być sama, bez ciebie.
- Dobrze.
- Nie zostawiaj mnie już nigdy samej.
- Dobrze.
- Potrzebuję twojej opieki. Ja i dziecko.
- Zawsze możesz na to liczyć.
- Mys'Usz, że jestem głupia? Że się boję?
- Nie. Bardzo dzielna. Jestem z ciebie dumny.
- Mówisz serio?
- Tak.
- Kocham cię, Lucas. Kocham cię.

Teraz już nic nie mogło jej powstrzymać. Słowo goniło za słowem. Miłosne wyznania, które wzbierały w niej tygodniami, popłynęły niczym górski potok. Szmer jej słów cichł tylko wówczas, gdy ich usta łączyły się na moment w krótkich, delikatnych pocałunkach.

Ale wkrótce przestało im to wystarczać. Lucas przytulił ją mocno do siebie i obsypał pocałunkami. Potem rozwiązał pasek jej szlafroka i dotknął

jej skóry. Była ciepła i miękka. Patrzyła w zachwycie, jak po wycałowaniu od góry do dołu jej szyi dotyka językiem czubeczka jej piersi. Westchnęła błogo.

Widziała, jak mięśnie pod lśniąca skórą jego pleców drgają wraz z każdym poruszeniem. Gładziła je dłonią, jak gdyby wcierała w nie olejek.

Kłęcząc wciąż przed nią, muskał włosami jej brzuch. Poczwała jego usta na pępku, a kiedy wtulił twarz w jej łono, odrzuciła głowę do tyłu. Przyciągnął jej biodra ku sobie, a ona łamiącym się głosem wyrzekła jego imię.

Rozsunął z wolna jej uda i pocałował ją.

Aislinn poczuła, że wsysa ją wir. Zamykał się nad nią i zdawał pograżać bez reszty. Półprzytomny Lucas wziął ją na ręce i poniósł przez dom.

Jak przez mgłę czuła, że delikatnie kładzie ją na łóżku. Słyszała metaliczny zgrzyt suwaka u dzinsów. Otworzyła oczy w momencie, gdy wyplątywał z nich stopy. I jak gdyby na zawołanie błyskawica rozdarła niebo, dostarczając dość światła, aby mogła dostrzec jego nagość.

Nie położy! się, lecz ukląkł między jej udami i pochylił głowę.

- Lucas - szepnęła z nutką protestu w głosie.
- Jestem ci to winien - powiedział. - Ten pierwszy raz, dawno temu, należał do mnie. Teraz twoja kolej.

Jego usta doprowadziły ją na wyżyny doznań, jakich nigdy nie doświadczyła. Chwytała rozpaczliwie oddech, dławiony kolejnymi falami rozkoszy. Gdy w końcu odchylił głowę, leżała zlnana potem, a usła piekły ją od ciągłego przygryzania.

Niewiarygodne, ale zdawał się o tym wiedzieć, bo jego pocałunki były teraz ledwie tchnieniem omywającym jej wargi i twarz. Czowała na sobie jego rozpalone ciało. Zapragnęła go i uniosła w górę biodra.

- Jesteś już całkiem zdrowa? - zapytał głucho.
- Tak.

Drgnęła, gdy zanurzył się w niej.

- Zabolało? - zapytał wystraszony i próbował się wycofać, ale powstrzymała go.

- Chcę cię mieć całego.

Szeptał coś, delektując się zarówno treścią jej słów, jak i miękkością jej ciała. Mógłby tak w niej tkwić wiecznie, lecz zbyt długo nie miał kobiety, by ciągnąć to w nieskończoność. Ekstaza dopadła ich z gwałtownością dzisiejszej burzy. I kiedy już było po wszystkim, Lucas znieruchomiał, a gdy się uspokoiili, położyli się na boku, twarzami do siebie.

Ilekoć błyskawica rozjaśniała pokój, widział w lustrze jej nagie plecy i nogi. Podniecał go ten widok: jej włosy w nieładzie, jego ciemne ręce na tle jej jasnej skóry.

Kiedy dotykał jej ciała w miejscach, o których do-

tań tylko marzył, nie sprzeciwiła się. Ośmielony, zaczął z całkowitą swobodą zaspokajać swoją ciekawość. Mruczała z zadowoleniem jak kotka.

Pamiętał, jak przy ich pierwszym zbliżeniu modlił się o śmierć, bo myślał, że nie zdarzy mu się już nigdy coś równie cudownego. Teraz czuł to samo, ale nie pragnął umierać.

Jakiż był głupi, że tak długo sobie tego odmawiał. Przecież okres niebezpieczny dla Aislinn dawno minął. Gene mu to nawet kiedyś dyskretnie podszeptaj. Mimo to trwał w uporze, bojąc się swoich uczuć. Nie chodziło mu tylko o jej ciało, lecz o nią jako o kobietę. Pierwszy raz w życiu pragnął w ten sposób drugiego człowieka.

Ocknął się, odsunął się od niej ociężale, podniósł leniwie paicem jej podbródek i pocałował ją w usta. Sądził, że będzie to tylko pożegnanie na dobranoc, lecz niespodziewanie jej język zaigrał na jego dolnej wardze.

- Tego wieczora, po weselu twojej matki... - zaszeptala mu do ucha.

- Tak?

- Wiedziałam, że stoisz za oknem, kiedy się rozbierałam. Chciałam, żebyś mnie widział. Chciałam cię uwieść.

Twarz Lucasa nie zmieniła wyrazu. Przez długą chwilę mierzył ją spojrzeniem.

- I dopiętaś swego - odezwał się w końcu.

I przekręciwszy się szybko na plecy, wciągnął ją na siebie i rzekł ochryplę:

- Siadaj na mnie.

Spełniła jego prośbę. Były to szalone chwile, lecz Lucas nie zamykał oczu, aby nie uronić nic z blasku jej ciała, włosów i piersi. W końcu upadła rozdygotana na jego pierś. On zaś przytulił ją i dał jej wszystko, co było w jego mocy.

Leżeli potem długo w ospałym omdleniu. Wreszcie Lucas ułożył ją u swego boku, przyciągając jej plecy do swoich piersi. Zapadli w sen tak spokojny, jakim żadne z nich dotąd nie spało.



- Cieszę się, że to właśnie do mnie się włamałeś' po ucieczce z więzienia.

Grey wolf zwrócił głowę w jej stronę.

- Ja też.

Muskała leciutko włosy na jego piersi. Kochali się często tej nocy, drzemiąc w przerwach. Wystarczyło, żeby się dotknęli, a czułość wzbierała w nich od nowa. Teraz, nasyciwszy się znów sobą na jakiś czas, leżeli pośród skłębionych prześcieradeł. Po burzy nie było już siadu. Świt zabarwiał sypialnię różowym blaskiem.

- Śmiertelnie się ciebie wtedy bałam.

- A ja ciebie.

- Mnie? - zaśmiała się zaskoczona i wsparta na łokciach popatrzyła mu w twarz. - Bałeś się mnie? Dlaczego? Myślałeś, że uda mi się ciebie obezwładnić?

- Nie dosłownie, ale byłem wtedy w takim stanie, że jeśli ktoś mógł mną naprawdę zawładnąć, to właśnie piękna kobieta.

- Uważałeś, że jestem piękna? - spytała zerkając na niego spod oka.

- Domagasz się komplementów?

- Tak, panie mężu. Nigdy nie znudzę się komplementami, którymi tak hojnie mnie obsypujesz - powiedziała z ironia osłodzoną uśmiechem.

Lucas też zdobył się na uśmiech.

- Uważam, że jesteś piękna. Ale wiesz, co pomyślałem, kiedy zobaczyłem cię pierwszy raz?

- Nie. Co pomyślałeś?

- A niech to szlag trafi.

- Co takiego?

- To właśnie pomyślałem. „A niech to szlag trafi”.

Dlaczego akurat trafiłem na taką wspaniałą dziewczynę o twarzy anioła? Miałem ochotę skłać cię w żywy kamień za tę urodę. Gdyby to był mężczyzna, walnąłbym go w szczękę i czmychnął. Albo gdyby panna Aislinn Andrews była brzyduią, związałbym ją, pożywił się jej chlebem i kiełbasą, wypił mleko, ukradł zapewne jej samochód i wziął nogi za pas.

- Zrobiłeś to wszystko, ałe także... zostałeś na noc.

Spojrzał na nią z ukosa.

- Tak, mimo że dawałem przez to znacznie większe szanse tym, którzy mnie ścigali.

- A więc czemu zostałeś?

- Bo chciałem się z tobą przespać.

- Och - zaniemówiła na moment.

- I cały czas przeklinałem się za tę ochotę.

- Skrupuły?

Roześmiał się głośno. Sprawia! jej przyjemność ten głęboki, mocny dźwięk, wciąż nowy dla jej uszu.

- Raczej nie. Nigdy nie miałem zbyt wielu skrupułów, jeśli chodzi o kobiety.

- To dziwne.

- Dlaczego?

- Potym, co spotkało Alice...

Zmarszczył czoło.

- Zawsze dbałem o to, żeby kobieta nie zaszła w ciążę. Z jednym wyjątkiem - dodał skruszony, widząc jej oskarżycielski wzrok.

Pocałowali się.

- Tylko to jedno chodziło mi wtedy po głowie.

- Dotknął jej brzucha, gładząc z uśmiechem miękkich puch. - Nigdy nie wykorzystałem żadnej kobiety. Z wyjątkiem ciebie. Stanowiłaś odstępstwo od wszystkich zasad, jakie sam sobie narzuciłem.

- Tak by się wydawało. I cieszę się z tego. Ale czemu przeklinałeś się za to, że mnie pragnąłeś?

- Chciałem być wolny od takiego rozpaczliwego pragnienia wobec każdej kobiety, a już szczególnie białej.

Widać było, że ucieszyła ją ta odpowiedź.

- Rozpaczliwe pragnienie... To właśnie odczuwałeś?

- Tak - przyznał zdławionym głosem.

- Przez cały czas, kiedy byliśmy razem?

Skinał poważnie głową.

- A to gadanie, że jestem twoją polisą ubezpieczeniową?

- Lichy pretekst. Po prostu dostałem fioła, chciałem cię mieć przy sobie. Miałem wyrzuty sumienia, że zakłócam ci spokój i wciągam w tę awanturę, ale...

- wzruszył bezradnie ramionami. - Nie mogłem się oprzeć, żeby cię nie zabrać, chociaż się bałem, że stanie ci się coś złego. - Położył jej dłoń na szyi i potarł miękki naskórek. - Chyba jednak się stało, prawda?

- Nie sądzę.

- Czy to prawda, Aislinn?

- Prawda.

- Boże, nie wiem dlaczego nie zamordowałaś mnie, kiedy spałem.

Uśmiechnęła się.

- Bo liczyłam na to „rozpaczliwe pragnienie”.

- Ono nie znikło. I jest rozpaczliwsze niż przedtem, - Owinął jej włosy wokół przegubu i przytrzymał jej sztywno głowę całował w usta, z wolna osuwając ją na wznak.

Pocałunek trwał wieczność i pozbawił ją tchu.

- Moglibys'my to robić od dawna, gdybyś nie był tak piekielnie uparty. Nie ustępujesz nigdy nawet o cal, prawda?

Obdarzył ją świadomie pożądliwym spojrzeniem.

- Ale teraz mogę ci użyczyć kilka swoich cali.

Ukarała go pociągnięciem za włosy, ale zaraz zachichotała.

- Nie mogę wprost uwierzyć, że wysiliłeś się na dowcip.

- Potrafię być cholernie zabawny.

- Dla wszystkich oprócz mnie. Przy mnie jesteś naburmuszony i drętwy. Nie stać cię na trochę humoru, bo wciąż cię gnębi to, co zaszło wtedy rano w domu Alice. - Zesztywniał nagle i chciał się odsunąć, ale Aislinn obejmowała go mocno. - Zostań tu i nie ruszaj się, Lucasic Greywolf.

- Osmieszyłem się.

- Potrzebowałeś mnie - powiedziała tak łagodnie, że zdusiła w zarodku jego reakcję obronną. - Potrzebować kogoś to żaden wstyd. Dlaczego tak ci trudno przyznać się, że od czasu do czasu kogoś potrzebujesz? Nikt nie jest całkowicie samowystarczalny - dotknęła czule palcem jego ust. - Czułam się szczęśliwa, że byłam ci wtedy potrzebna. Nie obraziłeś mnie tym, co robiłeś. Żałuję tylko, że nie pozwoliłeś mi dać z siebie nieco więcej,

Uniosła głowę z poduszki i pocałowała go. Z początku się wzbraniał, lecz nie poddawała się i jego opór stopniowo tajał. Gdy złożyła z powrotem głowę na poduszce, poderwał się i zademonstrował bez zwłoki, jak bardzo jest mu potrzebna.

- Słyszysz? - spytała nieco później, ześlizgując dłoń po jego wilgotnych od potu plecach aż do bioder.

- Tak - wymamrotał jej w szyję. - To moje serce. Wali jak oszalałe.

Uśmiechnęła się i ugryzła go pieścotliwie w ramię, ciesząc się z każdej, choćby najniklejszej oznaki ludzkiej słabości, jaką objawiał.

- Moje też. Ale nie to miałam na myśli.

- Tony?

- Właśnie. Powinnam zobaczyć, co porabia.

Odsunął się od niej i ułożył wygodnie na plecach, obserwując pałającym wzrokiem, jak nakłada szlafrok i wychodzi z sypialni.

Nie przypominał sobie okresu w swoim życiu, kiedy był szczęśliwy. Zdarzały mu się tylko radosne momenty, jak Boże Narodzenie czy dni urodzin. Uwielbiał polowania pośród wzgórz, na które chadzał z Josephem. Cieszyły go zwycięstwa w biegach. Ale prawdziwe szczęście było zawsze przywilejem innych ludzi. Ludzi mających normalne życie rodzinne i czystą krew, nie skażonych piętnem, do których nie przyrzepiano pogardliwych etykietek.

A tego ranka Lucas Greywolf znalazł się tak blisko szczęścia, jak nigdy dotąd. Pozwolił sobie nawet na promienny uśmiech, ot tak, bez powodu. Przeciągnął się jak zwinny górski kot, który nie ma innych kłopotów poza zjedzeniem śniadania. Szczęście nie było wcale tak groźne, jak to sobie dotychczas wyobrażał.

Aislinn także poruszała się jak uskrzydłona. Cała wczorajsza udreka zniknęła bezpowrotnie. Dzięki Lucasowi. W oknach iskrzyło się już słońce. I przyszłość rysowała się też słonecznie, bo wreszcie Lucas zaakceptował jej miłość.

Nie powiedział, że ją kocha, ale nie można mieć wszystkiego naraz. Pożądał jej. Pragnął ją mieć w swoim życiu i w łóżku. Chwilowo trzeba się tym zadowolić. Życie jest piękne.

- Dzień dobry, Tony - rzuciła wesoło, wchodząc do pokoiku dziecka. Mały pochlipywał żałośnie. - Jesteś głodny? Zmienić ci pieluszkę? Zaraz poczujesz się lepiej, prawda? - W momencie, gdy nachyliła się nad łóżeczkiem, zrozumiała, że z Tonym dzieje się coś niedobrego. Instykt macierzyński podpowiedział jej to natychmiast, gdy usłyszała świszczący oddech dziecka.

- Lucas! - krzyknęła ile sił w płucach.

Usłyszał w jej głosie trwogę. Wiedział, że Aislinn nie wpada łatwo w panikę. Naciągnął dzinsy i w mgnieniu oka znalazł się przy niej.

- Co się stało?

- Tony. Jest cały rozpalony. Posłuchaj jego oddechu.

Oddech dziecka, płytki i urywany, przechodził w poświsujące rżenie. Na buzi wystąpiły żyłki. I chociaż zwykle obwieszcza! z rana donośnie, jak bardzo jest głodny, teraz tylko żałośnie popiskiwał.

- Co mam zrobić?

- Dzwon do Gene'a - rzuciła, rozbierając dziecko i wkładając mu w pupę termometr, który podręczniki pielęgnacji niemowląt nakazywały mieć zawsze na podorędziu. Lucas pognał do kuchni i szybko wykreślił numer Dextera.

- Halo? - odezwał się po trzecim sygnale zaspany głos doktora.

- Tu Lucas. Tony jest chory.

- Jest przeziębiony. Dałem...

- To coś innego. Z trudem oddycha.

Gene domyślił się z głosu Lucasa powagi sytuacji.

- Czy ma gorączkę?

- Chwileczkę- zakrył dłonią słuchawkę i donośnie przekazał Aislinn pytanie. Stała na progu, tuląc małego do piersi. W jej oczach dostrzegł strach.

- Czterdzieści stopni - szepnęła. - Lucas - jej szept tym razem zabrzmiał jak jedno wielkie błaganie.

Uzyskawszy odpowiedź, Gene zaklął dosadnie.

Lucas słyszał w słuchawce, jak Alice dopytuje się, kto dzwoni i co się stało.

- Cholera, Gene, co mamy robić? - zapytał.

- Przed wszystkim uspokójcie się trochę. Dziecko trzeba obmyć letnią wodą. To obniży gorączkę. I przywieźcie je najszybciej, jak się da.

- Do twojego ambulatorium?

- Tak.

- Będziemy za pół godziny, może prędzej.

Lucas odłożył słuchawkę i przekazał Aislinn instrukcje Dextera. Ubierał się, podczas gdy Aislinn obmywała dziecko w łazience. Potem wziął od niej Tony'ego, a ona narzuciła na siebie pośpiesznie ubranie. Zmieniła dziecku pieluszkę, zawinęła je w lekki koc i wybiegła na dwór, gdzie Lucas czekał już w samochodzie.

Wczorajsza ulewa zmieniła cały teren przed domem w trzęsawisko. Gąbczasty grunt zasysał opony i Lucas z trudem dojechał do drogi, na której nie było dużo lepiej. Raz po raz wóz zarzucało do rowu i buksował w bloku tylnymi kołami.

Lucas przygarbił się, zaciskając kurczowo dłonie na kierownicy. Zacięty wyraz jego twarzy przypominał Aislinn wcześniejsze chwile, gdy prowadził jej samochód z taką samą koncentracją. Sądziła wówczas, że sytuacja nie może być bardziej dramatyczna. Jakże zbladła w porównaniu z dzisiejszą. Teraz wie-

działa, że prawdziwy strach odczuwa człowiek, wtedy, gdy życiu jego dziecka zagraża śmiertelne niebezpieczeństwo.

Jazda ciągnęła się w nieskończoność. Małe ciało Tony'ego paliło Aislinn jak ogień. Był rozdrażniony. Przysypiał raz po raz, ale często się rozbudzał i krztusił, spazmatycznie łapiąc powietrze.

Gene i Alice na widok nadjeżdżającego samochodu wybiegli na dwór.

- Jak on się czuje? - spytał Gene, otwierając Aislinn drzwiczki.

- Och, Gene, ratuj go. On dosłownie płonie. Gorączka chyba podskoczyła.

Pobiegli na wyścigi do drzwi i Aislinn wniosła dziecko do gabinetu lekarskiego. Ze względu na wczesną porę nie było jeszcze pacjentów.

Alice i Gene dokładnie zbadali dziecko, opędzając się łagodnie od krążącej koło nich Aislinn. Szukając otuchy spojrzała na Lucasa, ale on wpatrywał się w Tony'ego. Po drodze prawie się nie odzywał. Chciała go jakoś pocieszyć, ale cokolwiek by powiedziała, byłby to pusty dźwięk. Zresztą, jak mogła go pocieszać, skoro sama dygotała z przerażenia?

Gene długo osłuchiwał małego, wreszcie wyjął słuchawki z uszu.

- Ma zajęte płuca - zawyrokował. - Nasiliła się infekcja górnych dróg oddechowych.

- Ale przecież już mu było lepiej - zaprotestowała Aislinn. - Podawałam mu skrupulatnie lekarstwo.

- Nikt cię nie wini - powiedział miękko Gene, kładąc jej dłoń na ramieniu. - To się po prostu zdarza.

- On... wczoraj zmókł. I przemarzł. Podczas burzy. Kiedy Lucas zabrał nas z przyczepy, okryłam małego bardzo ciepło. Czy to może dlatego? - spytała głosem wibrującym nutkami hysterii. Alice i Gene uspokajali ją, cierpliwie tłumacząc, że rozwój infekcji mógł nastąpić z wielu różnych przyczyn.

- Tony nie brał żadnych antybiotyków - mówił Gene. - Z pewnością nie było to twoje zaniedbanie.

- Musisz go wyleczyć - odezwał się milczący dołąd Lucas, który stał po drugiej stronie stołu i wpatrywał się w Tony'ego, jakby był centralną gwiazdą wszechświata, której światło miało zgasnąć.

- Chyba nie dam rady, Lucas.

- Jak to? - spytała Aislinn, podnosząc splecione dłonie do zbiegających warg.

- Tu niewiele mogę zdziałać - wyjaśnił Gene. - Trzeba go zawieźć do któregoś ze szpitali w Phoenix. Tam wezmą go na oddział intensywnej terapii i zajmą się nim specjaliści. Ja nie mam tu wszystkiego, co trzeba.

- Ale to przecież kilka godzin jazdy - powiedziała ze wzburzeniem Aislinn.

- Mój kolega ze studiów jest szefem służby śmi-

głowcowej w pogotowiu ratunkowym. Zaraz do niego zadzwonię. Alice, daj dziecku zastrzyk na obniżenie gorączki.

Zdrętwiała ze strachu Aislinn patrzyła w milczeniu, jak Alice szykuje strzykawkę i robi Tony'emu zastrzyk. Potem przewinęła go i wręczyła matce. Oparłszy się o stół, Aislinn kołysała na rękach dziecko chcąc, by przynajmniej czuło się bezpiecznie.

- Zaraz wyślą śmigłowiec - zakomunikował Gene, wróciwszy od telefonu. - Usiądzie na pastwisku za miastem po północnej stronie autostrady. Pilot wie, gdzie to jest, bo lądował tam w zeszłym roku, żeby zabrać kogoś ukąszonego przez węża. Na pokładzie jest pielęgniarka dziecięca, a w szpitalu będą czekać powiadomieni już specjaliści.

- Czy stan jest krytyczny? - spytała Aislinn drżącym głosem.

Gene ujął jej rękę.

- Nie będę cię łudził. Tak. To stan krytyczny.

W kilku godzin później pediatra ze szpitala w Phoenix potwierdził diagnozę Dextera. Aislinn poruszała się jak w koszmarnym śnie. Najpierw wepchnięto ich do śmigłowca. W trakcie lotu przyrzekła sobie, że odtąd będzie bardziej cenić ludzi ze służby zdrowia. Pielęgniarka zajęła się natychmiast Tonym i była w stałym kontakcie radiowym z lekarzami

w szpitalu. Zanim wylądowali na jego dachu, zrobione było wszystko, co możliwe, by przynieść dziecku ulgę.

Kiedy w szpitalu zabrano Tony'ego na badanie, Aislinn przytuliła się do Lucasa, szukając w nim wsparcia. Ale gest, którym ją objął, był czysto mechaniczny. Wyczuwała, że powstała między nimi wielka psychiczna przepaść. Od momentu wyjazdu z domu miała wrażenie, że oddala się od niej coraz bardziej.

Zamknął się w sobie, odcinając się w ten sposób od nieszczęścia.

Ale wiedziała, że dotkliwie cierpi. Nie miała pojęcia, jak mu się udaje tak surowo kontrolować emocje. Ona sama nie była pewna, czy za chwilę nie zacznie tłuc głową w ścianę czy wydzierać sobie włosów z głowy.

Czekali w milczeniu, które dla Aislinn było nie do zniesienia. Gdzie się podziała troska, którą Lucas okazywał Alice i Josephowi w jego ostatnich chwilach? Dlaczego skąpił jej pociechy? W dodatku Joseph był już stary. Lucas miał czas, żeby się przygotować duchowo na śmierć dziadka.

Z ulgą dostrzegła, że wreszcie podchodzi ku nim lekarz.

- Państwo Greywolf? - spytał uprzejmie. Kiwnęli głowami. - Dziecko jest bardzo chore - zaczął i sy-

pnął medycznymi terminami, które Aislinn nic nie mówiły. - Zapalenie płuc - oświadczył w końcu.

- To nie jest takie groźne, prawda? - zawołała z nadzieją w głosie. - Znam wiele osób, które przez to przeszły bez szwanku.

Doktor popatrzył z zakłopotaniem na Lucasa, po czym zwrócił się do oczekującej niecierpliwie na odpowiedź Aislinn.

- Odsetek wyleczonych przypadków pneumonii jest bardzo wysoki, ale tu mamy do czynienia z zaledwie trzymiesięczną parą płuc. A to, niestety, zmniejsza szanse na łatwe zwalczenie choroby.

- A więc to poważne?

- W tej chwili tak. Nawet bardzo.

- Czy umrze? - Musiała pokonać drzenie warg, nim zadała pytanie.

- Nie wiem - odparł szczerze lekarz. - Ale będę walczył o niego jak lew. - Ucisnął jej ramię usiłując dodać tym otuchy. - Przepraszam, ale muszę już iść.

- Czy mogę do niego zajrzeć? - spytała, chwytając lekarza za rękaw kitla.

- Odradzałbym to. Jest teraz podłączony do rozmaitych aparatów. Mogłaby się pani jeszcze bardziej wystraszyć.

- Ona chce go zobaczyć - syknął złowrogo Lucas. Przez kilka sekund patrzyli sobie z lekarzem w oczy, wreszcie tamten ustąpił.

- Na minutkę, pani Greywolf. Nie dłużej.

Idąc przez korytarz zalewała się łzami. Lucas otoczył ją ramieniem i poklepał delikatnie po plecach. Ale tak jak przedtem, czuła między nimi tę niewidzialną barierę, a jego wyniosła postawa i chłodne oczy nie mogły jej natchnąć nadzieją.

Cały dzień i noc spędzili w szpitalnej poczekalni. Aislinn nie chciała odejść nawet, żeby coś zjeść, choć pielęgniarki bardzo ją namawiały. Nikt nie zagadnął ani słowem Lucasa. Aislinn myślała, że się go bano. Tylko on sam wiedział, co się kryje pod jego nieprzeniknioną maską.

Rankiem drugiego dnia lekarz oznajmił, że Tony jest nadal w ciężkim stanie.

- Ale kiedy go przywieźliście, nie myślałem, że przetrwa aż tyle czasu. Myślę, że to naprawdę silny chłopak - powiedział z nutką optymizmu.

Aislinn dostrzegła promyk nadziei.

Niebawem zjawili się Gene i Alice. Nie mogąc znieść dłużej niepewności, wywiesili zawiadomienie, że ambulatorium będzie nieczynne, wsiedli w samochód i ruszyli do Phoenix. Na ich widok Aislinn rozplakała się z wdzięczności.

Wyglądała tak źle, że przestraszeni Dexterowie błagali ją, żeby wynajęła pokój w hotelu i trochę odpoczęła, ale nie dała się przekonać. Zgodziła się jedynie zjeść gorący posiłek, który przyniesiono im ze szpitalnego bufetu.

Siedzieli właśnie wszyscy w poczekalni i kończyli śniadanie, gdy Lucas raptownie wstał, potrącając nogą stół i odrzucając ze złością serwetkę.

- A tych kto zaprosił? - spytał, wskazując na idących ku nim Eleanor i Willarda. Celowo podniósł głos, żeby przybysze mogli go słyszeć.

- Ja - odrzekła niepewnie Aislinn, stając na miękkich nogach naprzeciw męża, wyraźnie rozświeczonego widokiem jej rodziców, z którymi od dnia ślubu nie miała żadnego kontaktu. - Mamo, tato - powiedziała, postępując krok do przodu. - Dziękuję, że przyjechaliście.

Państwo Andrews nie bardzo wiedzieli, co powiedzieć i jak się zachować. Eleanor bawiła się kościaną rączką kosztownej torebki, a Willard rozglądał się wokół, omijając wzrokiem zarówno zięcia, jak i córkę.

- Uważaliśmy to za nasz obowiązek - odezwała się Eleanor, przerywając przedłużające się milczenie.

- Bardzo nam przykro z powodu choroby dziecka.

- Potrzeba ci czegoś, Aislinn? Może chcesz pieniędzy? - spytał ojciec.

Lucas zaklął pod nosem, przepchnął się obok nich i odszedł.

- Nie. Dziękuję, ojczyste - rzekła cicho Aislinn.

Było jej wstyd, że w pojęciu rodziców pieniądze mogą wszystko załatwić, ale nie miała im tego za złe. Ich obecność podziałała na nią krzepiąco, a to, że przy

całym swoim egoizmie zdecydowali się przyjechać, było wobec niej ustępstwem większym, niż mogła oczekiwać.

Alice jak zwykle stanęła na wysokości zadania i uratowała sytuację.

- Jestem Alice Dexter - przedstawiła się. - Druga babcia Tony'ego. Proszę darować synowi jego zachowanie. Jest ogromnie zdenerwowany.

Aislinn była mile ujęta tym, że Alice - tak samo zreszta, jak i wtedy, gdy poznała ją w hoganie - zachowuje się z niezwykłą prostotą, swobodnie i z godnością. Spoglądała bez skrupowania na Eleanor, która miała na sobie suknię kosztującą więcej pieniędzy niż Alice wydawała na ubranie w ciągu kilku lat. Nie była ani speszona, ani nastawiona nieprzychylnie. Wyciągnąwszy rękę do Eleanor dodała:

- A to mój mąż, doktor Gene Dexter. Poznajcie się, proszę.

Aislinn zostawiła ich i poszła szukać Lucasa. Stał w końcu korytarza i patrzył chmurnie w okno. Przyszło jej do głowy, że podobnym wzrokiem spoglądał na pogodne niebo przez kraty swojej celi. Dla kogoś, kto przywykł do życia na otwartej przestrzeni, musiało to być piekło.

- Lucas? - Dostrzegła, że naprężył nerwowo mięśnie, ale nie odpowiedział. - Jesteś' zły, że zawiadomiłam rodziców?

- Nie są nam potrzebni.
- Może lobie. Ale mnie-tak.

Odwroć! się. Jedynie wysiłkiem woli nie cofnęła się, ujrawszy złość, jaka płonęła mu w oczach. Wziął ją za rękę i pociągnął do pokoiku, który pielęgniarki dały im do dyspozycji, żeby mogli wypocząć, a z którego żadne z nich dotąd nie skorzystało. Zamknawszy drzwi, zwrócił ku niej wykrzywioną wściekłością twarz.

- Zdaje się, że zależy ci jednak na ich cholernej forsie, prawda? O co chodzi? Uważasz, że nie zapewnię mojemu synowi właściwej opieki lekarskiej? Zadzwońiłaś do tatusia błagając, żeby ci przebaczył megalians i przyjechał w te pędy z książeczką czekową w kieszeni?

- Nie zasługuję na to, Lucas! -Uderzyła go mocno w policzek, na tyle mocno, że głowa poleciała mu w bok, Kiedy ją wyprostował, zamierzył się, żeby jej oddać, ale w ostatniej chwili opuścił rękę.

Podskoczyła ku niemu i uchwyciła go obiema dłońmi za koszulę.

- No, już! Uderz mnie. Może wtedy, dopiero wtedy, przekonam się, że jesteś żywym człowiekiem, a nie figurą z kamienia. Bij mnie, proszę bardzo, jeśli tylko tak umiesz pokazać, że są w tobie jakieś ludzkie uczucia.

Potrząsnęła nim, wpierając mu w pierś pobielełe kłykcie.

- Niech cię diabli, Lucas! Powiedz coś. Krzyknij. Wrzeszcz. Okaż swój ból. Wiem, że w tobie siedzi. Przecież jeśli kogoś kochasz, to na pewno jego. Tony może umrzeć, wiem, że cierpisz. Wal we mnie jak w worek treningowy, jak w bęben. Chcę dzielić twoją rozpacz.

Koniuszkiem języka zlizwała łyzy z kącików ust.

- Jesteś niezwykle dumny, co? Nic cię nie może poruszyć. - Potrząsnęła głową, by zaprzeczyć własnym słowom. - Ja wiem swoje. Słyszałam twój lament po śmierci Josepha. Widziałam twój ból. A przecież nie da się go porównać z uderką, która teraz ci musi szarpać serce. To nie świat odgradza się od ciebie, ale ty od niego przez swoją głupią wyniosłość. Jesteś naprawdę tak nieczuły, że nie potrafisz zapłakać nawet wtedy, gdy umiera ci syn?

- Mówisz, że nikogo nie potrzebujesz - ciągnęła dalej. - To nieprawda. Nie chcesz się tylko do tego przyznać. Mnie było potrzebne wsparcie rodziców, więc wyzbyłam się dumy i zadzwoniłam do nich, bez żadnej gwarancji, czy nie odłożą po prostu słuchawki. Potrzebni mi są teraz wszyscy, na których mogę się oprzeć. Nie chcę dźwigać tego ciężaru sama. Nie dbając o to, jak bardzo się poniżam, błagałabym, żeby przyjechali. Wyśmiewasz się z nich, ale masz z nimi więcej wspólnego, niż myślisz. Jesteś tak samo zimny i twardy. Tylko że oni ustąpili. Są teraz ze mną, w przeciwieństwie do ciebie.

Wczepiła mu się tak mocno w koszulę, że omal jej nie rozdarła.

- Kochasz mnie czy nie-jesteś moim mężem. Potrzebuję cię. Nie waż się mnie odtrącać. Ożeniłeś się ze mną, bo honor tak ci nakazywał. A czy to honorowo jest odwracać się od żony, gdy cię najbardziej potrzebuje? Czy stracisz tak wiele ze swojej męskości, jeżeli zapłaczesz razem ze mną?

Uderzyła go znowu. I jeszcze raz. Łzy trysnęły jej z oczu i spływały po policzkach, skapywały z podbródka.

- Płacz, do cholery! Płacz!

Szybkim ruchem otoczył ją ramionami i spuścił głowę, kryjąc jej twarz na ramieniu. Początkowo nie zdawała sobie sprawy, że jej najgorętsze życzenie doznało się spełnienia. Ale po chwili poczuła, że drżą mu ramiona i usłyszała spazmatyczny szloch.

Objęła go w pasie i przytuliła, a jego łzy spływały jej na szyję i zraszały bluzkę. Lucas płakał i płakał, a kiedy już zbrakło jej sił go podtrzymywać, osunęła się na podłogę, ciągle spleceni w uścisku. Przycisnęła jego głowę do piersi i pochyliwszy się nad nią, opiekuńczo kołysała, tak jak to często robiła z Tonym. Sama też płakała, nie tamując łez, które skraplały mu włosy.

Boże, kocha go. Kocha aż do bólu.

- Nasze dziecko musi żyć - zatkał. - Nie wiesz

nawet, co to dla mnie znaczyło, kiedy dowiedziałem się, że mam syna. Tak bardzo chcę, żeby żył. Chcę, żeby dorastał przy mnie. Kiedy byłem chłopcem, tak strasznie brakowało mi ojca. Chciałbym być dla Tony'ego takim ojcem, o jakim zawsze marzyłem. - Wtulił w nią mocniej głowę. - Czyżby Bóg był na tyle okrutny, by mi go odebrać?

- Jeśli go stracimy, nie wiem, jak będę mogła wytrzymać twój ból. Zbyt mocno cię kocham.

Po długiej chwili Lucas przestał płakać, lecz nadal krył głowę na piersiach Aislinn. Całował wilgotną od łez tkaninę jej bluzki i szeptał czułe słowa, czasami angielskie, czasami indiańskie, których nie rozumiała.

- Nie chciałem cię pokochać.

- Wiem - odpowiedziała cicho, przeczesując mu palcami włosy.

- Ale cię kocham.

- To także wiem.

Uniósł głowę i spojrzał na nią oczami mokrymi od łez.

- Wiesz o tym?

Zamiast odpowiedzi zdjęła mu z rzęs łzę, popatrzyła na nią, potem na niego i uśmiechnęła się z tklivością zaprawioną goryczą.

Delikatnie pukanie do drzwi spłoszyło nastrój tej chwili. Twarze im nagle sposepniały. Lucas wstał, wyciągnął do niej rękę i pomógł jej wstać, podtrzyma-

wszy ją wolnym ramieniem. Sądząc, że to lekarz, utkuli wzrok w drzwiach jak skazańcy oczekujący kate.

- Proszę-powiedział Lucas.

W otwartych drzwiach pojawił się jednak nie doktor, lecz dyrektor Dixon.

- Dzień dobry, panie Greywolf - odezwał się.

- Wiem, że przychodzę w niestosownym momencie - ciągnął zakłopotany, bo nie mogły ujść jego uwadze ich zapłakane twarze. - Jestem Dixon, dyrektor więzienia - zwrócił się do Aislinn widząc, że Lucas nie kwapi się z przedstawieniem go.

- Co pan tu robi? - spytał obcesowo Lucas.

~ Jak powiedziałem, zdaję sobie sprawę, że przeżywają państwo ciężkie chwile. Proszę mi wybaczyć, pani Greywolf, to wtargnięcie, tak nie w porę. Nie naprzykrzałbym się jednak, gdybym nie przynosił dobrych nowin.

- Jak się pan dowiedział, gdzie nas znaleźć?

- Od sekretarki pana Andrews. Zatelefonowałem do niej dziś rano, bo wczoraj nie mogłem pana odszukać przez cały dzień.

- Szybko pan działa, panie Dixon - rzekła Aislinn.

- Czy przynosi pan jakąś ważną wiadomość?

- O rehabilitacji pani męża. Sędzia zapoznał się z aktami pańskiego procesu - mówił dalej już bezpośrednio do Lucasa. - W świetle dodatkowych zeznań dwóch rzeczywistych sprawców stwierdzono, że jest

pan niewinny. Nie dopuścił się pan przemocy, lecz chciał jej przeciwdziałać. Wyrok będzie anulowany, a pan przyjęty z powrotem w poczet palestry.

Aislinn ze wzruszenia zawisła bezwładnie u ramienia męża. A Lucas poczuł taką miękkość w kolanach, że oboje z trudem zachowali równowagę. Zanim jednak zdążyli otworzyć usta, by podziękować Dixonowi, do pokoju wpadł biegiem Gene.

~ Lucas, Aislinn, chodźcie szybko - zawołał. - Doktor was szuka.

Jak nakazuje honor

EPILOG

- Uśmiechaj się.
 - Aislinn, wyszczerzam się już tak, że za moment trzaśnie mi skóra na policzkach.
 - To całkiem możliwe. Uśmiech i ty to dwie sprzeczności. - Zachichotała, bo wykrzywił twarz w kwaśnym grymasie.
 - Tutaj. Tony. Popatrz na mamusię.
- Tony spojrział we właściwą stronę i Aislinn pstryknęła dwa razy. Zademonstrował nawet dumnie świeżo wyrżnięte przednie ząbki.
- Może już odłóżysz te aparaty - powiedział Lucas. - To ma być przyjęcie.
 - Ja się świetnie bawię - odparta i stanawszy na palcach pocałowała go w policzek. Oczy iskrzyły się jej radośnie. - Ponad wszystko przepadam za robieniem wam zdjęć.
- Popatrzył na nią z powątpiewaniem.

- Mógłbym wymienić coś, co lubisz jeszcze bardziej.

- Lucas!

Tym razem to on się roześmiał.

- Muszę jednak przyznać, że stanowimy z Tonym wdzięczne obiekty fotograficzne, prawda? - dodał, zerkając z dumą na syna, który stawał się coraz bardziej do niego podobny.

Oczy zaczynały mu już szarzeć, ale niebieską obwódkę wokół nich odziedziczył po matce. Włosy miał kruczoczarne, ale nie tak proste jak Lucas. Kości policzkowe tak samo wydatne, ale zaokrąglął je wciąż niemowlęcy tłuszcz. Wyglądał jak okaz zdrowia.

- Zawsze będziecie moimi ulubionymi obiektami - objęła ich i potarła nosem o szyję męża, podczas gdy Tony zacisnął jej piąstki na włosach.

- Hej, może byście się na chwilę rozstali? - zawołał Gene, podając Aislinn szklanke ponczu. - Powinniście się bardziej udzielać towarzysko.

- Daj mi małego - powiedziała Alice, podchodząc do niego z cukierkiem w dłoni w charakterze łapówki. Tony bez sprzeciwu dał się jej wziąć na ręce, chociaż zazwyczaj niechętnie opuszczał ramiona ojca. - Włład i Eleanor chcieliby go zobaczyć.

- A teraz przestańcie robić do siebie słodkie oczy i idźcie między ludzi - rzekł Gene, popychając ich w kierunku kręcącego się w pobliżu tłumku gości.

Przyjęcie odbywało się z okazji otwarcia kancelarii prawniczej Lucasa. Rozgłos, jaki towarzyszył jego rehabilitacji, zbiegł się z publikacją w dużym ogólnokrajowym magazynie fotografii, jakie Aislinn zrobiła w rezerwacie, co zwróciło znowu uwagę opinii publicznej na los mniejszości indiańskiej.

Lucas nie miał złudzeń co do nadzwyczajnych efektów tego zainteresowania. Był przekonany, że tak czy owak za jego życia nie uda się położyć kresu całej biedzie. Ale każdy krok zrobiony w tym kierunku dawał powody do satysfakcji. Przywiązywał niezwykle wagę do swego wyglądu. Nie chciał stwarzać wrażenia, że wykorzystuje w jakikolwiek sposób okoliczności pobytu w więzieniu i przekreślenie niesłusznego wyroku. Nie zapomniał, kim są jego klienci. Toteż, choć włożył dzisiaj białą koszulę, krawat i sportową marynarkę, miał na sobie także dżinsy i buty z cholewkami. Nie nosił opaski na czole, ale nie zdjął srebrnego kolczyka. Na ścianie za jego biurkiem widniało w kompletnym stroju wodza. Wielu zaproszonych nobli było pod wrażeniem tej fotografii, zrobionej w najlepszych latach życia Josepha,

- Kiedy wreszcie ruszymy do domu? - spytał Lucas Aislinn po godzinie pełnej uśmiechów i uścisków dłoni.

- Na zaproszeniu Alice zaznaczyła, że przyjęcie będzie trwać od drugiej do szóstej, Czemu pytasz?

- Bo chcę jak najszybciej pójść z tobą do łóżka.
- Cicho... Ktoś może usłyszeć.

Nie zważając na licznych świadków, pochylił się i pocałował ją w usta.

- Zachowuj się przyzwoicie. To przyjęcie na twoją cześć. - Chciała, żeby to zabrzmiało jak przygana, nie potrafiła jednak ukryć przyjemności, jaką sprawiła jej ta spontaniczna demonstracja uczuć.

- Wiesz, mam teraz chęć po prostu wywlec cię stąd - powiedział bawiąc się kosmykiem jej włosów.

- Porwać mnie?

- Uhm...

- 'Już to kiedyś zrobiłeś.

- To był najlepszy pomysł, na jaki kiedykolwiek wpadłem.

- I najlepsza rzecz, jaka mi się mogła przytrafić.

Nie słysząc gwaru toczonych wokół rozmów, patrzyli sobie badawczo w oczy w poszukiwaniu miłości i pewni, że ją znajdą.

Przerwał im tę sielankę dopiero Johnny Deerinwater, który podszedł, żeby się pożegnać i grzmocił Lucasa po plecach, potrząsając serdecznie jego dłonią.

Wywiązywali się cierpliwie z roli gospodarzy, aż wreszcie tłum zaczął rzednąć.

- Nie rozmawialiśmy prawie wcale z moimi rodzicami - powiedziała Aislinn i, biorąc Lucasa pod ramię, skierowała się w drugi kraniec pokoju, gdzie sie-

dzieli państwo Andrews, zabawiani przez Dextera.

Lucas jęknął cierpiętnicze

- Przebyli długą drogę - napomniała go. - I nie mam na myśli wyłącznie pokonanych kilometrów.

- Wiem - przyznał. - Będę miły. Poza tym twój ojciec finansuje budowę skrzydła do kliniki Gene'a.

Gdy tylko Eleanor i Willard odjechali do Phoenix, Alice poprosiła Aislinn o zostawienie jej na noc dziecka.

- Widujemy się tak rzadko - powiedziała. - A wy i tak będziecie jutro musieli tu przyjechać, żeby uporzędować kancelarię, bo w poniedziałek Lucas zaczyna urzędowanie.

Aislinn zgodziła się i wkrótce ruszyli z Lucasem do domu. Wieczór był piękny.

- Wiesz, odnoszę wrażenie, że częściowo stałam się Indianką - powiedziała z zadumą Aislinn. - Kocham to wszystko - wskazała ruchem głowy horyzont.

- Wyrzekłaś się wielu rzeczy - rzekł spokojnie Lucas, nie odrywając oczu od wąskiej drogi prowadzącej do rancza.

Zdjęła mu rękę z kierownicy i przytrzymała ją mocno w dłoniach, aż odwrócił ku niej wzrok.

- Nie zamieniłabym się nigdy na tamto życie. Nie miałam tam ciebie. Nie miałam was obu razem.

Rzeczywiście, spaliła za sobą wszystkie mosty. Mieszkanie w Scoitsdale zostało sprzedane. Zwróco-

no jej wniesiony wkład i kupiła za to różne przybory do zabaw dla ogródków przyszkolnych w rezerwacie. Sprzedała także atelier. Pieniądze zużyła częściowo na wyposażenie ciemni i sprzęt fotograficzny, a za resztę wzbogaciła stado Lucasa o wspaniałego ogiera. Kiedy go przywieziono, Lucas wzdraga! się z przyjęciem podarunku.

- Tak wiele od ciebie otrzymałam - powiedziała wówczas, kładąc mu dłonie na piersi i patrząc błagalnie w oczy. - Pozwól mi ofiarować ci tego konia.

Lucas w końcu przystał, gdyż był to dar serca, a przemawiały za tym i praktyczne względy. Ogier oznaczał w perspektywie znaczne wzmocnienie stada. A im większy dochód przynosiła sprzedaż koni, tym więcej bezrobotnych mógł Lucas zatrudnić do pomocy na ranczu. Zbudował już baraczek dla sześciu ludzi, których niedawno najał. Dawali sobie dobrze radę i dzięki temu mógł spokojnie zająć się prowadzeniem kancelarii adwokackiej.

Aislinn zerknęła na zwróconego do niej profilem Lucasa i serce jej wezbrało miłością. Nie posiadała się wprost ze szczęścia, odkąd Tony wyszedł zwycięsko z zapalenia płuc.

- Mam nadzieję, że dzisiejsze zdjęcia będą udane. Zwłaszcza te z Tonym - odezwała się, a Lucas milczał, zdając się wyczuwać, że zaraz jeszcze coś powie.

- Wciąż przeszywa mnie dreszcz, kiedy pomyślę, jak niewiele brakowało, żebyśmy go stracili.

Pogładził ją wierzchem palców po policzku.

- Obiecaliśmy sobie, że nigdy o tym nie zapomniemy, ale i że nie będziemy tego rozpamiętywać.

- Wiem - rzekła cicho, całując go w kostki palców, którymi przesunął jej po ustach. - Ale myślałam właśnie o tamtym dniu. Powiedziałaś, że mnie kochasz, później zjawił się z dobrymi wieściami Dixon, a niemal natychmiast potem doktor powiadomił nas, że Tony wyzdrowieje. Uff! Tyle dobrego naraz, o mało nie dostałam zawału.

- Widzę, że wpadłaś w bardzo refleksyjny nastrój.

- To laki mój sposób utrwalania szczęścia.

Zatrzymał samochód przed domem i utkwiał w niej szare oczy.

- A ja przemyślałam o nieco innym sposobie.

- O jakimż to, panie Grey wolf?

Nie tracąc czasu na zapalenie światła, w drodze do sypialni wzięli za przewodnika świecący w okna księżyc. Lucas ściągnął z siebie marynarkę, powiesił ją na krześle i odpiął koszulę. I tylko do tego momentu udało mu się poskramiać zmysły. Przyciągnął do siebie Aislinn, która zdążyła jedynie rzucić na podłogę żakiet.

Usta Lucasa zachowały tę samą niecierpliwą gwałtowność, z jaką całował ją za pierwszym razem.

Utemperował nieco od tamtego czasu swoją zawziętość, wyciszył kompleksy, pogodził się ze swym pochodzeniem i docenił walory białej krwi, ale Aislinn miała nadzieję, że w miłości pozostanie zawsze wierny swej dzikiej naturze.

Sięgnął do jej bluzki, wymacując guziki. Odpinał je jeden po drugim, podczas gdy ona palcami obu dłoni wodziła po jego włosach, nie odrywając ust od jego warg. Wyciągnąwszy jej bluzkę ze spódniczki, odpiął haftkę stanika.

Chropowate koniuszki jego palców podniecająco drażniły gładką skórę jej piersi. Westchnęli oboje z rozkoszy, kiedy znów wpił się jej w usta i przygniótł sobą jej ciało. Objąwszy Aislinn z całej mocy, pochylił głowę i szepnął:

- Nie chcę pamiętać, że kiedyś nie byłaś częścią mnie. Nie chcę pamiętać, że kiedyś cię nie kochałem.

Słowa te miały dla niej tym większą wartość, że musiały go wiele kosztować. Nauczył się już, że okazywanie uczuć nie przynosi ujmy ani jego męskości, ani indiańskiemu honorowi. Niemniej rzadko dawał im upust. A kiedy to czynił - tak jak teraz - każda zgłoska brzmiała w jej uszach jak muzyka.

Objął dłońmi jej biodra i wtuliwszy się w nią brzuchem doprowadzał oboje do stanu wrzenia. Kilka sekund później jego palce powędrowały pomiędzy jej uda. I wyżej. Przez kilka chwil wprawia! ją w nie-

ziemski nieomal trans, po czym znów mruczał tklive słowa i obsypywał ją łagodnymi pocałunkami.

- Lucas! - szepnęła omdlewająco, zwisając mu bezwładnie w ramionach.

- Boże, ale ty jesteś piękna! Moja żona. Moja kobieta - szeptał, przyciskając ją zaborczo do siebie.

Potem znów przytulili się do siebie, jakby cały świat nie istniał, aż wreszcie wyrwała mu się z objęć. Wilgotne od pocałunków wargi, potargane włosy, rozpięta bluzka, pomięta spódnica - wszystko to sprawiało, że wyglądała jak uosobienie miłosnej burzy.

Lucas stał nieruchomo, lekko oszołomiony, gdy nie spuszczać ze niego wzroku zsunęła mu koszulę z ramion, upuściła ją na podłogę i wsunęła dłoń za nabijaną turkusami kłamrę paska od spodni.

- Pamiętasz, jak wtedy chowałeś tu nóż? - spytała.
- Kojarzył mi się fallicznie.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

Pogładziła pieszczotliwie osypany zarostem brzuch, a potem, patrząc Lucasowi w oczy, postąpiła parę kroków do tyłu, ciągnąc go za pas dżinsów. Kiedy wyczuła brzeg łóżka, przystanęła i usiadła.

W świetle księżycy wyglądał złowrogo i niebezpiecznie. Jego włosy nabrały głębszej czerni, oczy jaśniej lśniły. Malutki krzyżyk u szyi zdawał się podkreślać atletyczność klatki piersiowej. Srebrny kol-

czyk migotał tajemniczo. Lucas sięgnął do kłamry paska.

- Nie - powstrzymała go.

Opuścił posłusznie ręce, a ona jąta odpinać mu pas, przebijając palcami z udratyzowaną powolnością. Wreszcie metal brzęknął melodyjnie i ciemność wypełniła się ciszą, nie przerywaną żadnym dźwiękiem prócz szmeru ich zdyszanych oddechów.

Aislinn odpinała kolejno ciężkie, metalowe guziki jego dżinsów. Kiedy odpięła ostatni, poczuła ciepły, pizmowy zapach mydła, jego skóry i seksu.

- Jesteś taki piękny - szepnęła. - Taki duży i silny i... twardy.

Pochyliła głowę i otwartymi ustami nakryła mu pępek. Wsunęła dłonie w dżinsy i opuściła je. Wolno. Uwodzicielsko. Delikatnie.

Westchnął ochryple, gdy dotknęła go językiem.

A potem znowu, i znowu, i jeszcze raz.

Później, gdy leżeli spleceni z sobą, grzejąc się ciepłem swych ciał, pocałowała go w kark i szepnęła mu w ucho, to z kolczykiem:

- Kocham cię, Lucas.

- Wiem - odparł.

I cieszyło ją, że o tym wiedział.